

JAMES HADLEY CHASE

Tajemnicę weź do grobu

Przełożyły: TERESA GRABOWSKA i BARBARA ZALIWSKA

Rozdział I

Janey Conrad była na schodach, gdy ostro zadzwonił telefon. Schodziła pospiesznie ubrana w nową wieczorową kreację - błękitną suknię bez ramion, ze stanikiem wyszywanym srebrnymi cekinami. Wyglądała szalowo i doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Na dźwięk telefonu zatrzymała się w pół kroku. Ożywienie widoczne na jej twarzy ustąpiło miejsca niepohamowanej złości. Zmiana była tak gwałtowna i radykalna jak zgaszenie lampy.

- Paul, nie odbieraj - powiedziała głosem chłodnym i opanowanym jak zawsze wtedy, gdy była wściekła.

Jej mąż - wysoki, niezgrabny, a przy tym dobrze zbudowany mężczyzna dobiegający czterdziestki - wyszedł z salonu. Ubrany był w smoking, w rękę trzymał miękki, czarny kapelusz. Gdy Janey go poznała, do złudzenia przypominał jej Jamesa Stewarta i głównie ze względu na to podobieństwo zdecydowała się go poślubić.

- Muszę odebrać - rzekł półgłosem, cedząc słowa. - Mogę być potrzebny.

- Paul! - podniosła nieco głos, gdy zbliżył się do telefonu i ujął słuchawkę. Uśmiechnął się przy tym, machnięciem ręki dając jej znak, żeby była cicho.

- Halo?!

- Paul? Tu Bardin - głos porucznika zagrzemiał w uchu Paula i rozlegał się w pełnej napięcia ciszy hallu.

Słyszając ten głos Janey zacisnęła pięści, a jej usta znieruchomiały w brzydkiej, zaciętej linii.

- Z pewnością będziesz chciał się tym zająć - mówił Bardin. - Mamy masakrę w Dead End - to posiadłość June Arnot. Po kolana jesteśmy ubabrani w trupach. June też nie żyje. Bracie! To dopiero będzie sensacja. Jak szybko możesz tu być?

Conrad skrzywił się i spojrzał z ukosa na Janey. Widział, jak powoli, na sztywnych nogach wchodzi do pokoju gościnnego.

- Będę za chwilę.

- Świetnie, zajmę się wszystkim, dopóki nie przyjedziesz, ale - pośpiesz się... Chcę, żebyś tu był, zanim wezmą się za to dziennikarze...

- Zaraz będę - powtórzył Conrad i odłożył słuchawkę.

- Niech to szlag trafi! - wyszeptała Janey. Stała tyłem, twarzą zwrócona do kominka.

- Przykro mi Janey, ale muszę iść...

- Niech to szlag trafi, i ciebie też... - powiedziała nie podnosząc głosu. - Zawsze tak jest... Kiedy tylko mamy razem gdzieś wyjść, musi się coś zdarzyć... Ty i ta twoja parszywa policja!

- Janey, nie powinniśmy rozmawiać w ten sposób. Naprawdę cholernie mi przykro, że tak się stało, ale nic nie możemy poradzić. Wiesz, wyjdziemy jutro wieczorem, zrobię wszystko, żebyśmy poszli...

Janey pochyliła się i grzbietem dłoni zmiotła stojące na obramowaniu kominka ozdóbki, zegar i fotografie w ramkach, rozbijając je o palenisko.

- Janey - Conrad wbiegł do pokoju. - Przestań!

- Och, idź do diabła - odparła tym samym spokojnym, zimnym głosem. Oczami błyszczącymi wrogością wpatrywała się w odbicie Conrada w lustrze. - Idź się bawić w policjantów i złodziei, o mnie się nie martw, ale nie myśl, że zastaniesz mnie tutaj, kiedy wrócisz... Od dzisiaj zamierzam się bawić bez ciebie...

- Janey, zamordowano June Arnot, muszę tam iść... Słuchaj - żeby ci to jakoś wynagrodzić, jutro wieczorem wezmę cię do „Ambasadora”. Co o tym myślisz?

- Dopóki w tym domu będzie telefon, nigdzie mnie nie weźmiesz... - powiedziała z goryczą. - Potrzebuję trochę pieniędzy, Paul.

Popatrzył na nią.

- Ależ Janey...

- Chcę pieniędzy, teraz, w tej chwili! Jeśli ich nie dostanę, będę musiała coś zastawić i możesz być pewien, że nie będzie to żadna z rzeczy, które należą do mnie...

Conrad wzruszył ramionami, po czym wyjął z portfela dziesięciodolarowy banknot i podał jej.

- W porządku, Janey, jeśli tak uważasz... Może zadzwoniłabyś do Beth? Nie chcesz przecież iść sama...

Janey złożyła banknot, popatrzyła na Conrada i odwróciła się plecami. Conrad doznał wstrząsu na widok jej bezosobowego, obojętnego spojrzenia. Tak samo mogłaby patrzeć na zupełnie obcego człowieka.

- O mnie nie musisz się martwić. Idź martw się o to swoje głupie morderstwo, ja sobie sama świetnie poradzę...

Zaczął coś mówić, ale po chwili zamilkł. Gdy była w takim nastroju, nie było sensu z nią dyskutować.

- Czy mam cię gdzieś podwieźć? - zapytał spokojnie.

- Odwal się! - wybuchnęła i podeszła do okna.

Conrad zacisnął usta, przeszedł przez hall, otworzył frontowe drzwi i pośpiesznie skierował się do samochodu, który stał zaparkowany przy krawężniku.

Gdy wcisnął się za kierownicę, poczuł ucisk w klatce piersiowej, tak mocny, że utrudniał mu oddychanie. Nie chciał się do tego przyznać, ale wiedział już, że jego godziny z Janey są policzone. Właściwie, jak długo byli małżeństwem? Conrad zmarszczył brwi, naciskając pedał gazu. Niecałe trzy lata... Pierwszy rok był dość udany, ale to było jeszcze wtedy, zanim został głównym śledczym w Prokuraturze Okręgowej. Miał wówczas normowany czas pracy i praktycznie mógł wychodzić z Janey każdego wieczora. Kiedy awansował też była zadowolona; z dnia na dzień jego wynagrodzenie podwoiło się, dzięki czemu mogli się wyprowadzić z małego trzypokojowego mieszkania na Wentworth Street i kupić domek w modnej dzielnicy, za jaką uchodziła Hayland Estate. Był to ogromny skok do góry w hierarchii społecznej, bo tylko ludzie o co najmniej pięciocyfrowych zarobkach mogli sobie na to pozwolić.

Ale zadowolenie Janey osłabło, kiedy zaczęła sobie uświadamiać, że mogą go wzywać o każdej porze dnia i nocy.

- Na miłość boską - mówiła - ktoś mógłby sądzić, że jesteś zwykłym policjantem, a nie głównym śledczym...

- Ależ ja ciągle jestem policjantem - wyjaśniał cierpliwie. - Policjantem do specjalnych zadań w Prokuraturze Okręgowej. Wystarczy, że zdarzy się coś poważnego, a wtedy muszę ją reprezentować... Oczywiście, były kłótnie, które Paulowi wydawały się z początku mało ważne, ot, zwykłe rozczarowania. Aż nagły telefon zniweczył plan wspólnego spędzenia wieczoru na mieście. Taka reakcja jest zrozumiała, tłumaczył sobie wtedy, ale mimo wszystko wolałby, żeby Janey była bardziej rozsądna. Musiał jej jednak przyznać, że pilne telefony zdarzały się właśnie wówczas, gdy razem wychodzili. Ale i z tym powinni się obydwójce pogodzić.

Tylko że Janey wcale się nie pogodziła. Kłótnie przeradzały się w awantury, awantury w sceny i teraz Conrad był tym wszystkim coraz bardziej zmęczony.

Dzisiaj Janey po raz pierwszy poprosiła o pieniądze, twierdząc, że chce wyjść sama. To był nowy zwrot w sytuacji, który zmartwił Conrada bardziej niż wszystkie awantury, zerwania i sceny z przeszłości. Janey jest zbyt atrakcyjną kobietą, by mogła wychodzić sama. Conrad zdawał sobie sprawę z jej lekkomyślnego usposobienia. Z pewnych słów, które jej się wymykały, kiedy traciła panowanie nad sobą, wywnioskował, że zanim się pobrali musiała

prowadzić niezwykle bujne życie. Zdecydował jednak, że to co zdarzyło się w przeszłości, nie jest jego sprawą. Ale teraz, przypominając sobie niektóre zdarzenia, o jakich mu opowiadała, jakieś zwariowane prywatki i nazwiska swoich dawnych chłopaków, którymi w napadzie wściekłości go wyszydzała, rozważał z niepokojem, czy przypadkiem nie ma zamiaru wrócić do tamtego życia. Miała zaledwie 24 lata i seks znaczył dla niej chyba coś więcej niż dla niego, co go bardzo dziwiło, bo miał przecież potrzeby normalnego mężczyzny. A do tego ta jej uroda... Z oczami w kolorze niezapominajek, jedwabistymi blond włosami, doskonałą cerą i zgrabnym, zadartym noskiem, stanowiła pokusę dla każdego mężczyzny.

- Och, do diabła z tym - wymamrotał pod nosem, podświadomie powtarzając jej okrzyk irytacji.

Zapalił silnik, wrzucił bieg i oderwał się od krawężnika...

2.

Przez ostatnie trzy lata June Arnot uchodziła za najpopularniejszą aktorkę filmową, mówiło się też, że jest najbogatszą kobietą Hollywoodu.

Wybudowała sobie luksusową rezydencję na cyplu po wschodniej stronie zatoki Tammany Bay, kilka mil od Pacific City i niespełna dziesięć od Hollywood. Sam dom stanowił mieszaninę przepychu i krzykliwej ostentacji. June Arnot, której nie brakowało poczucia humoru, nazwała go Dead End (Ślepa Uliczka).

Kiedy Conrad zatrzymał się przy małym, porośniętym bluszczem domku strażnika, gdzie wszyscy goście musieli wpisywać się do książki, zanim znaleźli się na długim około jednej mili podjeździe, prowadzącym do rezydencji, opasła sylwetka porucznika Sama Bardina z Biura Zabójstw wyłoniła się z ciemności.

- Ho, ho, - powiedział ujrzawszy Conrada. - Nie musiałeś dla mnie aż tak się stroić. Dlatego tak późno przyjechałeś?

Rozbawił Paula.

- Gdy zadzwoniłeś, wychodziliśmy z żoną na kolację, przez to porządnie jej się naraziłem... na parę tygodni... McCann jeszcze się nie pokazał?

- Niestety, kapitan pojechał do San Francisco, taki pech... Wróci dopiero jutro. Wiesz, to śmierdząca sprawa, cieszę się, że już jesteś. Jeśli będziemy chcieli ją skończyć, potrzebna będzie jakaś pomoc.

- Zaczynamy więc... Może powiesz mi najpierw, co wiesz, a potem się rozejrzemy...

Bardin wytarł chustką pełną, rumianą twarz i zsunął kapelusz z czoła. Był wysokim, silnie zbudowanym mężczyzną, dziesięć lat starszym od Conrada.

- O wpół do dziewiątej zadzwonił do nas Harrison Fedor, impresario June Arnot, był z nią umówiony na dziś wieczór w sprawach służbowych. Kiedy tu przyjechał, stwierdził ze zdziwieniem, że brama, którą zazwyczaj zamykano na klucz, jest otwarta na oścież, więc wszedł do domku strażnika i tam znalazł go z przestreloną głową. Próbował sam zadzwonić do pani Arnot, ale nikt nie odpowiadał. Przypuszczam, że w tym momencie obleciał go strach, w każdym razie powiedział, że bał się pójść do domu i zobaczyć, co się stało, dlatego zadzwonił do nas...

- Gdzie jest teraz?

- Siedzi w swoim samochodzie i pokrzepia się whisky - odpowiedział Bardin z uśmiechem. - Nie było jeszcze czasu z nim porozmawiać, ale kazałem mu czekać... Byłem już w domu, z pięciu służących żaden nie przeżył, wszyscy zostali zastrzeleni... Co do pani Arnot, to wiedząc, że była umówiona z Fedorem przypuszczałem, że musi być gdzieś na terenie posiadłości, ale w domu jej nie było... - Wyjął paczkę papierosów, poczęstował Conrada i sam zapalił. - Znalazłem ją w basenie kąpielowym - skrzywił się lekko... - Ktoś rozpruł jej brzuch i odrąbał głowę... Conrad chrząknął nerwowo.

- Wygląda mi to na maniaka... Co teraz robicie?

- Chłopcy są w domu i koło basenu; zajmują się swoją robotą... Jeśli pozostał choćby najmniejszy ślad, oni go znajdą, zapewniam cię... Chcesz się rozejrzeć?

- Raczej tak... Czy lekarz potrafi ustalić czas?

- Właśnie nad tym pracuje, nie pozwoliłem mu tylko ruszać ciał, dopóki nie przyjedziesz... Już niedługo powinien mieć wyniki... Chodź, zajrzemy do domku strażnika...

Conrad wszedł za nim do małego pokoju, na którego całe wyposażenie składało się krzesło, miękka sofa i ogromne biurko z baterią telefonów i pokaźną, oprawną w skórę księgą gości, która otwarta była na stronie z dzisiejszą datą.

Strażnik leżał pod stołem, ubrany w oliwkowozielony uniform i wypucowane buty z cholewami. Głowa mężczyzny tonęła w kałuży purpurowej krwi. Jedno szybkie spojrzenie wystarczyło Conradowi, by stwierdzić, że strzelano do niego z bliskiej odległości.

Podszedł do biurka i nachylił się nad księgą gości.

- Jest mało prawdopodobne, żeby zabójca się tu wpisał - zagadnął sucho Bardin. - Ale strażnik musiał go znać, inaczej nie otwierałby bramy...

Wzrok Conrada spoczął na niemal pustej stronie.

Godz. 15.00 Mr Jack Bölling, 3 Lennox Street, wizyta umówiona.

Godz. 17.00 Miss Rita Strange, 14 Crown Street, wizyta umówiona.

Godz. 19.00 Miss Frances Coleman, 145 Glendale Avenue

- Ciekawe - zauważył Conrad. - Czyżby miało to znaczyć, że ta Coleman była tutaj w chwili morderstwa?

Bardin wzruszył ramionami.

- Nie wiem, sprawdzimy ją, gdy będziemy mieć czas... Mogę się tylko założyć, że wyrwałaby kartkę, gdyby miała z tym coś wspólnego.

- Masz rację, chyba... żeby zapomniała... Bardin machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

- Dobra, dobra, chodźmy już... Jest tu jeszcze parę ładnych obrazków, które powinienś zobaczyć - mówił ruszając w gęstniejącą ciemność. - Może byśmy podjechali twoim samochodem? Na drugim zakręcie zwolnij, tam zastrzelono ogrodnika.

Conrad wjechał w aleję, wysadzaną gigantycznymi palmami i kwitnącymi krzewami. Po przejechaniu około trzystu jardów, Bardin powiedział: - Zaraz za tym zakrętem...

Zaparkowali obok samochodu, stojącego na skraju alei. W światłach reflektorów ujrzeli doktora Holmesa w towarzystwie dwóch stażystów, ubranych w białe fartuchy, i tyłuż policjantów, którzy wyglądali na wyraźnie znudzonych.

Gdy Conrad i Bardin podeszli bliżej, stwierdzili, że wszyscy pochylają się nad starym, pomarszczonym Chińczykiem. Leżał na plecach, a jego żółte, podobne do szponów palce wykrzywione były w śmiertelnej agonii. Duża czerwona plama na piersi wyraźnie odcinała się od bieli kombinezonu nieboszczyka.

- Dobry wieczór, Conrad - odezwał się na powitanie doktor Holmes. Był drobny, miał okrągłą, różową twarz i wianuszek siwych włosów, okalających łysą głowę. - Przyszedł pan zobaczyć tę masakrę?

- Okropność... - odparł Conrad. - Od jak dawna nie żyje?

- Nie więcej niż półtorej godziny.

- ... Czyli zamordowano go tuż po siódmej...

- Coś koło tego...

- Z tego samego rewolweru co strażnika?

- Prawdopodobnie wszystkich zabito z czterdziestki piątki - Holmes popatrzył na Bardina. - Wszystko wskazuje, że to zawodowcy, panie poruczniku, tak czy owak, ktokolwiek zastrzelił tych ludzi zna swój fach, każdy z nich zginął od jednego strzału.

Bardin chrząknął, nie zgadzał się z Holmesem.

- To mało znaczy, czterdziestka piątka powaliłaby każdego niezależnie czy jest w rękach zawodowca czy amatora.

- Dobra, dobra - przerwał mu Conrad. - Jedźmy teraz do domu...

Trzy minuty później znajdowali się przed rezydencją June Arnot. Cały dom tonął w światłach. Pod drzwiami stało dwóch policjantów, którzy strzegli wejścia.

Conrad i Bardin wspięli się po schodach do małego pokoiku recepcyjnego, a następnie zeszli poniżej do mozaikowego patio. Otoczone z trzech stron pokojami tworzyło chłodny, zaciszny dziedziniec, gdzie można było posiedzieć i wypocząć.

Z hallu wyszedł sierżant O'Brien, wysoki, szczupły mężczyzna o surowym spojrzeniu i z mnóstwem piegów na twarzy. Na widok Conrada skinął głową.

- Znalazłeś coś? - zapytał Bardin.

- Parę łusek, nic więcej... Żadnych odcisków palców, oczywiście poza tymi, które można jakoś wytłumaczyć. Wygląda na to, że zabójca po prostu wszedł, zastrzelił każdego, kto znalazł się w polu widzenia, i wyszedł niczego nie dotykając.

Paul podszedł do schodów i spojrzał w górę, gdzie spoczywało ciało chińskiej służącej. Ubrana była w żółtą bluzę i ciemnoniebieskie spodnie z jedwabiu, ozdobione haftem. Uwagę Conrada zwróciła brzydka czerwona plama między łopatkami dziewczyny.

- Chyba biegła, żeby się ukryć i wtedy do niej strzelono - wyjaśnił Bardin. - Chcesz wejść tam i zobaczyć z bliska?

Conrad pokręcił głową.

- Chodźmy więc dalej, eksponat numer cztery znajduje się w salonie... - Bardin poprowadził go do pokoju umeblowanego z przepychem, ze skórzanymi kanapami i fotelami; był tak ogromny, że z powodzeniem mógł pomieścić 30-40 osób. Na środku znajdowała się okazała fontanna, ozdobiona kolorowymi światłami. Tropikalne ryby w podświetlonej czaszy dodawały jej szczególnego uroku.

- Ładne, co? - skonstatował sucho Bardin. - Gdybyś tak zobaczył gościnny w moim mieszkaniu... Muszę powiedzieć żonie o tych rybach, może to podsunie jej jakiś pomysł. Wystarczyłoby tylko parę sztuk...

Conrad postąpił parę kroków dalej. Pod oszklonymi drzwiami prowadzącymi do ogrodu, starszy lokaj June Arnot siedział skurczony na podłodze, opierając się o ścianę obitą tkaniną dekoracyjną. Kula przeszła mu głowę na wylot.

- Popatrz, taką tkaninę zniszczył - zauważył Bardin. - Szkoda, założyłbym się, że słono kosztuje... - zgniótł niedopałek w popielniczkę i zapytał:

- Chcesz zobaczyć kuchnię? Jest tam jeszcze dwóch - kucharz i Filipińczyk. Obaj biegli do wyjścia, ale żaden nie zdążył...

- Myślę, że wystarczy, dosyć się naoglądałem... Jeśli jest jeszcze coś do znalezienia, twoi chłopcy to znajdą, jestem o tym przekonany...

- Nie do wiary, zapiszę w kalendarzu i przypomnę ci w stosownym momencie - odparł Bardin. - A więc dobra, zejdziemy do basenu...

Podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł na rozległy taras. Wschodzący księżyc oświetlał morze zimnym, ciężkim blaskiem. Powietrze w ogrodzie było ciężkie od zapachu kwiatów. Poniżej, w oddali, znajdowała się fontanna rozjarzona światłami, dopełniając baśniowej scenerii.

- Taaak, lubiła światło i wspaniałe kolory, prawda? - stwierdził Bardin. - I na co jej to przyszło? Brr, to okropne skończyć życie z odrąbaną głową i rozprutym brzuchem. Wolałbym uniknąć podobnej śmierci, nawet za cenę takiego bogactwa.

- Kłopot z tobą, Sam - wyszeptał Conrad - że jesteś świadom swojej klasy, ale jest mnóstwo facetów, którzy pozazdrościliby ci twojego życia, zastanów się nad tym...

- Pokaż mi ich - Bardin odpowiedział z kwaśnym uśmiechem. - W każdej chwili bym się zamienił... Łatwo ci mówić, masz uroczą żonę, przy niej możesz zapomnieć o wszystkim... Scierpiałbym i nędzną chałupę, i podłe żarcie, gdybym miał w domu choć odrobinę kobiecego wdzięku... Jeśli interesują cię stare, niemodne fatalaszki, przyjdź i zerknij do naszego ogrodu, gdy suszy się pranie. Mogę się założyć, że twoja żona nosi nylonową bieliznę, tę samą, od której nie mogę oderwać wzroku, gdy mijam wystawy, ale jest to najmniejsza odległość, z jakiej mam okazję oglądać takie rzeczy...

Conrada ogarnęła nagła fala irytacji. Znał żonę Bardina, rzeczywiście, niczym się nie wyróżniała, nie grzeszyła urodą ani elegancją, ale przynajmniej starała się stworzyć dom, który był o wiele lepszy od tego, jaki jemu dała Janey.

- Nigdy nie docenia się tego, co się ma - rzucił oschle, po czym zszedł po schodach wiodących do basenu.

3.

Doktor Holmes, dwóch stażystów, fotograf i czterech policjanci stali nad brzegiem basenu, tuż obok wysokiej na 40 stóp wieży do skoków i wpatrywali się w wodę, która w tym miejscu miała kolor szkarłatny, wyraźnie odcinając się od reszty przejrzystej, niebieskiej toni.

Gdy Bardin z Conradem przechodzili przez salę koktajlową do pomieszczenia z basenem, wyłożonego błękitnymi kafelkami, Bardin powiedział:

- Widziałem to raz i nie mogę powiedzieć, żebym znowu chciał oglądać...

Przyłączyli się do grupy pod wieżą.

- Jest tam - kontynuował Bardin, wskazując ręką wodę. Paul spojrzał na bezgłowy, obnażony korpus kobiety, leżący na dnie, po płytszej stronie basenu. Widok bestialsko okaleczonego ciała przyprawił go o skurcz żołądka.

- A gdzie głowa? - zapytał, odwracając wzrok.

- Tam gdzie była, w garderobie na stole. Chcesz zobaczyć?

- Nie, dziękuję. Jesteś pewny, że to June Arnot?

- Nie ma żadnych wątpliwości.

Conrad zwrócił się do doktora Holmesa.

- Dobra, doktorze, obejrzałem wszystko, możecie brać się do roboty... Przyśle mi pan raport?

Holmes skinął głową.

- Chłopaki, wyciągnijcie ją stamtąd - krzyknął Bardin. - Tylko ostrożnie...

Trzech policjantów poruszyło się z wyraźną niechęcią. Jeden z nich zanurzył w wodzie długi bosak, próbując zagarnąć ciało.

- Porozmawiajmy tymczasem z Fedorem - zaproponował Conrad. - Wezwij go do domu, dobrze?

Bardin wysłał policjanta, żeby przyprowadził Fedora, po czym obaj z Conradem weszli na schody prowadzące do budynku.

- No i co o tym sądzisz? - zapytał Conrada.

- Wygląda mi to na kogoś, kto jest częstym gościem w tym domu. Ponieważ strażnik go wpuścił, można przyjąć, że nie był to nikt obcy. Poza tym sprzątnął służbę, która mogłaby go rozpoznać, to też przemawia za taką hipotezą...

- Równie dobrze mógł to zrobić jakiś maniak w napadzie szału...

- Mało prawdopodobne, wtedy strażnik nie otworzyłby mu bramy.

- Kto wie, wszystko zależy od tego, co tamten by mu powiedział.

Gdy podeszli pod dom, natknęli się na dwóch policjantów. Wychodzili akurat głównymi drzwiami, niosąc nosze ze szczelnie zakrytym ciałem.

- To już wszystko, panie poruczniku, dom jest czysty - powiedział jeden z nich.

Bardin mruknął coś pod nosem, wszedł na schody i dalej w dół na patio.

- Myślisz, że Fedora można wykluczyć z kręgu podejrzanych? - zapytał Conrad sadowiac się wygodnie w wiklinowym fotelu.

- Taki człowiek nie mógłby zrobić czegoś podobnego, a jeśli nawet, musiałby mieć piekielnie ważny motyw. Arnot była jego jedyną klientką i nieźle na niej zarabiał...

- Kobieta jej pokroju musiała mieć wielu wrogów - stwierdził Conrad, rozprostowując długie nogi. - Ktokolwiek to zrobił, musiał jej nienawidzić z całej duszy...

- Miała paru koszmarnych znajomych - Bardin przetarł oczy. - Od czasu do czasu dostawałem informacje, że nie stroniła od największego plugastwa... Czy wiedziałeś, że cieszyła się specjalnymi względami Jacka Maurera?

Conrad zamienił się w słuch.

- Nie, nie wiedziałem... Co to znaczy - specjalnymi względami? Bardin uśmiechnął się.

- Spodziewałem się, że będziesz zaskoczony... Nie mogę przysiąc, że to prawda, ale wiele plotkowano na ten temat. June Arnot starała się być dyskretna, a mimo to mówiło się, że byli kochankami...

- Chciałbym, żeby tak było, Maurer jest pozbawiony wszelkich skrupułów i ta robota świetnie do niego pasuje... Pamiętasz, parę lat temu doszło do masakry gangu, którą on sterował... Siedmiu facetów zastrzelonych z karabinu maszynowego...?

- Ale przecież nie mamy żadnej pewności, że to była sprawka Maurera - Bardin wykazywał zdecydowaną ostrożność.

- A czyja? Tamci faceci wdarli się na jego teren, więc chcąc utrzymać swoją pozycję musiał ich usunąć...

- Ale kapitan nie był o tym przekonany, uważał, że zrobili to ludzie Jacobiego, którzy chcieli po prostu Maurera zrobić...

- Kapitan dobrze wie, że ja mam inne zdanie... To na pewno był Maurer i dzisiejsze morderstwo też do niego pasuje...

- Ty się chyba na niego uwzięłeś - Bardin wzruszył ramionami. - Myślę, że sprzedałbyś własną duszę, byleby tylko wsadzić go za kratki...

- Wcale nie mam zamiaru wsadzać go za kratki - w głosie Conrada dało się wyczuć nagłą zaciętość. - Chcę go zobaczyć na krześle elektrycznym, już za długo szwenda się po tym świecie...

W drzwiach patio pojawił się policjant, zakaszłał i kciukiem wskazał za siebie.

- Przyszedł pan Fedor, proszę pana.

Conrad z Bardinem wstali. Harrison Fedor, impresario June Arnot, przeszedł pośpiesznie przez mozaikowe patio. Był niewysokim, szczupłym mężczyzną o stanowczym spojrzeniu, ustach podobnych do pułapki na szczury i wystających szczękach. Zbliżywszy się do Conrada złapał jego rękę i potrząsnął nią gwałtownie.

- Miło mi pana widzieć, co się stało? Czy z June wszystko w porządku?

- Wprost przeciwnie - powiedział cicho Conrad. - Została zamordowana... ona i cała jej służba...

Fedor głośno przełknął ślinę, a jego twarz wykrzywiła się, szybko jednak wziął się w garść, podszedł do wiklinowego fotela i usiadł.

- Czy pan chce powiedzieć, że June nie żyje?

- Właśnie tak.

- Mój Boże - Fedor zdjął kapelusz i przeciągnął palcami po przerzedzonych włosach. - Nie żyje? Niech to diabli, nie mogę w to uwierzyć...

Spojrzał najpierw na Bardina, potem przeniósł wzrok na Conrada, ale żaden z nich nie odezwał się ani słowem. Czekali.

- Zamordowana! - po chwili milczenia Fedor odezwał się znowu. - To dopiero będzie sensacja! Fiu, fiu! Nie wiem, śmiać się czy płakać...

- Co pan powiedział? Co to znaczy? - Bardin wykrzyknął z dezaprobatą.

Fedor uśmiechnął się zakłopotany.

- Nie musiał pan z nią pracować... 5 długich lat... więc nie może pan wiedzieć, co to znaczy... - pochylił się do przodu i strzelił palcem w stronę Bardina. - Na pewno nie będę wylewał łez. Być może straciłem swoją żyłę złota, ale też pozbyłem się cholernego garbu. Tak, ta suka byłaby mnie zamęczyła na śmierć, kiedyś i tak trzeba by się było zdecydować: ona albo ja... Dzięki niej nabawiłem się wrzodów... Nie macie pojęcia, ile musiałem znosić od tej kobiety...

- Ktoś odrąbał jej głowę - powiedział spokojnie Conrad - ale było mu mało, więc jeszcze ją porznął... Czy pan wie, kto mógłby to zrobić?

Fedor wybałuszył oczy.

- Co za potworność... Odrąbał jej głowę. Mój Boże, dlaczego to zrobił?

- Z tego samego powodu, dla którego rozpruł jej brzuch... Po prostu jej nie lubił... Czy zna pan kogoś, kto mógłby zdobyć się na coś takiego?

Fedor nagle odwrócił wzrok.

- Skąd mam wiedzieć?... Do diabła, prasa już wie?

- Nie i nie będzie wiedzieć, dopóki nie zbierzemy więcej faktów - Bardin mówił z zaciętością w głosie. - Niech pan słucha. Jeśli pan wie, do kogo to pasuje, to lepiej by było, żeby pan powiedział... Im szybciej wyjaśnimy tę sprawę, tym lepiej dla wszystkich, nie wyłączając pana...

Fedor zawahał się przez moment, a potem wzruszył ramionami.

- Też tak myślę... Jej aktualnym kochankiem był Ralph Jordan, ostatnio dochodziło między nimi do ostrych kłótni... Po zakończeniu prac nad filmem, który niedawno kręcili z June, wytwórnia Pacific Pictures zerwała z nim kontrakt, mieli go już powyżej uszu...

- Dlaczego? - Conrad zapalił papierosa.

- Od czasu, gdy przed sześcioma miesiącami zaczął ćpać, stał się po prostu niebezpieczny...

- W jakim sensie?

- Dostaje napadów szału - Fedor wyjął chusteczkę i wytarł nią twarz. - Przed dwoma tygodniami podpalił jedno z pomieszczeń studyjnych, a parę dni temu, gdy Maurice Laird zorganizował u siebie party na wodzie, Jordan zrobił coś takiego, że Laird zmuszony był wydać kupę forsy, żeby wszystko zatuszować... Jordan miał jakiś kwas, którym polewał kostiumy kąpielowe dziewcząt, to wszystko zaczęło się palić, no i... gotowe... Czegoś podobnego pan nie widział... Trzydzieści gwiazd pierwszej wielkości latało jak je Pan Bóg stworzył... Oczywiście, dla nas, facetów, było to dość zabawne, żart wydawał się niezły, ale potem okazało się, że razem z kostiumami zaczęła im schodzić skóra... Pięć dziewczyn wylądowało w szpitalu, były w okropnym stanie. Gdyby Laird nie sypnął hojną ręką, Jordan trafiłby do sądu. I właśnie następnego dnia Laird zerwał z nim kontrakt...

Conrad i Bardin wymienili spojrzenia.

- Chyba powinniśmy porozmawiać z tym facetem - stwierdził Bardin.

- Ale na miłość boską, nie mówcie tylko, że coś wiecie ode mnie - Fedor wyraźnie się gorączkował. - Mam dosyć kłopotów i bez niego...

- Czy pana zdaniem, jest jeszcze ktoś poza Jordanem, kto mógłby to zrobić?

Fedor potrząsnął głową.

- Nie, większość przyjaciół June można nazwać ludźmi zepsutymi, ale nie do tego stopnia...

- Czy prawdą jest, że ona i Jack Maurer byli kochankami? Fedor raptownie spojrzał w dół, na rękę. Jego twarz wyrażała chłodną obojętność.

- Nic o tym nie wiem.

- Niech pan spróbuje sobie przypomnieć... Czy kiedykolwiek wspominała przy panu o Maurerze?

- Nigdy.

- Czy słyszał pan, by kiedykolwiek łączono te dwa nazwiska?

- Chyba nie.

- I nigdy nie widział ich pan razem?

- Nie.

Conrad popatrzył na Bardina.

- Wiesz, to ciekawe, wystarczy tylko wspomnieć nazwisko Maurera, a każdy nabiera wody w usta... Można by pomyśleć, że facet po prostu nie istnieje...

- Niech mnie pan źle nie zrozumie - wtrącił pośpiesznie Fedor. - Gdybym coś wiedział, nie ukrywałbym tego... O Maurerze nie wiem nic, poza tym co czytałem w gazetach...

- Stara śpiewka... - przerwał Conrad z wyrazem obrzydzenia na twarzy. - Mam nadzieję, że któregoś dnia dopisze mi szczęście i spotkam kogoś, komu starczy odwagi, nie boi się Maurera, a coś wie... Któregoś dnia, ale kiedy to będzie...

- Nie denerwuj się - wtrącił się Bardin - jeśli facet mówi, że nie wie, to pewnie nie wie...

- Poruczniku, czy mógłbym prosić na chwilę? - sierżant O'Brien zszedł po schodach na patio.

Bardin wziął go pod ramię i wyszli do hallu.

- Niech pan zaczeka moment - Conrad zwrócił się do Fedora i podążył za nimi.

- Znalazł rewolwer - stwierdził Bardin, a jego markotna twarz nieco poweselała. Wyciągnął rękę, w której trzymał colta, kaliber 45. - Popatrz na to...

Conrad obejrzał go dokładnie. Na kolbie wygrawerowane były inicjały R.J.

- Gdzie to znalazłeś? - zapytał O'Briena.

- W krzakach, około 30 jardów od głównej bramy. Założę się o dolara, że to rewolwer, którego szukamy. Jest pusty, ale niedawno z niego strzelano, poza tym jest to czterdziestka piątka...

- Lepiej daj go do sprawdzenia, Sam. Bardin kiwnął głową i podał broń O'Brienowi.

- Weź do biura i sprawdź, czy łuska, którą znalazłeś, do niego pasuje. - Po czym zwrócił się do Conrada: - R.J... Jakie to proste, nie? Ledwie zaczęliśmy sprawę, a już ją mamy z głowy. Chyba Jordan ma nam coś do powiedzenia. Idziesz?

4.

Zgodnie z tym, co mówił Fedor, Ralph Jordan zajmował luksusowe poddasze domu, położonego przy Roosevelt Boulevard. Apartament wynajął zaraz po tym, jak June Arnot pozbyła się swojego domu w Hollywood, i choć posiadał komfortową willę w Beverly Hills, rzadko w niej przebywał.

Conrad zjechał półkolistym podjazdem pod dom, w którym mieszkał Jordan, i ustawił samochód w cieniu, tuż obok rzędu garaży. Jego uwagę zwrócił duży czarny cadillac, który stał w drzwiach jednego z nich.

- Ktoś nie patrzył jak jedzie - zauważył wychodząc z samochodu, po czym poszli z Bardinem w tamtą stronę.

Cadillac porządnie rąbnął błotnikiem o ścianę garażu i porysował drewno, jakim była wyłożona. Samochód miał wgniecione nadkole i rozwalony boczny reflektor.

Bardin zjrzał do środka i obejrzał dowód rejestracyjny.

- Można było się tego spodziewać, to wóz Jordana. Widocznie był pijany w sztuk...

- Cóż, przynajmniej jest w domu. - Conrad odwrócił się i przecisnął przez obrotowe drzwi do budynku. Bardin wszedł za nim.

Tęgi recepcjonista o białoróżowej twarzy i nienagannie dopasowanym mundurze siedział przy wypolerowanym biurku, opierając na nim małe, białe dłonie. Na widok Conrada uniósł jasne brwi z wyrazem uprzejmego zainteresowania.

- Czym mógłbym panu służyć?

Bardin postąpił kilka kroków do przodu i błysnął odznaką, rzucając spojrzenie pełne gniewu. Gdy chciał, potrafił wyglądać groźnie, i tak było teraz.

- Porucznik Bardin z policji miejskiej - powiedział szorstkim głosem. - Czy Jordan jest u siebie?

Urzędnik zeszytniał, widać było, że zadrżały mu ręce.

- Jeśli chodzi o pana Ralphi Jordana, to jest w domu. Czy chciałby się pan z nim widzieć?

- Kiedy przyszedł?

- Tuż po ósmej. - Był pijany?

- Przykro mi, ale nie zwróciłem uwagi.

Conrad uśmiechnął się widząc zdenerwowanie na twarzy urzędnika.

- O której wyszedł?

- Po szóstej.

- Mieszka na samej górze, tak?

- Tak.

- W porządku, idziemy... Tylko niech pan nie próbuje dzwonić, to ma być niespodzianka. Jest ktoś u niego?

- O ile wiem - nie...

Bardin chrząknął i powłókł się do windy po grubym puszystym dywanie, którym wyłożony był spory korytarz.

- Wyszedł po szóstej, a wrócił o ósmej. Miał dość czasu, żeby pojechać do Dead End, wykonać robotę i wrócić - skonstatował w windzie, która szybko i bezszelestnie śmigła w górę.

- Nie spuszczaaj z niego wzroku - powiedział Conrad. - Jeśli jest podpity, może być niebezpieczny...

- Nie bój się, nie będzie pierwszym urżniętym facetem, z jakim mam do czynienia. I założę się, że nie ostatnim, taki los...

Bardin zatrzymał się przed drzwiami apartamentu.

- Zobacz, otwarte.

Nacisnął dzwonek, który gdzieś, w głębi mieszkania ostro zaterkotał, odczekał moment, potem energicznym kopniakiem pchnął drzwi i zajrzał do niewielkiego przedpokoju.

Drzwi, które miał przed sobą również były uchylone.

Poczekali jeszcze chwilę, wreszcie Bardin wszedł do przedpokoju i otworzył je na oścież.

Duży, przestronny pokój tonął w rześistym świetle. Okna szczelnie zasłonięto kotarami w kolorze czerwonego wina. Ściany były szare. Wnętrze składało się z foteli, kanap, stołu, może dwóch i dobrze zaopatrzonego barku. Obok telewizora stało radio z adapterem, na obramowaniu kominka pełno było szklanych ozdóbek, przepięknie wykonanych i niesamowicie sprośnych.

Bardin rozglądał się wokół, ciężko oddychając.

- Dobre sobie, popatrz, jak te łajdaki mieszkają - wydusił ze złością. - Ten, kto powiedział, że cnota jest nagrodą sama dla siebie, powinien to zobaczyć.

- Doczekasz się, gdy będziesz w niebie - Conrad uśmiechnął się. - Dostaniesz pozłacany rewolwer i diamentową odznakę... Taaak, wydaje się, że nie ma nikogo...

- Hej, jest tu kto? - Bardin wrzasnął, aż zadrżały szyby w oknacK.

Odpowiedzią była cisza, ogromna i przytłaczająca jak zaspas śnieżna, i tak samo jak ona - lodowata, zimna. Wymienili spojrzenia.

- I co teraz? Myślisz, że się gdzieś ukrył?

- Może znowu wyszedł.

- Przecież ta królowa na dole by go zauważyła...

- Rozejrzyjmy się.

Conrad przeszedł przez pokój, zastukał do drzwi po lewej stronie, przekręcił gałkę i zajrzał do ogromnej, przestronnej sypialni. Nie było tu żadnych mebli; poza białym, puszystym dywanem znajdowało się tam jedynie łóżko na podeście wysokości dwu stóp, szerokie na dwanaście i samotne jak latarnia morska.

- Nie ma nikogo.

- Zajrzyj jeszcze do łazienki - zaproponował cierpko Bardin. Nigdy przedtem nie widzieli tak wykwintnie urządzonej łazienki, a mimo to ani przepych, ani lśniąca bateria zupełnie ich nie zainteresowały. Ich uwagę skupiła wpuszczana w podłogę, pusta, bez kropli wody, wanna.

Leżał tam Ralph Jordan z głową opuszczoną na piersi. Ubrany był w szlafrok koloru czerwonego wina, spod którego wystawała jasnoniebieska piżama. Ściany wanny, podobnie jak przód szlafroka zbryzgane były krwią. W prawej ręce Jordan trzymał staroświecką brzytwę. Krew na wąskim ostrzu wyglądała jak czerwona farba.

Bardin wyminął Conrada i dotknął ręki mężczyzny.

- Nie ma wątpliwości, martwy jak sztuka wołowiny, w dodatku mrożonej...

Chwycił Jordana za długie, kręcone włosy i uniósł mu głowę. Conrad skrzywił się widząc cięcie na jego gardle. Było tak głębokie, że rozerwało tchawicę.

- No proszę, to jest to - Bardin odsunął się od denata. - Tak jak mówiłem, ledwie rozpoczęliśmy sprawę, a już się skończyła. Jordan pojechał do Dead End, zabił June Arnot, potem wrócił i poderznął sobie gardło... Bardzo ładnie z jego strony, wszystko jasne, przynajmniej dla mnie - sięgnął po papierosa, zapalił i dmuchnął nieboszczykowi prosto w twarz. - Zdaje się, że doktor Holmes będzie miał tej nocy masę roboty.

Conrad nie odpowiadał, tylko rozglądał się po łazience. W pewnej chwili znalazł na murku elektryczną maszynkę do golenia.

- Wiesz, to dziwne... Zastanawiam się, skąd on miał brzytwę, w dzisiejszych czasach trzeba by się było porządnie nachodzić, żeby coś takiego znaleźć. Nigdy bym nie przypuszczał, że może być u Jordana.

Bardin jęknął.

- Przestań szukać dziury w całym, może wycinał sobie odciski... Wielu ludzi to robi. - Pchnął drzwi obok wanny i zajrzał do starannie wyposażonej garderoby. Na krześle wisiał garnitur, koszula i jedwabna bielizna. Nie opodal leżały skarpetki i para mokasynów.

Conrad wrócił do pokoju i nagle stanął jak wryty.

- Chodź tutaj, mam coś, co cię naprawdę ucieszy, Sam - powiedział wskazując na zakrwawiony przedmiot, który leżał na podłodze.

Bardin poszedł za wzrokiem Conrada i zaklął.

- Niech mnie diabli, maczeta! - uklęknął obok ostrego noża. - Mogę się założyć, że to jest właśnie narzędzie zbrodni, doskonale nadaje się do odcinania głów... Tym nożem można też rozpruć brzuch i to z równą łatwością, jak otwiera się drzwi.

- Czy nie dziwi cię fakt, że facet pokroju Jordana posiada nóż, którego używa się zazwyczaj w dżunglach południowoamerykańskich?

Bardin kucnął, z wyszczerzonymi zębami wyglądał jak wilk.

- Możliwe, że zabrał go na pamiątkę, założę się, że był w Ameryce Południowej albo w zachodnich Indiach, tak, prawdopodobnie w Indiach. Jestem przekonany, że to narzędzie zbrodni i idę o zakład, że to krew June Arnot.

Conrad tymczasem oglądał ubranie na krześle.

- Ale na tym nie ma krwi, trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś odciął komuś głowę i nie poplamiał się.

- Do licha - Bardin wyglądał na zniecierpliwionego. - Musisz się wszystkiego czepiać? Może miał na sobie płaszcz albo coś w tym rodzaju? Jakie to ma znaczenie? Ja jestem zadowolony, ty nie?

- Nie wiem - Conrad zmarszczył brwi. - To wszystko wydaje mi się zbyt proste, zbyt jasne, mam rację? Kto wie, może cała sprawa została starannie wyreżyserowana, żeby nas naprowadzić na fałszywy ślad? Rewolwer z inicjałami Jordana, rozwalony samochód, samobójstwo Jordana, a teraz narzędzie zbrodni. Wszystko podane jak na talerzu, moim zdaniem - trochę to cuchnie...

- Cuchnie, bo jesteś nadgorliwy - zżymał się Bardin wruszając masywnymi ramionami. - Nie myśl już o tym, mnie to przekonuje, podejrzewam, że kapitan będzie podobnego zdania... Zgodziłbyś się ze mną, gdyby ci tak nie zależało na wpakowaniu Maurera na krzesło, nie jest tak?

Conrad potarł nos w zamyśleniu.

- Możliwe. No, dobra, chyba nie mam tu już nic do szukania... Podwieź cię pod komisariat?

- Nie, zadzwonię stąd po chłopaków, żeby przyjechali i przeszukali mieszkanie. Jak tylko wezmą się do roboty, wrócę do Dead End i poinformuję o wszystkim prasę... Jedziesz do domu? Conrad skinął głową.

- Raczej tak.

- Szczęściar z ciebie, wcześniej kończysz robotę, masz przytulny dom, a w nim dużo ciepła. Jak się miewa twoja żona?

- Chyba dobrze - Conrad odparł głosem tak bezbarwnym i wypranym z entuzjazmu, że aż go to zirytowało.

5.

Chcąc uniknąć spotkania z tłumem, który kłębił się przed teatrem, Conrad przedzierał się bocznymi ulicami z szybkością mniejszą niż pozwalały na to znaki drogowe. Zastanawiał się z niepokojem, czy Janey spełniła groźbę i wyszła sama, a jeśli tak, czy już wróciła. Wprawdzie chciał się uwolnić od myślenia o niej, ale ona siłą wdzierwała się do jego pamięci, a zdarzało się to zawsze, gdy zmierzał w stronę domu.

Zwolnił, by zapalić papierosa. Wyrzucając zapalną przez okno, spojrział w górę i jego wzrok padł na tabliczkę z nazwą ulicy. Była to Glendale Avenue.

Znajdował się już niemal przy jej końcu, gdy przypomniał sobie tamtą dziewczynę. Tak, Frances Coleman, ta sama, która dzisiaj o siódmej wieczorem odwiedziła June Arnot i zostawiła swój adres: Glendale Avenue 145. Conrad nacisnął hamulec i zatrzymał samochód przy krawężniku.

Przez chwilę siedział bez ruchu, wpatrując się przez szybę w ciemną, wyludnioną ulicę. Pamiętał, co mówił doktor Holmes: June Arnot umarła około siódmej. Czy jest możliwe, żeby ta dziewczyna coś widziała?

Wyszedł z auta i przyjrzał się najbliższemu domowi - miał numer 123. Przeszedłszy kilka jardów, znalazł się pod sto czterdziestym piątym.

Budynek był wysoki, odrapany, zbudowano go z brązowego kamienia. W niektórych oknach widać było palące się światła, inne tonały w ciemności.

Wszedł po stromych kamiennych schodach i zajrzał przez szybę frontowych drzwi. Niewiele było widać, zaledwie słabo oświetlony hall i schody ginące w mroku.

Nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Intensywny zapach smażonej cebuli, kocich odchodów i rozkładających się śmieci uderzył z taką siłą, jakby chciał go wypchnąć dla zaczerpnięcia świeżego powietrza.

Conrad zdjął kapelusz z głowy, zmarszczył nos i ruszył przed siebie. Rząd skrzynek na listy, przymocowanych do ściany, pozwolił mu zrozumieć, co to za dom. Trzecia skrzynka należała do Frances Coleman, oznaczało to, że mieszkała na trzecim piętrze.

Wszedł po schodach, mijając odrapane drzwi, zza których dobiegały dźwięki swingowej muzyki z radia; była tak głośna, że wydawało się, iż słuchający jest głuchy jak” pień, a mimo to zdecydowany coś usłyszeć.

Mieszkanie panny Coleman znajdowało się na wprost schodów. Śnieżnobiała kartka z jej nazwiskiem przypięta była do drzwi pinezką.

Już miał zastukać, gdy zauważył, że są uchylone. Zapukał jednak, odczekał moment, potem cofnął się, a jego oczy zrobiły się czujne. Czyżby za tymi na wpół otwartymi drzwiami miały znajdować się kolejne zwłoki? - zastanawiał się. Tej nocy widział już sześć ciał, z których każde przedstawiało szczególny widok, przerażający i patetyczny. Poczul, że cierpnie mu skóra na karku, a włosy stają dęba.

Wyjął papierosa i przykleił do warg. Kiedy go zapalał, skonstatował, że nie odczuwa najmniejszego drżenia rąk i niespodziewanie uśmiechnął się z ulgą.

Pochylił się do przodu, otworzył drzwi, starając się przeniknąć ciemność.

- Jest tu kto? - zapytał donośnym głosem.

Nie odezwał się nikt. Pokój, nasycony delikatnym zapachem perfum „Californian Poppy”, odpowiedział mu głuchą ciszą.

Zrobił dwa kroki i po omacku zaczął szukać kontaktu. Zapalił światło i wziął głęboki oddech, jakby w oczekiwaniu czegoś, ale nie zobaczył ani zwłok, ani krwi, ani narzędzia zbrodni. Znajdował się w niewielkim jak pudełko pokoju z żelaznym łóżkiem, komodą, jednym krzesłem i szafą z sosnowego drewna. Całość wyglądała równie przytulnie jak łożo fakira.

Stał przez chwilę rozglądając się wokół, potem podszedł do szafy i otworzył ją. Poza ledwie wyczuwalnym zapachem lawendy nie było tam nic, szafa była pusta. Zmarszczył brwi, wyciągnął rękę do jednej z szufladek i zajrzał: nie było niczego.

Podrapał się po karku, jeszcze trochę porozglądał, wzruszył ramionami i wyszedł do przedpokoju.

Zgasił światło i powoli, ostrożnie zszedł na dół. Dotarłszy do hallu ponownie sprawdził skrzynkę na listy panny Coleman. Była otwarta i pusta.

Nagle jego uwagę zwróciła kartka z informacją znajdująca się na ścianie. Widniał na niej napis:

DOZORCA - SUTERENA

Cóż właściwie mam do stracenia, myślał, idąc korytarzykiem, a potem w dół po ciemnych, brudnych schodach.

Na dole zderzył się z czymś twardym, więc cicho zaklął.

- Halo, jest ktoś w tym domu? - zawołał.

Drzwi przed nim otworzyły się na oścież, rzucając snop światła z nie osłoniętej żarówki. Blask był tak mocny, że Conrad zmrużył oczy.

- Nie ma wolnych miejsc, przyjacielu - łagodny głos o służalczym zabarwieniu wysączył się z wnętrza. - Mieszka tu więcej ludzi niż pcheł na kundlu...

Conrad zajrzał do małego pokoju, w którym znajdowało się łóżko, stół, dwa krzesła i zniszczony dywanik. Przy stole siedział tęgi mężczyzna w zarękawkach, w ustach trzymał zgaszone cygaro. Przed nim leżał rozłożony, skomplikowany pasjans.

- Na trzecim piętrze ma pan wolne mieszkanie, prawda? - zapytał. - Panna Coleman wyprowadziła się...

- Kto tak powiedział?

- Właśnie tam byłem. Pokój jest pusty, rzeczy zniknęły, nawet drobiazgi.

- Kim pan jest? Conrad odchylił kłapę.

- Policja.

Grubas uśmiechnął się ze złośliwym zadowoleniem. - W co jest zamieszana?

- Kiedy się wyprowadziła? - Conrad udał, że nie słyszy pytania, stał opierając się o futrynę.

- Nie wiedziałem, że się wyprowadziła. Dzisiaj rano jeszcze tu była... No, to kamień spadł mi z serca, inaczej jutro musiałbym jej wymówić.

- Dlaczego?

Dozorca sapał, podniósłszy palec do ucha pocierał je nerwowo.

- Zwyczajnie, od trzech tygodni zalegała z płaceniem... Conrad potarł kark.

- Co pan o niej wie? Kiedy tu przyjechała?

- Miesiąc temu. Powiedziała, że statystuje w filmie - dozorca zsunął karty na stos, podniósł je i zaczął tasować. - W Hollywood nie znalazła nic tańszego, w każdym razie nic, co odpowiadałoby jej kieszeni... Ale to miła dziewczyna, gdybym miał córkę, chciałbym żeby była do niej podobna - grzeczna w rozmowie, ładna, spokojna, dobrze wychowana - wzruszył tłustymi ramionami - ... ale bez forsy, widocznie to reguła, że pieniądze mają tylko te gorsze... Często mówiłem jej, żeby wracała do domu, ale nie chciała nawet o tym słyszeć... Obiecała zdobyć pieniądze do jutra rana, ale chyba nic z tego nie wyszło, mam rację?

- Na to wygląda - przytaknął Conrad i nagle poczuł się zmęczony. Po cóż by jakaś aktoreczka, szukająca zajęcia, miała przychodzić do June Arnot, jak nie w nadziei uzyskania pomocy - pomyślał. Przypuszczalnie nie doszła dalej niż do domku strażnika. Było mało prawdopodobne, że June Arnot ją przyjęła.

Spojrzał na zegarek, minęła już północ.

- Dziękuję - powiedział i odsunął się od futryny. - To wszystko, co chciałem wiedzieć.

- Ale nie ma kłopotów, co? - zapytał grubas. Conrad pokręcił głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Po stęchłym odorze tamtego domu, nocne powietrze podziało na niego wyraźnie orzeźwiająco. Jechał do siebie. Jeśli Bardin powiedział, że jest przekonany, iż robotę wykonał Jordan, to po cóż on miałby się tym przejmować? Porozmawia jutro z prokuratorem okręgowym. Gdyby jednak miał pewność, że June Arnot i Maurer byli kochankami... Gdyby tak było, miałyby się pewne podstawy, by twierdzić, że morderstwem sterował właśnie Maurer, a kto wie, może nawet sam tego dokonał...

- Do diabła z Maurerem - pomyślał idąc ścieżką prowadzącą do drzwi. - Siedzi mi w głowie, jak ćpunowi trawka...

Przekręcił klucz w zamku i znalazł się w niewielkim, ciemnym hallu. W domu panowała przejmująca cisza.

Otworzył drzwi do sypialni i zapalił światło. Podwójne łóżko było puste.

A więc Janey wyszła i jeszcze nie wróciła.

Zdjął ubranie, po czym idąc do łazienki, by wziąć prysznic, powiedział na cały głos:

- Do diabła z nią!

Rozdział II

Charles Forest, prokurator okręgowy, siedział za ogromnym biurkiem, z papierosem wciśniętym między grube palce i wyrazem zamyślenia w oczach. Był niskim, korpulentnym mężczyzną o mięsistej twarzy, wąskich wargach, przenikliwych, zielonych oczach i kwadratowym podbródku. Jego gęste, siwe włosy znajdowały się w nieładzie, bo miał zwyczaj przeczesać je palcami, zwłaszcza wtedy, gdy pracował nad jakimś zawiłym problemem, a chyba większość czasu spędzał na rozwiązywaniu zawiłych problemów.

- Wydaje się, że McCanna zadowala twierdzenie, że zrobił to Jordan - zagaił Forest, wskazując stertę gazet piętrzących się na podłodze. - Paul, na pierwszy rzut oka sprawa jest jasna. Przeczytałem raport Bardina i jest raczej przekonujący... Jakie masz wątpliwości?

Conrad zagłębił się wygodnie w fotelu, położył nogę na oparciu i machnął nią ze zniecierpliwieniem.

- To wszystko jest zbyt proste - powiedział. - Doktor Holmes stwierdził, że wygląda to na fachową robotę i ja podzielam jego zdanie. Gdyby w grę wchodził szaleniec, musiałby mieć ogromne szczęście, by wszystkie sześć osób zabić jednym strzałem, tym bardziej że używał czterdziestki piątki. Taka broń porządnie szarpie, a on za każdym razem trafiał bez pudła... Myślę, że zabójca był dobrym strzelcem i nie byłbym wcale zdziwiony, gdyby okazało się, że coś takiego ma już na swoim koncie...

- Wiem - głos Foresta brzmiał łagodnie te sześć strzałów było rzeczywiście bardzo celnych. Ale sprawdziłem Jordana, był dobrym strzelcem, w brzeg karty do gry trafiał z odległości dwudziestu jardów, co wymaga wyjątkowej zręczności.

Conrad skrzywił się.

- Powinienem być to sprawdzić - stwierdził zły na samego siebie. - W takim razie, w porządku, to by wyjaśniało sprawę... Ale jest jeszcze jedna kwestia: Jordan używał do golenia maszynki elektrycznej i sądząc po jego wyglądzie, brzytwy nie miał w rękach od lat. A jednak... brzytwa tam była, czy to pana nie dziwi?

- Niespecjalnie, mogłoby to mieć znaczenie, gdybyśmy byli pewni, że jej nie miał, ale my tego nie wiemy... Ludzie używają brzytwy do wycinania nagniotków...

- Tak samo argumentował Bardin, ale rozmawiałem z doktorem Holmesem i okazuje się, że Jordan nie miał żadnych nagniotków... I jeszcze jedno - na jego ubraniu nie znaleźliśmy ani śladu krwi...

Forest kiwnął głową.

- Proszę dalej, śmiało... Do czego zmierzasz?

- Bardin mówił, że słyszał plotkę, z której wynikało, że June Arnot była kochanką Jacka Maurera - kontynuował Conrad spokojnie - - Przypuśćmy, że Maurer dowiedział się, że ona zdradza go z Jordanem... Jak by zareagował? Chyba nie wysłałby im gratulacji... Jeśli znam Maurera tak dobrze, jak mi się wydaje, to w odpowiedzi na taką zniewagę, poszedłby do niej i rozplatał brzuch, przy okazji odrąbując głowę. Dałby jej nauczkę, żeby już więcej go nie zdradzała - pochylił się do przodu, jego oczy wyrażały zdecydowanie. - Kiedy obejrzałem to wszystko, przyszło mi do głowy, że chodzi tu o zemstę gangu, co by tłumaczyło użycie zawodowców, no i tę bezlitosną masakrę. Tylko ona dawała pewność, że ani jeden świadek nie zostanie przy życiu. Poza tym, Maurer ma na tyle wyobraźni, że wie, iż musi pozostawić takie ślady, które odwrócą uwagę od niego i w tym przypadku miały pogrozić Jordana.

Forest utkwiał wzrok w bibularzu i zmarszczył brwi.

- Jaką mamy pewność, że ona była kochanką Maurera? - zapytał po długiej przerwie.

- Pewności nie mamy, ale gdybyśmy zaczęli grzebać, moglibyśmy się dowiedzieć...- Jeśli udałoby się nam udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że była jego kochanką, mielibyśmy jasność, że wpadłeś na właściwy trop, Paul - Forest wyciągnął rękę i zgasił papierosa w popielniczce. Podniósł wzrok i spoglądał badawczo na Conrada swoimi zielonymi oczami. - Nie muszę ci mówić, że przyjąłem to stanowisko wyłącznie dlatego, że chcę uziemić Maurera... Wiem co o nim myślisz, więc jest nas dwóch. Ale do tej pory nie udało nam się zrobić nic, kompletnie nic. Nigdy nie zrobił fałszywego kroku, żadnego ruchu,

który moglibyśmy wykorzystać przeciwko niemu. W ciągu ostatnich dwóch lat udało nam się dostać jego czterech najlepszych ludzi i było to duże osiągnięcie, zważywszy przeszkody, na jakie natrafialiśmy. Ciągłe depczemy mu po piętach, ale cóż z tego, skoro od chwili, gdy objąłem to stanowisko, nie posunęliśmy się ani o krok - pochylił się i wycelował palec w stronę Conrada. - Nie zamierzam bagatelizować żadnych domysłów, żadnych podejrzeń czy śladów, nawet najmniejszych, byleby tylko można było znaleźć cokolwiek przeciwko Maurerowi... W porządku, uważasz, że za tym wszystkim stoi Maurer, to możliwe. Nie twierdę, że tak było, ale mogło być i to mi wystarcza. A więc idź dalej tym tropem, ale postaraj się działać dyskretnie, żeby nikt się nie dowiedział co robisz. Jeśli chcemy go osaczyć, to uda nam się wyłącznie przez zaskoczenie, i nie miejmy złudzeń: przyłapanie Maurera na gorącym uczynku to zamiar graniczący z cudem, ma uszy wszędzie, zna każdy nasz ruch, ale idź i węższ... Pieniądze, jakie na to wydamy, nie pójdą na marne. Musimy się czepiać nawet najbardziej nieprawdopodobnych hipotez, inaczej do niczego nie dojdziemy. Tylko nie rób żadnych raportów na piśmie, niech to zostanie między mną a twoimi ludźmi. I nie mów nic na komendzie głównej, oczywiście, jeśli nie będziesz musiał. Jestem przekonany, że ktoś stamtąd sypie...

Twarz Conrada rozjaśnił uśmiech triumfu. Oczywiście miał nadzieję, że Forest zareaguje w ten sposób, ale zważywszy nawał pracy nie spodziewał się, że wyrazi zgodę na kontynuowanie śledztwa przy tak kruchych dowodach.

- Świetnie, szefie, zaraz się do tego zabieram... Van Roche i panna Fielding są bez zarzutu. Obydwoje będą mi potrzebni, poza tym nie będę wtajemniczał nikogo... Zobaczę, czy uda mi się znaleźć coś przeciwko June Arnot. Gdybym natrafił na jakieś powiązania z Maurerem, naprawdę mielibyśmy co robić...

- Zostawiam to tobie, Paul, tylko daj mi znać, jak będziesz miał jakieś wiadomości - spojrzał na zegarek. - Za dziesięć minut muszę być w sądzie... Nie zwlekaj z tym śledztwem, mamy mnóstwo roboty, ale ta sprawa jest najważniejsza, rozumiesz?

- Tak jest, szefie - powiedział Conrad wyraźnie zadowolony i wstał.

- Aha, jeszcze jedna kwestia, tym razem drobna - rzucił Forest mimochodem i spojrzał na Conrada. - To nie mój interes, ale muszę ci powiedzieć, bo cię lubię i twój los mnie naprawdę obchodzi... Jeśli uważasz, że nie mam prawa się wtrącać, to powiedz, a dam sobie spokój, myślę jednak, że czasami jedno słowo wypowiedziane we właściwym momencie może bardzo pomóc...

- Słucham, szefie - Conrad był wyraźnie zaskoczony. - Coś się stało?

- Jeszcze nie - Forest popatrzył na palącego się papierosa, potem podniósł głowę. - Nie wydaje ci się, że zaniedbujesz swoją żonę, Paul?

Twarz Conrada zeszywniała, był zdziwiony, czuł, jak krew powoli napływa mu do głowy.

- Nie bardzo rozumiem...

- Ktoś mi powiedział, że wczoraj wieczorem twoja żona była w Paradise Club, sama - głos Foresta brzmiał spokojnie. - Nie była całkiem trzeźwa... Nie muszę ci mówić, że ten klub jest własnością Maurera, ani też - że wielu ludzi, nie wyłączając samego Maurera i jego obstawy, zna żonę mojego głównego śledczego - wstał i obszedł biurko. - To wszystko, Paul. Nie wiem, czy wiedziałeś o tym, ale najwyższa pora, żebyś wiedział... Zrób coś z tym, dobrze? Bywanie tam nie przysłuży się naszej sprawie, nie sądzę również, by miało właściwy wpływ na twoją żonę - nagle uśmiechnął się, a jego surowa twarz nieco złagodniała. Położył dłoń na ramieniu Conrada. - Ale nie zachowuj się tak, jakby świat się kończył. Czasami kobiety, zwłaszcza piękne jak twoja żona, próbują trochę poszaleć. Może się nudzi, zwłaszcza gdy nagle cię gdzieś wzywają. Ale porozmawiaj z nią, na pewno będzie rozsądna - poklepał Conrada po ramieniu, wziął teczkę i podszedł do drzwi. - Muszę już iść. Będę czekał na wiadomość o Maurerze za dzień lub dwa.

- Tak jest, szefie - odpowiedział Paul głosem martwym i bez wyrazu.

2.

Conrad miał dwoje współpracowników - Madge Fielding, sekretarkę, i Van Roche'a, z których każde interesowało się wyłącznie pracą w sekcji specjalnej. Kiedy wszedł do biura, czekali na niego z wyraźną niecierpliwością.

- No i co? Jaka decyzja? - zapytał Van Roche, gdy Conrad zmierzał w stronę biurka.

- Bierzemy się za Maurera - powiedział odstawiając krzesło. - Prokurator okręgowy mówi, że nie przepuści nawet najmniejszej okazji, żeby go dostać i chociaż niezupełnie przekonują go nasze dowody, to jednak uważa, że powinniśmy kontynuować śledztwo, bo może znajdziemy jakiś ślad...

Van Roche uśmiechnął się i zatarł ręce. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o ciemnej cerze i wąsach cienkich jak ołówki.

- Doskonale! - wykrzyknął. - Ale pewnie musiałeś to na nim wymusić... Od czego zaczynamy?

Conrad popatrzył na Madge, która siedziała za biurkiem, bawiąc się piórem. Jej duże, szare oczy były zamyślane. Mogła mieć 26, 27 lat, była drobna, ładnie zbudowana. Nie miała

pretensji do urody. Jej drobne rysy, zadarty nosek i mocne usta nadawały twarzy interesujący wyraz, ale nic poza tym. Ów brak rekompensowała zadziwiającą wytrzymałością w pracy, bezgranicznym entuzjazmem i młodzieńczą energią.

- Co ty na to, Madge? - zapytał Conrad uśmiechając się do niej.

- Myślę, że chcąc grzebać w przeszłości Maurera powinniście sobie kupić kuloodporne kamizelki - odpowiedziała spokojnie. - Ja nie żartuję...

Van Roche wzruszył ramionami.

- Ależ ona jest przewidująca... Pozwólcie naszej małej Madge znaleźć jakiś słaby punkt... Tak czy inaczej chyba wykupię polisę ubezpieczeniową. Będę musiał ubezpieczyć się na wypadek śmierci. Chciałbym być pochowany z fasonem...

Conrad pokręcił głową.

- To najmniejsze zmartwienie, Maurer nie ma zwyczaju strzelać do policjantów. Dziesięć lat temu to co innego, ale teraz? Jako człowiek interesu ma zbyt dużo do stracenia, wie dobrze, że mogłoby go to zupełnie pogrzyźć... Nie, nie wydaje mi się, że tego powinniśmy się bać, nic się nam nie stanie. Za to naszych świadków będziemy musieli strzec jak oka w głowie, pod warunkiem, że ich w ogóle znajdziemy...

- Dobra, jest to jakaś pociecha - stwierdził Van zapalając papierosa. - Co robimy na początek?

- Niestety, nic szczególnego. Najpierw musimy przejrzeć sprawy bieżące i zdecydować co można odłożyć na półkę, przynajmniej na razie, a co trzeba dokończyć. Prokurator powiedział, że w pierwszej kolejności mamy zająć się Maurerem, ale nie możemy całej reszty wyrzucić do kosza... Zobaczymy, co jeszcze jest na tapecie, a jeśli się przyłożymy, mamy szansę skończyć do jutra rana... Madge, spisz w punktach najważniejsze sprawy, a potem - do roboty...

Madge skinęła głową na znak zgody i energicznym krokiem pośpieszyła w stronę sejfów. Kiedy wyjmowała teczki z pilniejszymi sprawami, Van podszedł do biurka i zaczął gorączkowo przeglądać akta, które czekały na załatwienie.

- A od czego zaczniemy w związku z Maurerem, Paul? - zapytał, przerzucając dokumenty.

- Żeby go powiązać z morderstwem, musimy wpierw udowodnić, że znali się z June Arnot. Trzeba więc zacząć od June... Byłoby dobrze, żebyś pojechał jutro do Dead End i sprawdził każdy dom i każdego kogo spotkasz na drodze. Udawaj, że chodzi ci o Jordana. Spróbuj zdobyć rysopisy wszystkich, którzy regularnie odwiedzali June Arnot. Przy odrobinie szczęścia mógłby się tam znaleźć rysopis Maurera... Ale cokolwiek będziesz robił, nie

wymieniaj jego nazwiska, Jeśli będziemy pytać o niego, sparzemy sobie ręce, a przecież nie o to nam chodzi...

Madge podeszła ze stosem akt.

- Jest tego więcej niż myślałam - powiedziała, kładąc je na biurku Conrada. - Ale niektóre z nich nie wymagają pośpiechu...

- Zobaczymy - przerwał Conrad, zdejmując płaszcz. - Chodź Van, pokaż, jak potrafisz pracować...

Minęła dopiero dziewiąta piętnaście wieczorem, gdy większość naglących spraw mieli już za sobą. Fakt ten sprawił wyraźnie Conrada w stan zadowolenia - miał co najmniej cztery dni, w czasie których mógł się skoncentrować wyłącznie na osobie Maurera.

Z westchnieniem ulgi odsunął krzesło.

- Poszło nieźle... To już koniec, co? - zwrócił się do Madge, która przytaknąwszy zabrała z rąk Conrada teczkę z aktami, położyła ją na stosie pozostałych i wszystkie zaniosiła do sejfu. Van Roche wstał zza biurka i rozprostował kości.

- Nigdy więcej takich dni... - stwierdził z przekonaniem - - Kolega Maurer byłby mile zaskoczony, gdyby wiedział, jak ciężko pracujemy, żeby tylko wrzucić kamień do jego ogródka...

Conrad spojrział na zegarek.

- No dobra, idę do domu, spotkamy się jutro o dziewiątej rano. Ułożymy jakiś plan działania i zobaczymy, co z tego wyjdzie - wzięł kapelusz i wstał z krzesła. - Do widzenia, prześpijcie się trochę, to wam dobrze zrobi...

Dopiero gdy znalazł się w samochodzie i zapalił silnik, pomyślał o Janey. Obiecał sobie, że w godzinach pracy nie będzie sobie zaprzętał nią głowy, ale teraz znowu wrócił do niej myślami.

Dlaczego wybrała właśnie Paradise Club? - przypomniał sobie ze złością, mknąc wyludnioną ulicą. Wiedziała dobrze, że klub należy do Maurera, doskonale zdawała sobie też sprawę, co Conrad o nim sądzi. Czyżby poszła tam rozmyślnie po to, żeby zrobić mu na złość? I kim była owa „życzliwa osoba”, która doniosła o tym Forestowi? - Twarz Conrada stężała z niepokoju. - „Nie była całkiem trzeźwa”. Nie jest przyjemne usłyszeć coś takiego o żonie i to od własnego szefa. „Porozmawiaj z nią” - powiedział Forest - „na pewno będzie rozsądna”. Ale Paul uważał, że od Janey trudno wymagać czegoś takiego. Słuchanie głosu rozsądku nie było jej najmocniejszą stroną i Conrad nie miał złudzeń, że potrafi skłonić ją do czegokolwiek.

Kiedy otworzył drzwi, Janey siedziała w fotelu i przeglądała jakieś piśmidła. Twarz miała zimną, posepną, Conrad od razu zauważył, że jest rozdrażniona.

Poprzedniej nocy nie słyszał, jak wróciła do domu, chociaż zazwyczaj miał lekki sen, natomiast gdy wstawał rano, nawet się nie poruszyła, mimo iż był pewien, że nie śpi. Postanowił więc niezwłocznie przejść do rzeczy, zresztą, kłótnia i tak wisiała na włosku. Podeszedł do wygaszonego kominka i usiadł w fotelu naprzeciw Janey.

- Janey...

- O co chodzi? - zareagowała bezbarwnym głosem, nie podnosząc wzroku.

- Wczoraj wieczorem widziano cię w Paradise Club - mówiąc te słowa zauważył, że nagle zeszywniała, a przez jej twarz przebiegł wyraźny niepokój. Opanowała się jednak szybko i spojrzała na niego z nie ukrywaną wrogością.

- I co z tego? Masz szczęście, że nie poszłam do „Ambasadora”, „Paradise” jest o wiele tańszy...

- Nie o to chodzi... Wiesz równie dobrze jak ja, że Paradise Club jest własnością Maurera... Co chciałaś przez to pokazać?

- Posłuchaj, Paul, dość długo wiele od ciebie znosiłam, ale niech mnie diabli, jeśli pozwolę, żebyś mnie jeszcze pouczał - powiedziała gwałtownie. - Świetnie nadajesz się do wygłaszania kazań!... Przychodzisz do domu, kiedy chcesz, wychodzisz, kiedy chcesz. Ja się nie skarżę. Ale nie myśl, że jestem ślepa i nie wiem co dzieje się w twoim biurze. Tej twojej Fielding może daleko do gwiazdy, ale każdy widzi, że to seksowna dziwka. Myślę, że ktoś z taką twarzą na pewno pozwala ci na wszystko!

- Słuchaj, Janey - przerwał jej ostro - nie będziemy do tego wracać... Poprzednim razem dałem się wciągnąć w tę bezsensowną rozmowę, ale to było pierwszy i ostatni raz, więcej nie dam się nabrać. Nie próbuj zmieniać tematu... Dlaczego poszłaś do Paradise Club?

- To moja sprawa - wybuchnęła. - Nie pozwolę, żebyś mnie przesłuchiwał!

- Nie możesz tam bywać - Conrad mówił nie ukrywając gniewu. - Obydwoje wiemy, że to kwatery Maurera i chodząc tam narażasz na śmieszność cały mój wydział. Nie widzisz tego?

Zachichotała, ale gdy podniosła głowę rysy jej twarzy stężały.

- Czy ty naprawdę myślisz, że twój zakichany wydział cokolwiek mnie obchodzi? Jeśli będę miała ochotę pójść do klubu, to i tak pójdę!

- Forest powiedział mi, że tam byłaś. Ktoś życzliwy doniósł mu o tym, dodając, że byłaś pijana... Jak sądzisz, czy długo utrzymam się na stanowisku, jeśli będziesz tak postępować?

Janey w momencie pobladła, a jej oczy zabłyśły.

- A więc twoja parszywa policja zaczęła mnie już szpiegować, co? - wykrzyknęła. - Mogłam się tego spodziewać. Powiedz ode mnie temu swojemu zakłamanemu szefowi, żeby pilnował swojego nosa. Ani on, ani ty, ani nikt inny nie będzie mi dyktował, co mam robić! A jeśli to ci się nie podoba, możesz iść do diabła!

Odwróciła się i wyszła z pokoju, zatrząskując za sobą drzwi.

3.

Gdy Conrad przechodził korytarzem prowadzącym do biura, zegar na City Hall wybijał właśnie dziewiątą. Energicznie otworzył drzwi, wszedł i nie zatrzymując się w drodze do biurka, wycelował kapeluszem prosto w wieszak.

Madge i Van Roche byli już na swoich miejscach. Madge ślęczała nad maszyną do pisania, a Van z papierosem w zębach bazgrał coś w notatniku, mrużąc oczy z powodu dymu, który spiralnie unosił się wokół jego twarzy.

- Masz gościa, Paul - powiedział odsuwając notatnik i wskazał kciukiem na drzwi, prowadzące do małego przedpokoju, który używany był do przesłuchań. - Nawet nie zgadniesz kogo...

Conrad położył teczkę na biurku i sięgnął do pudełka z papierosami, które leżało obok telefonu.

- Nie chcę dzisiaj nikogo oglądać... Kto to jest?

- Flo Presser.

Conrad rozwarł szeroko oczy, unosząc brwi.

- Chyba żartujesz... Van uśmiechnął się.

- Idź i sam zobacz, zresztą, wystarczy żebyś zajrzał przez dziurkę od klucza, a sam się przekonasz... Mogę się założyć, że wykapała się w „Last Night’s Kiss”, czy jak to się nazywa... Pachnie, aż w nosie kręci...

- Flo Presser? O tej porze? Czego chce?

- Zaginął jej przyjaciel i chce, żebyś go znalazł.

- Dlaczego, do diabła, nie powiedziałaś jej, że jestem zajęty? Spław ją, Van, mam ważniejsze rzeczy do roboty niż zaprzętać sobie głowę akurat nią. Powiedz jej, żeby poszła na policję.

- A wiesz, kto jest jej przyjacielem? - twarz Vana nagle spoważniała.

- Nie. Kto?

- Toni Paretti.

Conrad ściągnął brwi, to nazwisko wydało mu się znajome.

- Kto to jest?

- Tak się składa, że to szofer i zarazem goryl Maurera. Dlatego pomyślałem, że może jednak będziesz chciał rozmawiać.

Conrad zaciągnął się głęboko, potem wypuścił dym w sufit.

- Rzeczywiście, nie da się ukryć, to on... Podała jakieś szczegóły?

- Mieli się spotkać przedwczoraj wieczorem. Zadzwoił do niej około piątej i powiedział, że ma pilną robotę. Zaproponował randkę o jedenastej w barze Sama przy Lennox Street. Czekala do drugiej, potem wróciła do domu. Wczoraj telefonowała przez cały dzień, ale nikt nie odbierał. Po południu była u niego, ale go nie zastała. Pytała znajomych - nikt go nie widział, jeszcze raz poszła do baru Sama i dalej czekała, jednak bez skutku. Dzisiaj rano doszła do wniosku, że musiało się coś stać i przyszła tutaj...

- Czego chce od nas?

- ... żebyśmy go znaleźli.

- A nie przyszło jej przypadkiem do głowy, że mógł jej mieć dość i po prostu odszedł?

- Chyba nie i mnie też wydaje się to nieprawdopodobne. Nie sądzę, żeby taki szczer jak Paretto odszedł od Flo, przecież to kopalnia złota, a nie taka sobie zwykła dziwka. Ona robi pieniądze, Paul, i z tego, co słyszę, są to bardzo duże pieniądze. Trudno sobie wyobrazić, żeby Paretto zrezygnował z takiej dojrzałej krowy...

- Mógł sobie znaleźć inną dziewczynę... Ale najbardziej mnie intryguje jedno - dlaczego przyszła tutaj, zamiast pójść na policję?

Van stłumił śmiech.

- Dokładnie o to samo ją spytałem. Odpowiedziała, że uważa cię za dżentelmena i ma do ciebie zaufanie. Wybacz, ale nie powiem ci, jak się wyraziła o policji...

Conrad westchnął.

- Dobra, niech już będzie, ale nic mam zamiaru poświęcać jej zbyt wiele czasu...

Przeszedł przez pokój i otworzył dźwiękoszczelne drzwi, prowadzące do poczekalni. Uderzyła go fala intensywnych, ciężkich perfum, tak mocna, że aż się skrzywił. Flo przechadzała się tam i z powrotem, trzymając papierosa w purpurowych wargach. Była ładną dziewczyną, miała około 25 lat, wyzywające kształty, włosy blond z odcieniem mosiądzu, a w oczach gład pieniądza.

Usłyszawszy Conrada odwróciła się gwałtownie. Jej szeroka spódnica zawirowała i na krótką chwilę opłotła długie, szczupłe uda.

- Hallo, Flo - Conrad dość często spotykał ją w sądzie. Flo regularnie trafiała za kratki za prostytutkę i przez to знаła większość urzędników sądowych. - O co chodzi?

- Och, proszę pana, mam nadzieję, że nie ma mi pan za złe, że tu przyszedłam. Umieram z niepokoju. Wiem, że nie powinnam zwracać panu głowy, zdaję sobie sprawę, jak bardzo jest pan zajęty... Tej nocy myślałam już, że zwiariuję z powodu Toniego, a dzisiaj rano...

- Okay, daruj sobie... - przerwał Conrad niecierpliwie, siadając na brzegu biurka. - Nie powinnaś była tu przychodzić, ale skoro już jesteś, to pomówmy konkretnie... Skąd jesteś taka pewna, że Toni cię nie rzucił?

Brązowe oczy Flo rozwarły się szeroko.

- Odejść? Ode mnie? Ależ proszę pana, on nie zrobiłby tego. Poza tym ja wiem, że tego nie zrobił.

- Skąd wiesz?

Zawahala się i spojrzała na niego spod oka.

- Zatrzyma pan to dla siebie?... Gdyby Toni wiedział, że przyszedłam do pana, obdarłby mnie ze skóry...

- Skąd wiesz, że nie odszedł od ciebie? - powtórzył.

- Mam jego szmal - powiedziała po chwili. - Nie powinnam o tym mówić, ale Toni nigdy by mnie nie zostawił z pięcioma tysiącami zielonych, które są jego własnością. Nie mówiąc już o tym, że w ogóle by mnie nie rzucił.

Conrad popatrzył na nią z uwagą. Miała rację. Słyszał już co nieco o Paretim. Gdyby miał zamiar opuścić Flo, to pierwszą rzeczą, jaką by zrobił, byłoby odebranie własnych pieniędzy.

- Sądzisz, że coś mu się stało? Skinęła głową.

- Musiało się stać, może miał wypadek albo jeszcze co innego.

- Mielście się spotkać przedwczoraj wieczorem, zgadza się?

- Tak, zadzwonił koło piątej i powiedział, że odwołuje spotkanie, bo ma jakąś robotę do wykonania.

- Jaką robotę? Pokręciła głową.

- Nie mówił.

- Powiedział, że ma robotę i nic więcej? Jak to brzmiało dokładnie?

- Powiedział tak: szef chce, żebym wykonał pewną robotę, spotkamy się w barze Sama o jedenastej. Tylko tyle, więcej go nie widziałam.

- Na którą umówiliście się, zanim odwołał spotkanie?

- Na siódmą.

Conrad popatrzył na nią badawczo.

- Dlaczego przyszedł do mnie, Flo? Jej oczy uciekły przed jego wzrokiem.

- Nie miałam do kogo pójść, a nie było sensu iść do glin. Oni nie lubią Toniego... Pytałam wszędzie, ale nikt nie potrafił mi nic powiedzieć i kiedy zaczęłam szaleć ze zdenerwowania, pomyślałam o panu... Był pan dla mnie zawsze miły, sądziłam, że...

- Dajmy już spokój... Toni pracuje dla Maurera, tak?

Na twarzy Flo pojawił się lekki niepokój. Odwróciła się, żeby strzepnąć papierosa do kosza na śmieci.

- Nie wiem, dla kogo Toni pracuje, nigdy mi tego nie mówił.

- Nie opowiadaj bajek, dla Maurera, prawda?

Skierowała twarz w jego stronę, było na niej widać wyraźne napięcie.

- Mówię panu, że nie wiem, niech mnie pan nie traktuje jak glina... Zawsze uważałam pana za przyjaciela...

Conrad wzruszył ramionami.

- Dobrze Flo, zajmę się tą sprawą. Nie mogę nic obiecać, ale zobaczę, co się da zrobić... Gdzie cię szukać?

Flo ożywiła się.

- Wiedziałałam, że zechce mi pan pomóc... Powiedziałam sobie...

- Gdzie cię szukać? - powtórzył Conrad zniecierpliwiony.

- Sto czterdziesta czwarta ulica, numer 23 c... A może by pan kiedyś wpadł do mnie wieczorem? Zrobię wszystko, żeby był pan zadowolony, przysięgam... I nie będzie to pana nic kosztowało...

Conrad roześmiał się.

- Nie rozmawia się tak z poważnym, żonatym mężczyzną, Flo - powiedział, odprowadzając ją do drzwi. - W każdym razie, dziękuję za propozycję...

- Pierwszy raz słyszę, żeby żonaty facet był poważny. A powinnam wiedzieć - zatrzymała się w drzwiach prowadzących do wyjścia. - Niech mi pan da znać, jak się czegoś dowie...

- Oczywiście, niedługo skontaktuję się z tobą. Do zobaczenia - powiedział i zamknął za nią drzwi.

- No i co, nie udusiłeś się? - zapytał Van, gdy Conrad wrócił do pokoju.

- Prawie, piekielnie mocny zapach... Madge, czy mamy akta Paretiego? - oczy Conrada nagle spowaźniały.- Oczywiście - Madge podeszła do sejfu, odszukała dokumenty i podała Conradowi.

Usiadł wygodnie, otworzył teczkę i zaczął studiować jej skąpą zawartość. Van patrzył na niego z rosnącym zaciekawieniem.

- Nie ma tego zbyt wiele - stwierdził Paul po kilku minutach wertowania. - Jest po dwóch wyrokach, zresztą niezbyt wysokich, ale wierzcie czy nie - był zatrzymywany 27 razy. Posłuchajcie... 7 zatrzymań za podejrzenie zabójstwa, 12 za napady i grabieże, 4 za posiadanie narkotyków, 1 za oszustwo, 1 za współpracę ze znanymi kryminalistami... Po raz pierwszy stanął przed sądem jako nieletni... Za każdym razem udało mu się wywinąć, no, z wyjątkiem dwóch spraw dla nieletnich i kontaktów z bandziorami, ale te wyroki miały miejsce długo przed tym, zanim załapał się u Maurera - podniósł wzrok i spojrzał na Vana. - Ale jest tu jedna ciekawa informacja: Paretto świetnie strzela z czterdziestki piątki... Nic ci to nie mówi?

Van gwizdnął zaskoczony.

- Chcesz powiedzieć, że to może mieć jakiś związek z masakrą w Dead End?

- Pomyśl sam, miał randkę z Flo o siódmej przedwczoraj wieczorem, a przecież był to dzień zabójstwa. Nagle odwołał spotkanie, usprawiedliwiając się przed Flo jakąś robotą dla szefa... My dobrze wiemy, kto jest tym szefem... Około siódmej wieczorem ośmioro ludzi zostaje zamordowanych, w tym sześcioro z czterdziestki piątki...

- Nie bardzo widzę Paretiego, odrąbującego głowę June - Van nie krył wątpliwości. - To nie w jego stylu.

- Ależ ja wcale nie twierdzę, że to on zabił June. Myślę, że zawiózł Maurera do Dead End, i kiedy tamten rozprawiał się z June, Paretto zajmował się służbą...

- A niech to... Maurer musiałby być szaleńcem, żeby samemu zabijać June, przecież ma mnóstwo zbirów, którzy bez problemu mogli to zrobić za niego...

- Założę się, że Maurer zrobił to osobiście - Conrad pochylił się do przodu z łokciami opartymi na biurku i twarzą ukrytą w dłoniach. - Sądzę, że zorientował się, że June go zdradza i wpadł we wściekłość. Zabrał Paretiego do Dead End i tam się z nią rozprawił - zdusił papierosa. - I powiem ci, dlaczego tak uważam: otóż Maurer wiedział, że nic nie ryzykuje, bo dotąd nie zrobił jednego fałszywego kroku, nie zrobił nic, do czego moglibyśmy się przyczepić. Przecież do dziś każde zaplanowane przez niego morderstwo było wykonane rękami jego ludzi, przy czym instrukcje dostawali oni od pośredników, nie od Maurera, tak więc żaden ślad nie mógł zaprowadzić do niego. Ale tym razem Maurer dostaje cios pomiędzy oczy. Teraz chce wyrównać rachunek sam, osobiście. To wyłącznie prywatna sprawa między nim a June. Bierze więc Paretiego i jedzie z nim do Dead End. Jest znany domownikom, dlatego ani jeden świadek nie może pozostać przy życiu, nikt, kto mógłby go

widzieć, czy choćby skojarzyć jego nazwisko z June. Dalej - Paretti zajmuje się służbą, podczas gdy on idzie na basen i odrąbuje jej głowę - tu strzelił palcem w stronę Vana. - Co dzieje się potem? Po rzezi żyje ciągle jeszcze jeden świadek - Paretti. Czy to nie jest podobne do Maurera?" Ten człowiek nie zaufałby nawet własnej matce. Paretti pracował u Maurera 15 lat, ale ten mu nie ufał, dlatego następnie wykończył Parettiego i założył się, że Flo o tym wie; dlatego do mnie przyszła. Za bardzo boi się Maurera, by wymieniać jego nazwisko, ale też nie jest głupia i przychodząc do mnie z tą historyjką wie, że dojdę do tego sam...

Gdy Conrad mówił, Madge i Van siedzieli cicho, w napięciu. Kiedy przestał, Van trzasnął pięścią w biurko.

- Założę się, że tak właśnie było! - wykrzyknął podniecony. - To wszystko pasuje do Maurera jak ulał i wyjaśnia dlaczego Flo do nas przyszła. W ten sposób chce wyrównać rachunki za sprzątnięcie jej przyjaciela... A my teraz musimy to udowodnić...

- To nie będzie łatwe - powiedział Conrad spokojnie. - Zrobimy tak... Po pierwsze, Van, pójdziesz do Parettiego i przewrócisz jego dom do góry nogami. Przetrzęsij go tak dokładnie, jakbyś szukał bryłek złota. Nie mówię, że coś znajdziesz, ale kto wie... Idź tam i przyłóż się do roboty - wynotował adres z papierów Parettiego i rzucił go Vanowi. - Masz, tu mieszka... Weź broń i uważaj. Nie mów nikomu, kim jesteś, chyba że będziesz zmuszony. Gdyby trzeba było się włamać, zrób to... Ja idę do Pacific Studios, zobaczę, może dogrzebię się jakichś informacji o June. Wrócę o pierwszej i wtedy będzie wiadomo, na czym stoimy.

Van otworzył biurko i wyjął rewolwer, kaliber 38. Sprawdził magazynek, teatralnym gestem wycelował go w powietrze, następnie schował do kieszeni. - Madge, chcę, żebyś to zapamiętała... - powiedział zwracając się do niej - idę na robotę, z której mogę wrócić podziurawiony jak sito, tymczasem nasz mistrz intelektu wybiera sobie przyjemne zajęcie - wśród gwiazd filmowych, przepychu, pięknych nóg i wielkiej pompy. Zapamiętaj! Nie mówię, że to nieuczciwe, ale zanotuj na wszelki wypadek.

- Rusz się! - rzucił Conrad, nic miał nastroju do żartów. - I oby nam się powiodło!

4.

Pełna temperamentu dziewczyna o płomiennych włosach pro - wadziła Conrada labiryntem korytarzy wyłożonych gumolitem, mijając po drodze niezliczoną ilość drzwi, do których przytwierdzone były łatwe do usunięcia tabliczki z nazwiskami dyrektorów, producentów i kierowników produkcji. Sprawiała wrażenie urażonej faktem, iż musi prowadzić gościa do kogoś z tak niską pozycją jak Harrison Fedor, kiedy więc podeszli pod

drzwi jego gabinetu w najodleglejszej części budynku, nawet się nie zatrzymała, tylko skinęła ręką pogardliwie i pokazując Conradowi plecy, powiedziała:

- To tu, proszę wchodzić - i poszła dalej kołysząc lekceważąco biodrami.

Conrad zastukał, po czym nacisnął klamkę.

- Wejść - usłyszał w odpowiedzi. Fedor siedział za biurkiem z cygarem w ustach, jego szczupła twarz o ostrych rysach wyrażała zadowolenie.

- Przyszedł pan z tą rudą, co kręci tyłkiem, prawda? - zapytał wyjmując z szuflady biurka butelkę „Four Roses” i dwa kieliszki, które postawił na bibularzu. - Czeka ją niespodzianka. Jutro kiedy sprawa się sypnie, przestanie kołysać kuprem i zacznie mi okazywać więcej szacunku...

Conrad wziął krzesło i usiadł.

- A o co chodzi?

Fedor zatarł dłonie i rozpromienił się.

- Laird awansował mnie na szefa reklamy z taką pensją, że oko panu zbieleje. Musiałem go do tego przekonać i w końcu dziś rano wyraził zgodę. Jutro przenoszę się do gabinetu na pierwszym piętrze, na którego widok sam prezydent pozieleniałby z zazdrości... No i co pan na to?

Conrad złożył gratulacje i sięgnął po jeden z kieliszków. Wypili z nabożeństwem, po czym Fedor zagłębił się w fotelu i uniósł krzaczaste brwi.

- Co pana do mnie sprowadza? Nie chcę ponaglać, ale mam przed sobą ciężki dzień...

- Próbuję połączyć kilka luźnych nitek, wiążących się ze śmiercią June Arnot - powiedział Conrad płynnie. - Czy jest tu ktoś, kogo darzyła szczególnym zaufaniem? Może jakaś garderobiana, sekretarka, albo ktoś w tym rodzaju?

Oczy Fedora nabrały czujnego wyrazu.

- A czego chciał się pan dowiedzieć?

- Jutro zaczyna się śledztwo i muszę mieć wiarygodnego świadka, który potwierdzi, że June Arnot i Jordan byli kochankami... Myślę, że nie ma potrzeby panu zaprzętać tym głowy...

- Do diabła, ma pan rację, wołałbym nie... - Fedor pochylił się gwałtownie do przodu.

- Jutro będę miał cholernie dużo roboty... Czy to wszystko, czego chciał pan się dowiedzieć?

- „Wszystko.

Fedor przez moment się zamyślił.

- Niech pan porozmawia z Mauvis Powell, była sekretarką June. Będzie знаła szczegóły.

- Gdzie ją znajdę?

- Ma biuro w końcu korytarza... Zadzwoń do niej i powiem, że pan się do niej wybiera...

- Świetnie... I jeszcze jedno... Kto mógłby powiedzieć coś o Jordanie?

Fedor ściągnął brwi.

- Jest pan bardzo drobiazgowy, nie? Myślałem, że sprawa na tym się kończy...

Conrad uśmiechnął się rozbrajająco.

- Chcielibyśmy szybko skończyć, ale niestety, nigdy nie wiemy, o co koroner zapyta, musimy być dobrze przygotowani... Czy jest pod ręką ktoś, kto mógłby powiedzieć, jak Jordan spędzał wolny czas?

Fedor podrapał się w nienaturalnie wystający podbródek.

- Jest tu Campbell, jego garderobiany, on mógłby panu pomóc. Na dole sprząta garderobę Jordana. Każdy panu powie, gdzie go znaleźć...- Okay, porozmawiam z nim... Czy mógłby pan zawiadomić miss Powell, że jestem w drodze?

- Oczywiście - Fedor sięgnął po telefon, wykręcił numer i powiedział:

- Mauvis? Mówi Fedor. Jest u mnie Paul Conrad z Prokuratury Okręgowej, chce z tobą porozmawiać o June. Powiedz mu wszystko, co chce wiedzieć, dobrze? - chwilę słuchał, potem dodał: - Dobra z ciebie dziewczyna... Zaraz tam będzie - zwrócił się do Conrada: - Załatwione bracie, niech pan idzie... Ostatni pokój w korytarzu...

Mauvis Powell, wysoka, ciemnowłosa kobieta przed czterdziestką, ubrana była gustownie, w czarny kostium, szyty na miarę, spod którego wystawała biała jedwabna bluzka o prostym, skromnym kołnierzyku. Kiedy Conrad wszedł, skierowała wzrok w jego stronę, posyłając mu chłodny uśmiech.

- Proszę wejść - wskazała ręką fotel. - Czym mogę panu służyć?

Jej biurko zarzucone było nie odpieczętowanymi jeszcze listami i lśniącymi fotografiami June Arnot.

- Być może potrzebny będzie świadek, miss Powell... Musimy powiązać pewne fakty... Czy to prawda, że June i Jordan byli kochankami?

Spojrzała na niego badawczo, nie kryjąc znudzenia.

- Nie dałabym głowy... - odrzekła z pogardliwym uśmiechem. - Miss Arnot często mówiła o swoich kontaktach z Jordanem, nie wyłączając pikantnych szczegółów, ale równie dobrze mogła kłamać. Nie jestem tego pewna, w łóżku nigdy ich nie oglądałam...

- To zrozumiałe, ale - czy z rozmowy z nią nie wywnioskowała pani, że rzeczywiście byli kochankami?

- Łagodnie powiedziane...

- Czy poza Jordanem miała jeszcze innych kochanków? - Conrad zapytał mimochodem, jakby od niechcienia. W momencie dojrzał w jej oczach nagłą czujność.

- Czy koniecznie musimy niszczyć reputację miss Arnot? - zapytała, a jej głos nagle stał się zimny.

- Mam nadzieję, że nie, ale pytanie jest ważne i chciałbym uzyskać odpowiedź...

- Miała innych kochanków... Miss Arnot kierowała się własnym kodeksem moralnym.

- Czy mógłbym w zaufaniu otrzymać ich nazwiska? Widział, że zeszywniała, na twarzy pojawił się gniew.

- Nie mam zamiaru brać udziału w żadnej brudnej kampanii, jaką szykuje Prokuratura Okręgowa - stwierdziła ostro. - Czy to wszystko, co chciał pan wiedzieć, panie Conrad? Pan wybacz, ale mam dużo pracy...

- To nie jest żadna brudna kampania - odpowiedział Conrad spokojnie. - Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa, miss Powell... Nie jesteśmy do końca przekonani, że to Jordan zabił June Arnot...

Kobieta patrzyła na niego w milczeniu.

- Musiałam niezbyt dokładnie czytać gazety...

- Powiedziałem, że nie jesteśmy do końca przekonani... - powtórzył bez emocji, cierpliwie. - Na pierwszy rzut oka wydaje się pewne, że to właśnie Jordan ją zabił, ale my nauczyliśmy się nie przyjmować bezkrytycznie nawet oczywistych faktów... Czy prawdą jest, że June Arnot i Jack Maurer byli kochankami?

Wyprostowała się, usta zaciskając w twardej linii.

- Nie wiem - wyrecytowała stanowczo lodowatym głosem i Conrad zrozumiał, że dalsze naleganie, by odpowiedziała, będzie zwyczajną stratą czasu.

- Okay, jeśli pani nie wie, to znaczy, że tak jest - wzruszył ramionami. - Daję słowo, że ta rozmowa zostanie między nami. Nie będzie pani musiała zeznawać publicznie.

- Nie wiem - powtórzyła bezbarwnym głosem.

Wymienili spojrzenia, i Conrad był pewien, że na ten temat nie powie już nic więcej.

- Czy zna pani może Frances Coleman? Zdaje mi się, że w tej chwili nigdzie nie pracuje...

- Znam ją, grała mały epizod w ostatnim filmie miss Arnot.

- Czy wie pani może, po co odwiedzała June Arnot tego wieczora, kiedy ją zamordowano?

- Nie wiedziałam, że u niej była.

- Jej nazwisko znajduje się w księdze gości. Wyglądała na zaskoczoną.

- Nie była umówiona, musiała pójść bez zapowiedzenia.

- Czy jest możliwe, że June Arnot ją przyjęła? Wzruszyła ramionami. - To zależałoby od humoru miss Arnot, ale... to raczej mało prawdopodobne... Nie przyjmowała ludzi, których nie znała... Nie przypominam sobie też, by kiedykolwiek zgodziła się przyjąć kogoś nie zapowiedzianego.

- Ale Jordana oczywiście to nie dotyczyło? Mauvis Powell pokręciła głową.

- Och, nie, on bywał w Dead End, kiedy tylko chciał...

- A Jack Maurer też miał wolny wstęp? Popatrzyła na niego ściągając usta.

- Powiedziałam już panu, że o Maurerze nic nie wiem...

- Ale słyszała pani o tym człowieku?

- ... Kto nie słyszał... - mówiła wzruszając ramionami. - Jeśli to wszystko, panie Conrad... - wyciągnęła rękę po pakiet zalakowanych listów.

- Jeszcze jedna sprawa... Frances Coleman opuściła dom, w którym mieszkała. Nie wie pani, jak mógłbym ją odnaleźć?

- Pytał pan w biurze zatrudnienia aktorów albo w związkach zawodowych? Oni będą mieć nowy adres...

Conrad skinął głową.

- Dziękuję, zapytam... Nie ma pani przypadkiem jej zdjęcia? - Przesłała mu spojrzenie pełne zniecierpliwienia, wykręciła się na krześle i otworzyła szafę, z której wydobyła pękata teczkę.

- Może znajdę między ostatnimi zdjęciami z filmu miss Arnot... Zaraz zobaczę...

Conrad patrzył, jak szczupłymi palcami przebiera w ogromnej stercie błyszczących zdjęć, w pewnej chwili zawahała się, potem wyciągnęła jedną z fotografii i przyjrzała się jej uważnie.

- O, jest tutaj... Niekiedy angażowano ją, żeby dublowała miss Arnot... Tę fotografię zrobiono, żeby sprawdzić jak wyjdzie na filmie nowy kostium June Arnot...

Conrad wziął fotografię o wymiarach 7 na 5 cali i wlepił w nią wzrok. Dziewczyna miała około 23 lat, ciemne włosy i pełne powagi oczy, które wpatrywały się prosto w niego. Od tego spojrzenia dziwny dreszcz przebiegł mu po plecach.

Tej twarzy - tak to odczuł - nie dało się zapomnieć, istniała w snach każdego mężczyzny. Włosy z przedziałkiem, dokładnie pośrodku głowy okalały jej twarz, sięgając niemal ramion. Pod równo obciętą grzywką ukrywała niezwykle szerokie czoło. Ale najbardziej przyciągały jej oczy. Podobało mu się to poważne, a zarazem pogodne spojrzenie,

dostrzegał w nim ciekawość życia, jak gdyby świat, który ją otaczał, wydawał się ciągle nowy, fascynujący, niezbadany.

- Większość mężczyzn jest nią zafascynowana... - stwierdziła Mauvis Powell sucho.

Dźwięk jej głosu uświadomił Conradowi, że musi już kończyć.

- O, tak... - powiedział beznamiętnie. - Jest niezwykła, prawda?

- Na planie nie zarobiłaby nawet centa - w słowach Mauvis wyczuł pogardę. - W filmie traci tylko czas...

Conrad wyjął portfel i schował zdjęcie do przegródki.

- Zatrzymam je, jeśli oczywiście nie ma pani nic przeciwko temu...

Uśmiechnęła się, szczerym spojrzeniem wprawiając Conrada w zakłopotanie, co go zdenerwowało.

- Oczywiście, może pan zatrzymać...

Conrad uświadomił sobie, że trudno mu się skoncentrować, jego myśli ciągle krążyły wokół dziewczyny z fotografii.

- No, cóż... dziękuję za pomoc, zawiadomię panią, gdybyśmy jeszcze jej potrzebowali. Przepraszam, że zabrałem pani tyle czasu...

- Drobiazg - odrzekła obojętnie i sięgnęła po paczkę listów.

Conrad wyszedł na korytarz, wyciągnął portfel i długo przyglądał się zdjęciu. Twarz dziewczyny przyciągała go jak magnes. Nie mógł tego pojąć, nie umiał sobie nawet przypomnieć, by kiedykolwiek odczuwał tak wielkie zainteresowanie dziewczyną, jak właśnie teraz.

- Co się ze mną dzieje?!... - pomyślał. - Zachowuję się jak uczeń...

Schował fotografię, nałożył kapelusz i zaklął cicho pod nosem. Poszedł pośpiesznie korytarzem prowadzącym do wind, nacisnął najbliższy guzik i czekał. Stojąc uzmysłowił sobie, że jego ręka znowu wędruje w kierunku portfela, musiał więc uczynić świadomy wysiłek, żeby zmienić jej ruch i wyłowić paczkę papierosów.

5.

Wskazówki zegara na City Hall wskazywały dokładnie pięć po pierwszej, gdy Conrad zatrzymał samochód tuż obok drugostoru. Przeciął chodnik, przedarł się przez tłumek, oblegający barek, i zamknął się w budce telefonicznej.

Telefon odebrała Madge.

- Jest Van?

- Właśnie wszedł. Zaczekaj chwilę. W słuchawce usłyszał głos Vana.

- Znalazłeś coś? - zapytał Conrad.

- Tak - w jego głosie słychać było wyraźne podniecenie. - Mam coś, co łączy Paretiego z Jordanem. Znalazłem w koszu na śmieci starą kopertę, na odwrocie narysowany był plan mieszkania Jordana... Co ty na to?

Conrad gwizdnął pod nosem.

- Jesteś pewny, że to jego mieszkanie?

- Możemy się założyć... Wydawało mi się znajome z twojego opisu i w drodze powrotnej wpadłem do domu Jordana, żeby się upewnić. Nie mam żadnych wątpliwości...

- To rzeczywiście coś... A poza tym?

- Znalazłem pasek do ostrzenia brzytwy, ale samej brzytwy nie było. Istnieje prawdopodobieństwo, że ta, którą widzieliśmy u Jordana, należy do Paretiego. Warto to sprawdzić. W jego mieszkaniu znalazłem też 1000 dolców...

- Dobra robota, to potwierdza moją hipotezę, że Maurer wykończył Paretiego. Paretti nie mógłby się ukrywać i zostawić taką forszę, nie licząc oczywiście tego, co przechowywał u Flo. Na to nigdy by nie poszedł...

- Też tak przypuszczam... A co u ciebie?

- Nieźle. Campbell - garderobiany Jordana puścił farbę. W każdym razie łączy Maurera z June. Twierdzi, że Jordan wiedział, iż June była przyjaciółką Maurera i panicznie bał się, co będzie, gdy Maurer dowie się, że on się koło niej kręci. Jordan sporo mówił Campbellowi o Maurerze, zwłaszcza gdy był na cyku. Wygląda na to, że mamy haka na Maurera... Campbell podpisał zeznanie pod przysięgą. Możemy zaczynać, Van...

- Ale w sądzie oświadczenie Campbella nie wystarczy, będziesz potrzebował dowodów...

- Właśnie za tym chodzę - w tej chwili głos Conrada stał się twardy, oschły. - Zamierzam ściągnąć do biura Flo Presser, ona będzie mówić. Wie, że Paretti pracował dla Maurera, na pewno złoży zeznanie, choćbym musiał to z niej wydusić. Jadę tam teraz... Chcę, żebyś powiedział prokuratorowi, że mamy wystarczająco dużo argumentów, by rozpocząć śledztwo... Tylko trzeba będzie dopuścić policję, sami sobie nie poradzimy. Zapytaj go, czy może zwołać zebranie dzisiaj po południu, zresztą, nie musi być dzisiaj, ale możliwie jak najszybciej, wtedy będzie mógł się zapoznać z dowodami. McCann też powinien tam być... I dowiedz się, kiedy odbędzie się to zebranie, a potem zadzwoń do McCanna i poproś go, żeby koniecznie przyszedł.. Nie podawaj żadnych szczegółów przez telefon. Zależy mi, żeby nie było przecieków, zanim nie będziemy gotowi do zatrzymania Maurera... Wszystko jasne?

- Zajmę się tym...

- W porządku, będę około wpół do trzeciej - zakończył Conrad i odwiesił słuchawkę.

Przed wyjściem zatrzymał się na chwilę przy barze i zamówił sandwicza z szynką i filiżankę kawy. Uporał się z tym szybko, po czym wybiegł do samochodu.

144 Ulica wychodziła wprost na ekskluzywną Lawrence Boulevard, główne centrum handlowe Pacific City. Mieszkanie 23 c znajdowało się na najwyższym piętrze domu, nad dwoma pustymi biurami i kwiaciarnią.

Conrad zatrzymał wóz przed kwiaciarnią, wszedł bocznym wejściem do budynku i zaczął wspinać się po stromych schodach. U szczytu znajdował się spis lokatorów, na którym widniało tylko jedno jedyne nazwisko: miss Florence Presser, 4 piętro, mieszkanie c.

Windy nie było, więc Conrad rozpoczął długą wspinaczkę na górę. Kiedy dotarł do trzeciego piętra i już stawiał stopę na najniższym schodku ostatniej kondygnacji, wiodącym do apartamentu, usłyszał nagle przeraźliwy krzyk Flo:

- Nie! Nie dotykaj mnie! Wynoś się!

Potem jeszcze jeden krzyk mrozący krew w żyłach i dom zaległa cisza.

Conrad rzucił się do przodu, przeskakując resztę schodów. Przeklinał siebie, że nie zabrał broni.

Kiedy znalazł się między piętrami, zobaczył, że wejściowe drzwi do mieszkania są uchylone. Podeszedł bliżej i raptem drzwi rozwarły się z impetem, ukazując sylwetkę potężnego, zwalistego mężczyzny. Na widok Conrada jego śniada, okrutna twarz, przesłonięta czarnym kapeluszem z opuszczonym rondem zamarła, a prawa ręka śmignęła do kieszeni płaszcza.

Conrad bez zastanowienia runął w jego stronę. Prawym ramieniem uderzył go gwałtownie po udach i obydwaj zwalili się na podłogę.

Mężczyźnie udało się wyciągnąć pistolet, którym zamierzył się na Conrada, próbując zdzielić go kolbą w twarz, ale Conrad widząc co się dzieje, w porę podniósł rękę i walnął go w ramię z taką siłą, że aż go zabolalo.

Teraz chwycił olbrzyma lewą ręką za przegub, a prawą wyrzwał go w twarz. Kostki zaciśniętej pięści trafiły w zęby przeciwnika, który głośno zaklął.

Conrad złapał jego dłoń i tłukł nią o ścianę, próbując zwolnić uchwyt ręki na pistolecie, jednak zniemacka silny cios w głowę oszołomił go. Wtedy potężny mężczyzna uniósł się i kopnął Conrada w piersi.

Olbrzym stanął na nogi i sięgnął po pistolet, ale tej samej chwili Conrad chwycił go za kostki i pociągnął. Mężczyzna runął na plecy i nagle dał się słyszeć huk wystrzału, od którego

zabrzącały szyby w oknach, a na walczących posypał się grad tynku z podziurawionego sufitu.

Conrad nie zdążył się jeszcze podnieść, gdy mężczyzna już stał z pistoletem gotowym do strzału. Tuż koło ucha Conrada zaświszczał pocisk. Poczł, że płomień osmalił mu policzek. W odpowiedzi zamierzył się z całej siły prawym sierpowym i rąbnął przeciwnika mocno w szczękę.

Mężczyzna zacharczał, wywrócił oczami, broń wypadła mu z ręki. Stał tak na skraju schodów i chwiejąc się próbował utrzymać równowagę, wtedy Conrad podskoczył i uderzył go lewą pięścią w brzuch. Mężczyzna pochylił się, usiłując złapać oddech, potem wyprostował się i poleciał w dół, lądując na wznak z takim hukiem, że zatrzęsł się cały budynek.

Conrad stał przez chwilę patrząc na olbrzymie ciało leżące poniżej na półpiętrze z rozrzuconymi kończynami. Nawet nie miał zamiaru schodzić, by sprawdzić, że nie żyje. Żaden człowiek o takiej wadze nie mógł spaść ze schodów, nie skręcając sobie przy tym karku.

Kierował się właśnie w stronę apartamentu Flo, gdy usłyszał wycie syren wozów policyjnych.

Wszedł do długiego, wąskiego pokoju, umeblowanego w bardzo złym guście. W poprzek kanapy leżała Flo, miała na sobie jedynie czarne nylonowe pończochy, podtrzymywane różowymi podwiązkami. W jej karku tkwiło ostrze rozbijaka do lodu, wbite z ogromną siłą. Nie musiał jej dotykać, była martwa. Robotę wykonano fachowo, ze znanstwem. Ostrze przebiło kręgosłup.

Zaklął cicho pod nosem, roztarł obolałe ramię, po czym sięgnął po papierosa.

Kiedy dwóch chłopaków z pistoletami w dłoniach wtargnęło do pokoju, Conrad ciągle stał, nie odrywając wzroku od Flo.

Rozdział III

Kapitan Harlan McCann z Wydziału Policji był człowiekiem okazałej postury, jego okrągła głowa o krótko przystrzyżonych włosach mocno siedziała na ramionach, szerokich jak wrota od stodoły. Ceglastoczerwona, mięsista twarz wyglądała jakby wykuto ją z granitu. Miał niespokojne, głęboko osadzone małe oczka, które gdy wpadał w gniew, co zdarzało się często, błyskały czerwonym ogniem, przeszywając dreszczem nawet najtwardszego drania, czy choćby policjanta, jeśli tylko wszedł mu w drogę.

Tego wieczoru był bez munduru. Miał na sobie ciemnobrazowy garnitur, na głowie kapelusz, z podwiniętym w dół rondem, który mocno nasunął na oczy. Jechał swoim lincolnem wzdłuż Lawrence Boulevard, dużymi, owłosionymi dłońmi ściskając kierownicę z taką siłą, jakby to był groźny przeciwnik, któremu skoczył do gardła.

Zjechał teraz w Pacific Boulevard i sunął dalej brzegiem, mijając wspaniale oświetlone hotele, kasyno, nocne lokale, oblepiony neonami Ambassador's Club, wreszcie dotarł do krańca ulicy, gdzie nad brzegiem oceanu, połyskującego w poświacie księżyca, stał Paradise Club, ukryty przed wzrokiem przypadkowych przechodniów za murem wysokości piętnastu stóp.

Wąska alejka prowadziła go wzdłuż wschodniej ściany muru, który w pewnym momencie się skończył, ale McCann jechał około ćwierć mili dalej. Reflektory z trudem przebijały ciemność, jaka zalegała wokół. Od czasu do czasu spoglądał w lusterko, ale nie widział żadnego samochodu, który by jechał za nim. Nagle w blasku reflektorów pojawiła się żelazna brama, zwolnił więc, podjechał bliżej i zaświecił światłami, dwa razy długo i tyleż krótko.

Gdy brama otworzyła się, minął ją, po czym zatrzymał się przy domku strażnika.

Mocno zbudowany mężczyzna w czapce z daszkiem wyjrzał przez okno, podniósł niedbale rękę na znak powitania i zachęcającym gestem zezwolił na wjazd.

McCann wrzucił bieg i wtoczył się kolistą alejką, prowadzącą do klubu. Zatrzymał się przed bocznym wejściem i wysiadł. Inny mężczyzna w czapce wśliznął się na jego miejsce i wprowadził wóz do garażu.

Wolnym krokiem wchodził po kamiennych schodkach, aż stanął przed masywnymi wrotami. Kołatką z brązu zastukał cztery razy - owa razy szybko i dwa powoli, wreszcie drzwi otworzyły się.

- Dobry wieczór panu - powitał go jakiś głos.

McCann mruknął coś pod nosem i ruszył dalej. Usłyszał, jak drzwi za nim zamykają się i zaraz po tym zabłyśły światła. Szedł długim korytarzem nie odwracając się, w końcu znalazł się przed kolejnymi, równie masywnymi drzwiami, w które zastukał używając tego samego sygnału.

Drzwi otworzył Louis Seigel, osobisty goryl Maurera, a zarazem; szef Paradise Club.

Seigel, szczupły, ciemnowłosy mężczyzna służył z dobrej prezencji. Dziesięć lat temu znany był zarówno policji, jak i swoim kumplom jako Louis Piękniś, ale odkąd zatrudnił się u Maurera, nabrał więcej godności i przydomek przestał być aktualny. Miał około 29-30 lat, kwadratową szczękę, niebieskie oczy i ładnie opaloną twarz. Stara blizna od cięcia nożem,

biegnąca od lewego oka po nos, nadawała jego twarzy zawiadziaki wygląd. Starannie wystudiowanego uśmiechu, który ukazywał duże lśniące zęby, używał jako broni przeciw kobietom, a właśnie one interesowały go najbardziej.

- Proszę wejść, kapitanie - powiedział błyskając zębami. - Szef zaraz będzie... Czego pan się napije?

McCann popatrzył na Seigela kącikami oczu, nie kryjąc niechęci.

- Szkocką proszę...

Ogromnie trudno było mu się wysilić na uprzejmość wobec tego gangstera-przystojniaczka. Rozejrzał się po pokoju, umeblowanym z przepychem i w doskonałym stylu, po czym wolno podszedł do kominka i oparł się o niego potężnymi ramionami.

Seigel nalał szkockiej z wodą i zbliżył się do McCanna.

- Wiadomość od pana trochę szefa zaskoczyła, musiał odłożyć wyjście do teatru... Mam nadzieję, że nic się nie stało, kapitanie - rzekł podając mu szklanę.

McCann wydobył z siebie krótki rechot.

- Nic się nie stało! Dobre sobie! Jeżeli dobrze tego nie rozegracie, wszystko się wyda... Oto co się stało...

Seigel podniósł brwi. Nie lubił McCanna, równie mocno, jak McCann nie znosił jego.

- W takim razie będziemy musieli to dobrze rozegrać - powiedział idąc w stronę barku. Nalał sobie whisky i dodał z drwiącym uśmiechem: - My zazwyczaj wszystko rozgrywamy dobrze, kapitanie...

- Ale zawsze może się zdarzyć pierwszy raz... - burknął McCann zły, że nie przestraszył Seigela.

Raptownie drzwi obok barku otworzyły się i wszedł Jack Maurer, prowadząc Abe Gollowitza, swojego adwokata.

Maurer był niskim mężczyzną o przysadzistej sylwetce, miał około pięćdziesiątki. W ostatnich trzech, czterech latach wyraźnie przybrał na wadze. Na jego śniadej, mięsistej twarzy widniał ciemny zarost. Gęste, kruczoczarne włosy siwiały już na skroniach, ale to wcale nie przydawało mu łagodności. Właściwie ta twarz przypominała McCannowi pośmiertną maskę Beethovena, którą kiedyś oglądał na fotografii.

Na pierwszy rzut oka Maurer nie różnił się niczym od tysięcy bogatych, wpływowych biznesmenów, którzy spędzali urlopy w Pacific City, ale po baczniejszym przyjrzeniu się widać było, że niewiele miał z nimi wspólnego. Odróżniały go chytre oczka gangstera, zimne i twarde niczym kryształ górski.

Gollowitz, jeden z najbardziej błyskotliwych adwokatów na wybrzeżu podobny był do Maurera, tylko nieco tęższy, starszy i bardziej łysiejący. Rzucił swoją dochodową praktykę, by zająć się interesami Maurera i radził sobie tak świetnie, że teraz stał się jego prawą ręką.

- Miło mi pana widzieć, kapitanie - rzekł Maurer i przeszedł przez pokój, żeby uścisnąć mu dłoń. - Czy został pan dobrze obsłużony?... Może cygaro?

- Chętnie - McCann z zasady nigdy niczego nie odmawiał.

Seigel podał pudełko, z którego McCann wyjął grube cygaro w kształcie torpedy, powąchał je i kiwnął głową. Odgryzł końcówkę, przyjął ogień od Seigela, wypuścił dym do góry i znów skinął głową:

- Wspaniałe cygaro, panie Maurer.

- Tak, niezłe, zrobili na moje zamówienie - Maurer popatrzył na Seigela. - Louis, każ wysłać tysiąc do domu kapitana...

- Ależ nie, nie mogę przyjąć takiego prezentu - wykrztusił McCann, a jego wąskie usta rozszerzyły się w przyjaznym uśmiechu. - Ale to miło z pańskiej strony...

- Głupstwo... - Maurer podszedł do fotela i usiadł. - Nie ma mowy, nie ustąpię, jeśli pan nie chce, proszę je rozdać...

Gollowitz obserwował tę scenę z rosnącym zniecierpliwieniem. Wziął szkocką z wodą sodową, którą podał mu Seigel, potem usiadł obok Maurera.

- O co chodzi, kapitanie? - zapytał niespodziewanie szorstkim głosem.

McCann spojrzał na Gollowitza, nie przepadał za nim. Właściwie nie bał się go, ale wiedział, że jest niebezpieczny, co prawda nie w takim stopniu jak Maurer, jednak znał dużo kruczków prawnych i kręcił się zbyt blisko polityków.

McCann pochylił się i skierował cygaro w stronę Gollowitza.

- Podam panom fakty, a wtedy sami ocenicie sytuację - warknął. - Trzy dni temu została zamordowana June Arnot i sześcioro jej służących. June Arnot odcięto głowę i rozpruto brzuch. W ogrodzie znaleziono pistolet z inicjałami Ralpa Jordana. Bardin i Conrad pojechali do jego mieszkania i tam znaleźli go w wannie z poderżniętym gardłem i brzytwą w ręce. Narzędzie zbrodni znaleziono w garderobie.

- Nie musi pan nam opowiadać tego wszystkiego - przerwał niecierpliwie Gollowitz. - Widzieliśmy anonsy w prasie... Co to ma wspólnego z nami? Jordan zabił ją, a potem popełnił samobójstwo. To dość oczywiste, prawda?

McCann wyszczerzył zęby w ponurym uśmiechu.

- Tak, wyglądało na dość oczywiste. Bardinowi to wystarczyło, mnie też, prasie również, ale nie Conradowi - jego małe, czerwone oczka spojrzały na Maurera, który siedział z nieprzeniknioną twarzą paląc cygaro i wpatrywał się w dywan z cierpliwą obojętnością.

- Czy ma to dla nas jakieś znaczenie? Co nas to obchodzi? - poirytowany Gollowitz domagał się odpowiedzi.

- Wydaje mi się, że powinno... - odparł McCann. - Conrad potrafi porządnie namieszać, jest sprytny, nie zapominajcie o tym. On myśli tylko o jednym: żeby narobić panu kłopotów, panie Maurer.

Maurer podniósł głowę, jego grube murzyńskie wargi wykrzywiły się w uśmiechu rozbawienia.

- Oczywiście, że jest sprytny - powiedział - ale myślę, że w tym mieście starczy miejsca dla nas obu.

- Może nie starczyć - skonstratował groźnie McCann. - On uważa, że Jordan został zamordowany.

Uśmiech Maurera rozszerzył się.

- I oczywiście uważa, że ja za tym stoję... W tym mieście nawet kota nie można przejechać, by Conrad nie uważał, że to moja wina. I co z tego? To zdarza się każdego dnia.

McCann zaciągnął się cygarem i przeniósł wzrok z Maurera na Gollowitza, który obserwował go z wyraźną czujnością w ciemnych oczach.

- To zupełnie inna sprawa... Conrad usłyszał plotkę, że pan i panna Arnot byliście zaprzyjaźnieni - stwierdził powracając wzrokiem do Maurera. - Rozumuję w ten sposób: kiedy pan dowiedział się, że miss Arnot i Jordan byli kochankami, pojechał do jej posiadłości z Paretim, i tam pan zabił ją, a Paretti służył. Następnie Paretti pojechał do mieszkania Jordana i poderżnął mu gardło. Wcisnął brzytwę do ręki trupa, podrzucił narzędzie zbrodni i wyprowadził wóz denata z garażu, żeby go uszkodzić, co miało być dowodem, że Jordan działał pod wpływem narkotyków. Po powrocie Paretiego pan go wykończył i w ten sposób zamknął mu usta...

Maurer wybuchnął śmiechem i białą, pulchną dłonią klepnął się zamasyście w kolano.

- Co o tym sądzisz, Abe? - zapytał. - Ten facet przeszedł samego siebie, nie? Słyszałeś kiedy podobną historyjkę?

McCann wyprostował się w fotelu. Przez jego ceglastą twarz przebiegł wyraz ulgi i zarazem zaskoczenia.

Gollowitz potarł podbródek i unióś krzaczaste brwi. Nie wyglądał na rozbawionego jak Maurer, właściwie w ogóle go to nie rozbawiło.

- Jakie ma dowody? - zapytał ostro.

- Nie rób z siebie durnia, Abe - skostatował Maurer spokojnie. - Nie istnieją żadne dowody i on o tym wie.

Gollowitz zignorował jego słowa.

- Jakie ma dowody? - powtórzył wpatrując się w McCanna.

Seigel cały czas przysłuchiwał się rozmowie. Stał przy barze, tuż za Maurerem i Gollowitzem, z wyrazem oczu, który McCanna niepokoił.

- Ma dowód na to, że pan Maurer i panna Arnot byli bliskimi przyjaciółmi, a także - że Jordan panicznie bał się pana Maurera - powiedział bez pośpiechu. - Ma na to oświadczenie złożone pod przysięgą.

- Czyje oświadczenie? - zapytał ostro Gollowitz.

- Garderobianego Jordana.

McCann i Gollowitz równocześnie spojrzeli na Maurera, z którego twarzy nadal nie schodził uśmiech.

- I co z tego? - spytał obojętnie Maurer. - Kto jeszcze tak mówił?

- Jest tylko jedno oświadczenie.

Maurer wzruszył ramionami i rozłożył ręce, szczerząc zęby do Gollowitza.

- To nic nie znaczy - stwierdził Gollowitz. - Co jeszcze?

- Dziś rano przyszła do Conrada Flo Presser, zgłosiła zaginięcie Paretiego. Powiedziała, że miał wykonać jakąś robotę dla pana Maurera trzy dni temu o siódmej, to jest mniej więcej w czasie, gdy zginęła June Arnot...

Gollowitz wyglądał teraz na nieco spokojniejszego.

- Zeznanie dziwki to tyle co garść pierza... Co jeszcze?

- Flo została zamordowana kilka godzin po spotkaniu z Conradem - McCann przeniósł wzrok na Seigela. Na jego twarzy zauważył grymas niepokoju.

- Kto ją zabił?

- Ted Pascal, chłopak z Brooklynu. Maurer wzruszył ramionami.

- Nie znam go, o co więc cała ta awantura? Cóż mogę poradzić, że ktoś sprzątnął jakąś dziwkę?

Oczka McCanna poczerwieniały. Kiedy słuchał Conrada na spotkaniu w prokuraturze, był wstrząśnięty i teraz ta obojętność Maurera oraz brak zainteresowania sprawą wywołały w nim gniew.

- Gdzie jest Paretti, panie Maurer? - warknął.

- Toni jest w Nowym Jorku - powiedział Maurer gładko. - Wysłałem go, żeby odebrał dług karciany. To była właśnie ta robota, którą miał wykonać. Poleciał samolotem o siódmej.

- Niech więc pan się postara, żeby szybko wrócił - rzekł twardo McCann. - Conrad chce go widzieć. W domu Parettiego znaleziono szkielet mieszkania Jordana...

Gollowitz zeszywniał i rzucił Maurerowi szybkie, badawcze spojrzenie, ale ten niedbale machnął ręką.

- Nie wierzę w to... Kto znalazł?

- Van Roche.

- Są świadkowie?

- Nie.

- Oczywiście, podrzuciono - Maurer roześmiał się. - Abe potrafi się tym zająć, prawda, Abe?

Gollowitz przytaknął, ale w jego oczach widać było wzmagający się niepokój.

- Jeśli Toni pojawi, się dziś lub najpóźniej jutro - powiedział McCann - odpadnie połowa dowodów. Niech pan szybko dotrze do Toniego, panie Maurer...

Nastąpiła teraz długa przerwa, podczas której Maurer studiował wnikliwie wzór na dywanie, w końcu rzekł nie podnosząc wzroku:

- Przypuśćmy, że nie udało mi się z nim skontaktować? Przypuśćmy, że uciekł z pieniędzmi, po które go posłałem? To duża suma: dwadzieścia tysięcy dolarów. Nie mówię, że uciekł, ale gdyby tak?...

McCann zrobił się nagle purpurowy ze złości, jego duże owłosione ręce zacisnęły się w pięści.

- Byłoby bardzo źle, gdyby uciekł - wydusił przez zęby.

- Spokojnie, kapitanie - Maurer popatrzył na niego i uśmiechnął się. - Ani przez chwilę nie sądziłem, że uciekł, a nawet gdyby, to wątpliwe dowody, jakimi dysponuje Conrad, w sądzie nie wystarczą. Czym się pan przejmuje? Ja się nie martwię.- Co jeszcze? - zapytał nagle Gollowitz, jakby wyczuwając, że McCann nie powiedział jeszcze najgorszego.

- Strażnik, który wpuszcza gości na teren posiadłości June Arnot, zapisuje wszystkie nazwiska w specjalnej księdze - McCann mówił powoli, dobitnie. - W dzień morderstwa o siódmej przyszła do panny Arnot dziewczyna nazwiskiem Frances Coleman. Szukamy jej teraz i jak znajdziemy, wystąpi w charakterze świadka. Conrad uważa, że mogła widzieć zabójcę.

Maurer spojrział na rozżarzone cygaro. Mięsień jego policzka drgnął w nerwowym skurczu, ale poza tym twarz miał kamienną, bez wyrazu.

W pokoju rosło napięcie.

Seigel zapalił papierosa i wpatrywał się w tył głowy Maurera. Obliział wargi, jakby nagle stały się suche.

Gollowitz oglądał swoje ręce, zmarszczywszy brwi.

Małe ślepką McCanna lustrowały każdego z mężczyzn, uważnie obserwując ich reakcje. Narastająca wściekłość sprawiła, że z trudem łapał oddech.

- No, powiedzcie coś! - warknął. - Czy tym Gollowitz również mógłby się zająć?

Maurer podniósł głowę, jego oczy płonęły takim gniewem, że pod ich spojrzeniem McCann odwrócił wzrok.

- Chcę porozmawiać z kapitanem - powiedział Maurer łagodnie. Gollowitz natychmiast wstał i wyszedł z pokoju, za nim pośpieszył Seigel.

Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Maurer założył nogę na nogę, wyjął cygaro z ust, potem pochylił się i strząsnął popiół do kryształowej popielniczki. Ani na moment nie spojrział na McCanna, który siedział w milczeniu, z pięściami zaciśniętymi na kolanach i twarzą purpurową, błyszczącą od potu.

- Powiedział pan - Frances Coleman? - zapytał Maurer zniżając głos.

- Zgadza się.

- Kto to jest?

- Postawmy sprawę jasno, panie Maurer, czy pan...

- Kto to jest? - powtórzył Maurer, nie podnosząc głosu, ale McCann wyczuł w nim groźbę.

- To statystka szukająca pracy. Wyprowadziła się z mieszkania przy Glendale Avenue tego samego wieczoru, kiedy popełniono morderstwo. Centralne Biuro Zatrudnienia Aktorów nie zna jej nowego adresu...

- Czy знаła pannę Arnot?

- Pracowała z nią w ostatnim filmie, miała tam małą rolę...

- Szukacie jej teraz?

- Tak, powinniśmy ją znaleźć w ciągu kilku godzin. Maurer skinął głową.

- Ma pan jej zdjęcie?

McCann wyjął fotografię z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Dostałem to w biurze.

Maurer wziął zdjęcie, spojrzął na nie, a potem położył na oparciu fotela prawą stroną do spodu. Nagle podniósł wzrok i uśmiechnął się:

- Wypił pan już, kapitanie? Może jeszcze się pan poczęstuje?

- Nie, dziękuję - odpowiedział McCann.

Nie zwiódł go ten uśmiech. Atmosfera panująca w pokoju oddziaływała na niego jak ciśnienie przed burzą.

Maurer wstał i podszedł do drzwi znajdujących się obok okna. Otworzył je i zniknął w sąsiednim pokoju, który McCann znał jako gabinet Seigela.

Po jego wyjściu McCann siedział nieruchomo z cygarem mocno zaciśniętym w zębach. Czuł rozklekotane bicie serca, wargi miał zupełnie suche.

Maurer wrócił z gabinetu, niosąc długą, białą kopertę. Gdy przechodził przez pokój, McCann wstał...

- Już dawno miałem zamiar panu to wręczyć - powiedział Maurer z uśmiechem. - Pieniądze, jakie ulokowałem na pańskie nazwisko, przynoszą niezłe dochody...

McCann wziął kopertę.

- Piętnaście tysięcy dolarów - wydusił Maurer głosem nieco donośniejszym od szeptu.

McCann wciągnął powietrze, powoli, głęboko. Kopertę wsunął do tylnej kieszeni.

- Może będę mógł się zrewanżować - zareagował bezbarwnym głosem.

- Może - skostatował Maurer i podszedł do pustego kominka.

- Chcę pierwszy wiedzieć, gdzie można znaleźć tę Coleman, da się to załatwić?

McCann poczuł spływający po twarzy pot.

- Ale możliwe, że ona niczego nie widziała - zachrypiał. - Wszystko na to wskazuje, że nie, panna Arnot na pewno by jej nie przyjęła. Prawdopodobnie podała swoje nazwisko i odeszła z niczym.

- Czy da się to załatwić? - powtórzył Maurer.

- Myślę, że tak. Powiedziałem moim ludziom, żeby poinformowali mnie natychmiast, jak tylko ją znajdą, i żeby nie podejmowali żadnych działań, dopóki nie wydam stosownego polecenia. Obiecałem w biurze prokuratora, że się z nimi skontaktuję. Chcą się z nią widzieć, wezmą ją pod ochronę...

- Sądzę, że powinienem ją widzieć pierwszy... Proszę zadzwonić, gdy tylko zdobędzie pan jej adres. Louis będzie czekał.

- Prokurator też będzie czekał - powiedział spokojnie McCann.

- Muszę być bardzo ostrożny, panie Maurer, nie ma mowy o jakiegokolwiek zwłóce...

Nie mogę dać panu więcej niż pół godziny...

Maurer uśmiechnął się, wyciągnął rękę i poklepał McCanna po ramieniu.

- Pół godziny w zupełności wystarczy...

- Czy mógłbym uzyskać jakieś wyjaśnienie? - McCann mówił ochryplym głosem. -

Czy Conrad ma coś przeciw panu? Pan, pan nie...?

Maurer położył dłoń na ramieniu McCanna i odprowadził go do drzwi.

- Nic nie będzie miał przeciw mnie, kapitanie - odparł łagodnie. - Obiecuję to panu...

Otworzył drzwi i wskazał McCannowi drogę.

- Dobranoc, kapitanie i dziękuję za współpracę. Będziemy czekali na wiadomość od pana...

Dopiero jadąc wąską, ciemną alejką, która wiodła z klubu, McCann dał upust hamowanej przez cały czas złości. Klął na czym świat stoi całą drogę, aż do jasnych świateł, które wyrosły na brzegu morza.

2.

Gollowitz wszedł do pokoju, zamknął drzwi i niespiesznie podszedł do siedzącego Maurera.

Nastąpiła długa cisza, podczas której żaden z mężczyzn nie patrzył na drugiego. Maurer w zamyśleniu palił cygaro, Gollowitz stał z rękami splecionymi z tyłu i zaciśniętymi ustami.

- Nie powinienem był używać Parettiego - rzucił nagle Maurer. - To był błąd. Zawsze mi się wydawało, że to najlepszy z moich ludzi... Zostawić plan tam, gdzie tak łatwo można go było znaleźć...

Gollowitz przymknął i otworzył oczy, po czym głęboko wciągnął po wnętrze.

- Chcesz powiedzieć, że sam zabiłeś tę kobietę? - zapytał matowym głosem.

Maurer podniósł głowę, unosząc krzaczaste brwi.

- Sprawilo mi to ogromną przyjemność. Ostrzegałem ją, kazałem jej trzymać się z dala od Jordana. Obiecała, że tak będzie, tymczasem dalej się widywali, z takim zasranym ćpunem!

- Ale dlaczego, do cholery, musiałeś to robić sam? - zapytał gwałtownie Gollowitz. - Czy zdajesz sobie sprawę, że Forest na to właśnie czekał? Przez całe lata byłeś czysty, nigdy dotąd nie dałeś żadnych powodów do podejrzeń... Chyba wiesz, że on nie przepuści takiej okazji? Jeśli chciałeś się jej pozbyć, to dlaczego nie posłużyłeś się Louistem?

Maurer uśmiechnął się.

- To była sprawa osobista, Abe - mówił cierpliwie. - Dało mi to ogromną satysfakcję. Żałuj, że nie widziałeś jej twarzy, gdy mnie zobaczyła... Zrozumiała wszystko. Na nic zdała się jej uroda, sława, pewność siebie, tam zabrakło jej odwagi. Trzeba było ją widzieć... Trzeba było widzieć jej oczy...

Znowu uśmiechnął się, a od tego uśmiechu ciarki przeszły Gollowitzowi po tłustych plecach.

- Trzeba było słyszeć jej krzyk... To naprawdę była sprawa osobista, nie oddałbym tego nikomu na świecie...

Gollowitz otarł dłonią spoconą twarz.

- Przecież to mogło pogrozić całą organizację, Jack - gorączkował się. - Syndykat tego nie pochwali...

- Syndykat! - wykrzyknął Maurer z nagłą złością. - Mam już dość syndykatu! Nie będą mi dyktować, co mam robić...

Gollowitz odwrócił się, podszedł do fotela i usiadł. Nie chciał, żeby Maurer zobaczył wyraz przerażenia, jaki na moment pojawił się w jego oczach.

- Jeśli ta Coleman cię widziała...- O nią nie musisz się martwić - głos Maurera był suchy, obojętny. - Nią się zajmujemy... Bez niej Forest nie będzie miał dowodów. Może rozpocząć sprawę, ale do niczego nie dojdzie... Potrafisz to załatwić? Jeśli się ją usunie...

- Pewnie, ale wprawdzie trzeba ją usunąć...!

- Zrobi się. McCann da znać, gdzie jest... Będziemy wiedzieć pół godziny wcześniej niż policja...

Gollowitz zadumał się na chwilę.

- Nie możemy ryzykować, Jack - powiedział szorstko. - Gdy dziewczyna zginie, zrobi się potworny smród... Najlepiej, żeby cię wtedy nie było... Będziemy trzymali jacht w pogotowiu, doskonałym wyjściem byłaby wyprawa na ryby, tam cię nikt nie dostanie... Wrócisz, gdy cała sprawa przycichnie...

Maurer wzruszył ramionami.

- Każę się tym zająć Louisowi. Jacht jest przygotowany. Odpłynę, gdy tylko zadzwoni McCann...

- Kto zajmie się dziewczyną?

- Zawołaj Louisa, to robota dla niego.

Gollowitz wstał, przeszedł przez pokój, otworzył drzwi obok barku i skinął na Seigela.

Seigel wszedł niepewnie, na glinianych nogach. Nie był głupcem. Z tego co usłyszał, domyślił się, że Maurer sam załatwił June Arnot i teraz Louis drżał z przerażenia na myśl o

ewentualnych konsekwencjach. Wiedział, że wystarczy jedno małe potknięcie, by misternie budowane królestwo rozsypało się na kawałki. Wdrapywał się po drabinie przez ostatnich dziesięć lat i teraz osiągnął najwyższą pozycję, na jaką mógł mieć nadzieję, pozycję, dzięki której miał ogromne pieniądze i mnóstwo kobiet, właściwie wszystko, o czym mógł zamarzyć. Myśl o utracie tych zdobyczy przyprawiała go o mdłości i napełniała wściekłością.

- Louis, trzeba sprzątnąć tę dziewczynę - Maurer od razu przystąpił do rzeczy. - McCann da ci znać, gdzie się znajduje. Będziesz musiał działać szybko, bo mamy tylko pół godziny, potem wkracza Conrad...

Seigel popatrzył na niego.

- Niestety, nie da się dopracować tego do końca, panie Maurer. Będzie zbyt mało czasu na zbadanie sytuacji, a to niedobrze...

- Wszystko mi jedno, czy sprawę dopracujesz czy nie, najważniejsze, żeby robota została wykonana. Kto się tym zajmie?

Seigel zastanawiał się przez chwilę. - Moe i Pete - powiedział w końcu.

- Jaki Pete? - zapytał gwałtownie Maurer.

- Pete Weiner, on będzie dobry. Niczym się jeszcze nie wyróżnił, ale kiedyś musi zacząć...

- Czy to ten facet ze znamieniem? - Maurer zmarszczył brwi

- Tak, to ten. Ma niezłe gadanie. Jego stary był pastorem. A nam potrzebny facet, który będzie umiał ją tak podejść, żeby nie narobiła hałasu. Pete potrafi to zrobić. Gdyby jemu się nie udało, zajmie się tym Moe, ale myślę, że nie będzie trzeba. Chłopak jest chętny...

- Nie chcę używać do tej roboty faceta ze znamieniem - stwierdził Maurer. - Zbyt łatwo go zapamiętać...

- Nie mam nikogo, kto umiałby dostać się do jej mieszkania. Nie znam sytuacji. Gdybym miał trochę więcej czasu i mógł się rozejrzeć, nie używałbym go... Jak tylko wykona swoją robotę, wyjedzie z miasta. Nie będzie żadnej wpadki...

- Lepiej, żeby nie było... - powiedział ponuro Maurer. Usłyszeli lekkie pukanie do drzwi i wszedł Dutch Feiner, który zajmował się klubem, gdy Seigel miał inne zajęcia. Był postawnym mężczyzną o rumianej twarzy, jasnych włosach i zimnych szarych oczach.

- O co chodzi? - zapytał Maurer niecierpliwie.

- Przyszła pewna dama, panie Maurer, sądziłem, że powinien pan o tym wiedzieć. Wydaje mi się, że to żona Conrada, ale mogę się mylić... Była już tu któregoś wieczora, dlatego jej twarz wydała mi się znajoma. Teraz jestem prawie pewien, że to ona...

- Mówisz o żonie Paula Conrada? - zapytał Seigel.

- Tak - Feiner był wyraźnie zadowolony z wrażenia, jakie wywarł na obecnych.

- Nie przyszła chyba z Conradem?

- Nie, jest sama.

- Sprawdź to, Louis - Maurer krzyknął ostro i wstał.

Seigel minął Feinera i pobiegł korytarzem prowadzącym do baru. Po minucie wrócił z wyrazem podniecenia w oczach.- To rzeczywiście zona Conrada, jest sama, siedzi przy barze... Maurer gestem ręki nakazał Feinerowi, by wyszedł i spojrzał na Gollowitza.

- O co tu chodzi? Chyba nie przysłał jej na przeszpiegi? Gollowitz pokręcił głową.

- Nie sądzę.

- Louis, idź i pomów z nią - powiedział Maurer. - Tylko zrób to ostrożnie. Nie daj poznać po sobie, że wiesz, kim jest, zaczekaj, aż sama ci powie. Spróbuj się dowiedzieć, po co przyszła.

Seigel skinął głową i wyszedł.

- Wiesz coś o niej? - zapytał Maurer, gdy Gollowitz znowu usiadł.

- Mało, fajna babka. Zanim wyszła za męża, trochę śpiewała. Małe rzeczy, małe pieniądze - wiesz jak to jest. Pobrali się z górą trzy lata temu.

- Co u diabła może tutaj robić? - zastanawiał się Maurer skubiąc dolną wargę.

Gollowitz wzruszył ramionami. Janey Conrad zupełnie go nie interesowała. Za kilka godzin - myślał - Maurer znajdzie się na jachcie. Wtedy on będzie zarządzał jego królestwem. Ostatnie trzy lata marzył o tym, ale szansę dla siebie widział tylko w dalekiej przyszłości. Teraz to wszystko znalazło się w zasięgu jego ręki. Teraz on będzie kierował organizacją. Nie będzie musiał ani nikogo przekonywać, ani tym bardziej prosić, by posłuchano jego rady. Gdy wyda rozkaz będzie wykonany natychmiast...

Od sprawy przejęcia władzy po Maurerze jego myśli powędrowały do kogoś innego, na kogo Gollowitz patrzył zazdrosnym okiem, nie kryjąc pożądaniami, odkąd ją tylko zobaczył: była to żona Maurera, Dolores. Sama myśl o tej rudowłosej, zielonookiej piękności zapierała mu dech. Dla Gollowitza nie było bardziej pociągającej i intrygującej kobiety, podczas gdy Maurer zaledwie ją zauważał. Jak on mógł kręcić z taką June Arnot, mając pod bokiem Dolores? Jak on mógł? - dziwił się Gollowitz.

- O czym myślisz, Abe? - zapytał ostro Maurer i utkwiał wzrok w twarzy Gollowitza. W momencie Gollowitz uświadomił sobie, że myślał prawie na głos, a było to wysoce niebezpieczne. Wzruszył ramionami z kamienną twarzą.

- O bardzo wielu rzeczach - odpowiedział marszcząc brwi. - Sądysz, że mi się to wszystko podoba? Odjeżdżasz i zostawiasz mi całą tę aferę na głowie. Mam cholernie dużo do myślenia.

Maurer skinął głową.

- Nie wyjadę na długo. Trzymaj rękę na pulsie, dopóki nie wrócę. Nie ma się czym martwić.

Słuchając tych słów Gollowitz pomyślał, że jeśli ktokolwiek miałby się czymś martwić, to tylko Maurer. Tak pomyślał, ale nie powiedział nic.

3.

Janey Conrad z zaciekawieniem rozejrzała się po zatłoczonym barze. Udało jej się wejść, bo powiedziała portierowi, że ma spotkanie z przyjaciółmi. W Paradise Club samotne kobiety były niechętnie widziane. Klub miał własne hostessy i konkurencja z zewnątrz była niepożądana.

Podczas ostatniego pobytu niemal natychmiast poderwał ją podstarzały grubas i cały wieczór spędziła popijając drinki i słuchając kiepskich dowcipów. Chociaż wtedy uważała, że był niesamowicie nudny, to teraz żywiła nadzieję, że się jednak pojawi, niestety, jak na złość nie było go nigdzie widać.

Właściwie tego wieczora w klubie nie było wolnych mężczyzn i Janey zaczynała czuć się niezręcznie. Zdawała sobie sprawę, że nie może zbyt długo siedzieć sama przy tym stoliku w rogu sali. Barman już od jakiegoś czasu spoglądał w jej stronę, a bystre, bezczelne hostessy patrzyły na nią z wyraźną wrogością.

Nerwowo opróżniła kieliszek. Ach, czułaby się ogromnie zawiedziona, gdyby musiała stąd wyjść! - myślała. Cały wieczór poświęciła na to, by wyglądać atrakcyjnie, w dodatku straciła jeszcze na taksówkę. Poza tym nigdzie indziej nie miała odwagi pójść. Do Paradise Club nie przychodził przynajmniej żaden z tych nadętych znajomych Paula.

Już z rezygnacją pomyślała, że jednak nie może tu dłużej zostać, gdy zobaczyła wysokiego mężczyznę w nienagannie skrojonym smokingu, który zmierzał w jej kierunku. Na ten widok serce zabiło jej gwałtownie. Jego szczupłą, przystojną twarz i białą blizną, biegnącą, od lewego oka do nosa wprawiły ją w stan podniecenia.

Zatrzymał się przy stoliku i uśmiechnął do niej szeroko. Odpowiedziała uśmiechem, trochę niepewnym, ale nie próbowała ukrywać pełnego nadziei zainteresowania.

- Nie powie pani chyba, że wystawił panią do wiatru - powiedział Seigel, pochylając się nad nią. Czowała, że próbuje zajrzeć za dekolot mocno wyciętej sukienki, więc odruchowo

cofnęła się, nieco przestraszona, ale też podekscytowana. - Obserwowałem panią, jest pani tutaj dość długo...

- T...a...k - wydusiła niepewnie spoglądając na zegarek. - Spóźnia się, ale zaraz będzie... On... on... zawsze się spóźnia.

- Ani czas, ani kobieta nie powinny czekać na mężczyznę - odpowiedział Seigel, ukazując wszystkie zęby. - Czy mogę zająć jego miejsce?

Udawiała wahanie.

- Czy ja wiem? Ja... my się nie znamy, prawda? Odstawił krzesło i usiadł.

- To się da załatwić, nazywam się Louis Seigel, a pani?

- Janey... Conrad - Janey w ostatniej chwili zrezygnowała z podawania panieńskiego nazwiska, gdyż przypomniała sobie, jak Conrad mówił, że łatwo ją rozpoznać.

- No i załatwione... - stwierdził Seigel. - Już się znamy, proste, prawda? Napijmy się...

Widziała, jak strzelił palcami na barmana, zauważyła też, że barman w mgnieniu oka wyszedł zza kontuaru, by przyjąć zamówienie.. Spozrzegła również, że drinki pojawiły się wyjątkowo szybko, a martini, które barman postawił przed nią, w niczym nie przypominało tego, które sama zamówiła i na które bardzo długo czekała.

- Żałuję, że nie jestem mężczyzną - zauważyła, gdy barman odszedł. - Jest się doskonale obsłużonym... To, co piłam przed chwilą, było obrzydliwe.

- Cieszę się, że nie jesteś mężczyzną - odparł Seigel, rzucając śmiałe spojrzenie, z którego sływał. Zawsze dziwił się, jak Conradowi udało się zdobyć tak śliczną żonę, a teraz, patrząc na nią z bliska, dziwił się jeszcze bardziej. - Byłaś może tutaj kilka dni temu?

Skinęła głową.

- Czasami tu zaglądam, lubię to miejsce. A ty dobrze je znasz?

- Dość dobrze - Seigel roześmiał się. - To najlepszy nocny lokal w tym mieście. - Uniósł kieliszek martini. - Za naszą długą i piękną przyjaźń - wypił, opróżniając kieliszek jednym haustem. - Do dna... i zamówimy następne.

Janey zgodziła się chętnie i barman natychmiast, bez pytania, przyniósł dwa pełne kieliszki. Od razu zauważyła, że Seigel jest nią szczerze zachwycony, ale miała na tyle doświadczenia, by się domyślić, że w jego towarzystwie nie może czuć się bezpiecznie. Na pewno nie zadowoli się samą rozmową. Wkrótce padnie nieunikniona propozycja, żeby razem gdzieś pójść. Serce Janey zabiło mocniej, gdy próbowała zastanowić się, na ile może mu pozwolić. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że gdyby ta chwila nadeszła, może nie mieć wyboru. Była przekonana, że w każdej sytuacji potrafi sobie poradzić, ale nie wiedziała, że z

Seigelem będzie jej trudno. Należał do mężczyzn, którzy nie mają zwyczaju zmieniać decyzji, jeśli już ją podejmą.

Rozmawiając z nim, obserwując, jak na nią patrzy, odczuwając działanie alkoholu i wsłuchując się w dźwięki orkiestry, Janey przeniosła się do wspomnień, do tych wspaniałych dni, kiedy nie była jeszcze mężatką. Wtedy rzeczywiście mogłam poszaleć - pomyślała. W końcu nie było to tak dawno, zaledwie trzy lata temu...

- Brzydkie myśli krążą ci po głowie - stwierdził Seigel. Miał dar czytania w kobiecych myślach. Dzięki temu, że zawsze potrafił wyczuć najlepszy moment do szturmu, jego sukcesy z kobietami stały się przysłowiowe wśród kolegów.

Janey zarumieniła się.

- Nieprawda! - dokończyła martini i odstawiła kieliszek z trzaskiem. - Nie wiem, o czym mówisz.

- Ależ tak, zastanawiasz się, jaki będzie mój następny ruch i czy zaproponuję ci wizytę u mnie, żeby obejrzeć mój ostatni cenny nabytek - wspaniałą akwafortę.

Janey popatrzyła na niego zmieszana, po czym wybuchnęła śmiechem.

- O niczym takim nie myślałam.

Seigel pochylił się w jej kierunku. Jakiś zwierzęcy magnetyzm tkwiący w jego męskiej sile i spojrzeniu przyprawił Janey o utratę tchu.

- Interesujesz się grafiką? Potrząsnęła głową.

- Ani trochę, a ty?

- Też nie, nigdy nie uważałem, że to jest coś niezbędnego do życia - uśmiechnął się szerzej. - Dobra kolacja, trochę tańca, dyskretne światła i kojąca muzyka są znacznie lepsze. Odsunął krzesło.

- Zjemy coś?

Janey spojrzała na niego i zawahała się. Nagle zrozumiała, że ten postawny, przystojny mężczyzna jest zbyt pewny siebie i z czasem może być jej znacznie trudniej zapanować nad sytuacją niż to sobie wyobrażała. Ale wiedziała też, że jeśli odrzuci zaproszenie, on odejdzie, a ona będzie musiała wrócić do pustego, ponurego domu i jeszcze bardziej beznadziejnego telewizora.

- Jesteś ogromnie tajemniczy - powiedziała - ale jestem głodna i mam ochotę coś zjeść.

- Świetnie. Pójdiesz więc przypudrować swój wdzięczny nosek, bo ja muszę zadzwonić. Spotkamy się tutaj za pięć minut...

- Pudrowanie nosa zajmie mi więcej niż pięć minut - Janey nie znosiła, by jej rozkazywano.

- Za pięć minut - Seigel uśmiechnął się i prędko odszedł. Minał bar i skierował się w stronę hallu, gdzie stał rząd dyskretnie ukrytych kabin telefonicznych.

Wykręcił numer i zapalił papierosa czekając na połączenie. Janey intrygowała go. Gdyby nie wiedział, kim jest, uważałby, że chce zostać uwiedziona. Bawi się nim, czy naprawdę tak łatwo ją zdobyć? Kto wie, czy nagle nie pojawi się Conrad i to właśnie teraz, gdy Seigel planuje popełnienie morderstwa? Czy o to chodzi? Ale czy Conrad pozwoliłby swojej żonie przyjść tutaj i tak postępować po to tylko, żeby narobić mu kłopotów? Wątpił w to, ale zdecydował się postępować ostrożnie. Usłyszał głuchy trzask w słuchawce, a potem opryskliwy głos Moe Gleba: - Czego?

- Mam dla ciebie robotę - powiedział oschle Seigel. - Zajmiecie się tym - ty i Pete. Robota, zrozumiałeś? Wykona ją Pete, a ty go obstawisz... Odszukaj go i siedźcie przy telefonie, dopóki nie zadzwonię. Dam wam adres, jak tylko dostanę...

- Hej, najpierw trzeba ocenić sytuację - w głosie Gleba dało się słyszeć popłoch.

- Nie będziecie mieli czasu. Robota musi być wykonana w ciągu pół godziny od momentu otrzymania adresu, potem wejdą gliny. To ważne, Moe, żadnej wpadki. Jesteś za to odpowiedzialny, zrozumiałeś?

- Jasne!

- Załatwcie to szybko i bez hałasu. Mogę zadzwonić w każdej chwili, więc bądź na miejscu - Seigel odwiesił słuchawkę.

Przeszedł pośpiesznie przez korytarz i otworzył drzwi swego biura. Maurer i Gollowitz byli jeszcze w pokoju. Dołączyła do nich Dolores, żona Maurera.

Seigel spojrział na nią i poczuł, że krew zaczyna mu krążyć szybciej. Zdarzało się to za każdym razem, gdy ją widział.

Dolores była jego ideałem kobiety. Żadna inna nie wywoływała w nim takiego podniecenia jak ona. Ale wiedział, że była dla niego czymś równie nieosiągalnym jak ośnieżony szczyt Mount Everestu. Jednak nie mógł oderwać się od myślenia o niej, a marzenia nie opuszczały go nawet wśród bezsennych nocy.

Wyszła za męża za Maurera dla jego pieniędzy i władzy. Seigel zdawał sobie z tego sprawę, ale miał też świadomość, że płaciła za to wysoką cenę.

Maurer miał już dość kobiet. Wystarczyło, żeby kiwnął palcem, a dziewczyna leciała jak do miodu. Kontrola nad związkami filmowymi, nocnymi lokalami, którymi usiane było całe wybrzeże Kalifornii oraz wielkimi teatrami dawała mu władzę zarówno nad gwiazdami

pierwszej wielkości, jak i początkującymi aktoreczkami. Nawet June Arnot mimo swojego bajecznego bogactwa na niego polecała. Dla Maurera Dolores była jedną z wielu i tak ją traktował.

Oczy Seigela powędrowały w kierunku Dolores siedzącej przy barze w błyszczącej, szmaragdowozielonej sukni wieczorowej, wyszywanej cekinami. Miała najdoskonalszą skórę, jaką kiedykolwiek u kobiety widział - jak stara kość słoniowa z kremowym odcieniem. Na widok masy ciemnorudych włosów, opadających na ogromne, zielone oczy w kształcie migdałów i bujnych zmysłowych kształtów czuł, że wysychają mu wargi.

Zakręciła się na wysokim stołku i uśmiechnęła do niego. Był to kpiący uśmiech kobiety, która wiedziała, co się z nim dzieje, ale wcale jej to nie obchodzi.

- Cześć, Louis... Jak tam twój nowy romansik? Widziałam cię z tą blondynką...
Podoba ci się?

Twarz Seigela nabrała kolorów. Spojrzał szybko na Maurera, potem wlepił wzrok w Gollowitza. Wiedział, że Gollowitz szaleje na punkcie Dolores i że ma pewne szanse. Gdyby przydarzyło się coś Maurerowi, Gollowitz z pewnością przejąłby nie tylko organizację, ale i Dolores. Seigel wiedział też, że Dolores w równym stopniu nie znosi Maurera jak i Gollowitza, ale dopóki te stare grubasy posiadają forszę i władzę, tak jak ma ją Maurer, a Gollowitz może mieć, wybierze ich.

- Nie wtrącaj się - Maurer spojrział z gniewem przez ramię. - Jeśli nie potrafisz siedzieć cicho, to się wynoś!

- Och, potrafię siedzieć cicho, Jack - odparła z uśmiechem. - Od tej chwili wyobraź sobie, że jestem częścią wyposażenia pokoju.

Maurer przeniósł wzrok na Seigela.

- Co ona tu robi? Seigel wzruszył ramionami.

- Nie wiem, umówiłem się z nią na kolację. Powiedziała mi kim jest, ma trochę w czubie. Zachowuje się jak dziwka, ale może bierze mnie za frajera.

- Nie ciebie, Louis - Dolores mówiła z kpiną w głosie. - Wszystkich, ale nie ciebie. Jestem pewna, że marzy wręcz o tym, by znaleźć się w twoich męskich ramionach i omdlewać pod namiętym oddechem na policzku. Która by o tym nie marzyła?

Twarz Seigela poczerwieniała, a w oczach pojawił się błysk irytacji. Już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale w porę się powstrzymał.

- Wynoś się, Dolly - wycedził Maurer nie oglądając się. - Mam cię już dosyć na dzisiaj, wracaj do domu!

Dolores ześliznęła się ze stołka, chwyciła gronostajową etolę, którą przedtem niedbale zarzuciła na oparcie krzesła i ciągnąc ją za sobą przemaszerowała przez pokój. Szła powoli z uśmiechem na karminowych wargach i nieznacznie kołysząc biodrami, czym ściągnęła uwagę Gollowitza i Seigela, którzy wpatrywali się w nią z niemym zachwytem. Mijając Seigela zmarszczyła nos.

- Dobranoc, Abe - powiedziała od drzwi.

- Dobranoc - Gollowitz lekko skinął głową. Starał się nie patrzeć na nią, żeby po jego oczach Maurer nie zorientował się, jak bardzo jest zdenerwowany.

- Dobranoc, Louis.

- Och, wynoś się wreszcie! - Maurer wybuchnął gniewem. - Jesteśmy zajęci!

- Dobrej nocy, kochanie!

Wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Maurer wykonał niecierpliwy ruch rękami.

- Głupie babska! Jeśli ta dziwka nie...

- Pani Conrad nie powinna czekać - ostro przerwał Gollowitz.

- Racja - Maurer popatrzył na Seigela. - Bądź dla niej miły, Louis, może się nam przydać, ale trzymaj język za zębami. Upewnij się, że nie została nasłana...

- Dopilnuję tego.

- Wracaj więc do niej. Nie muszę ci mówić, jak masz się nią zająć, ale zrób to dobrze.

Seigel skinął głową i wyszedł na korytarz.

Janey czekała na niego w koktajl-barze. Z sadystyczną przyjemnością zauważył, że jest zmartwiona. Było oczywiste, iż sądziła, że sobie poszedł i że znowu jest sama.

- Na litość boską - wykrzyknęła na jego widok. - Powiedziałeś - pięć minut, a nie było cię piętnaście!

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Numer był zajęty - przebiegł po niej wzrokiem. Była dobra, ale jednak nie tej klasy, co ta rudowłosa diablica. Cóż, będzie musiała wystarczyć. Zabierze ją gdzieś, gdzie otoczy ich ciemność i będzie sobie wyobrażał, że to Dolores. Ona na zawsze popamięta tę noc. W pamięci tej dziewczyny zostawi ślad, który będzie hołdem złożonym Dolores.

- Chodź - powiedział władczo, biorąc ją pod ramię. - Zjedzmy coś...

Rozdział IV

Moe Gleb zsunął sadzone jajko na talerz, dołożył dwa grube plastry szynki, odstawił syczącą patelnię do zlewu i przeniósł talerz na stół.

Był krępy, niskim młodzieńcem z czupryną w kolorze piasku. Jego mała, podobna do serca twarz była biała jak świeży łój barani; niewielkie, głęboko osadzone oczy i wąskie usta nadawały mu wyraz zaciętości. Widać było kim jest - młodym łobuzem, pozbawionym jakichkolwiek skrupułów, cisnącym się do pieniędzy, niebezpiecznym i krwiożerczym niczym dziki kot.

Usiadł przy stole, nalał sobie kawy do filiżanki i zaczął zajadać z niezwykłą żarłocznością.

Pete Weiner obserwował go stojąc przy oknie.

- Rany boskie! - burknął Moe i podniósł nagle wzrok znad talerza. - Co się tak gapisz? Nie widziałeś nigdy jedzącego faceta?

- Podziwiam twój apetyt - powiedział Pete cicho. - Od wczoraj od dziewiątej wieczór zjadłeś dwanaście jajek i dwa funty szynki.

- I co z tego? Muszę coś zrobić, skoro czekamy, nie? Dlaczego, do cholery, ty nie jesz?

Pete wzruszył ramionami.

- Widać nie jestem głodny... Jak sądzisz, jak długo będziemy jeszcze tak czekać?

Moe zmierzył go wzrokiem, uderzyła go nagła myśl. „Dziwny facet - skonstatował. - Ale to nie jego wina. Z taką czerwoną plamą na gębie, każdy byłby dziwakiem”.

- ... Dopóki ten łajdak Louis nie powie, że możemy iść... - wpakował szynkę do ust, chwilę żuł, potem sięgnął po kawę i pociągnął spory łyk. - Zastanawia mnie, dlaczego, do cholery, ty masz ją sprzątnąć... Dlaczego wybrali ciebie? Ja się nie nadaję? Załatwiłem już wielu facetów, a ty jeszcze żadnego, nie?

Pete potrząsnął głową.

- Kiedyś muszę zacząć - schylił się, podniósł zdjęcie Frances Coleman i popatrzył na nie. - Ale wolałbym, żeby to nie musiała być ona...

- O Jezu! - wykrzyknął Moe, uśmiechając się. - Co racja, to racja, mógłbym z nią zrobić dużo rzeczy, ale do głowy by mi nie przyszło, żeby ją zabić... Oj, dużo...

Pete ciągle wpatrywał się w fotografię. Twarz dziewczyny wywarła na nim dziwne wrażenie. I wcale nie z powodu jej urody. Była ładna, to prawda, ale nie bardziej niż przeciętna dziewczyna, jaką można spotkać w Pacific City. Właściwie to szczególnie poruszyły go oczy: radosne, pełne entuzjazmu, było to spojrzenie kogoś, kto uważa, że życie jest najwspanialszą przygodą.

Moe bacznie go obserwował. Pete ubrany był w schludny, szary, flanelowy garnitur, brązowe buty z surowej skóry i białą koszulę z modelowym krawatem w niebiesko-czerwone

paski. Ten facet - pomyślał Moe z zazdrością - wygląda jak student pierwszego roku jakiegoś snobistycznego college'u, i tak samo się wyraża.

Nie mógł być dużo starszy od Moego, miał ze dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata. Gdyby nie to znamie, uchodziłby za przystojniaczka, który ma szansę wystartować w filmie - rozmyślał Moe - ale taka okropna plama zdyskwalifikowałaby nawet największego amanta. Jest tak obrzydliwa, że można się przestraszyć...

- Moe, czy Seigel powiedział, dlaczego mamy wykonać tę robotę? - zapytał niespodziewanie Pete.

- Nie pytałem go. Raz tylko zadasz temu próżniakowi jakieś pytanie, a od razu możesz zafundować sobie nowe zęby - Moe dolał sobie kawy. - Jest robota? Jest. Nie ma się czym przejmować. Ty wiesz, jak to zrobić, co?

- Tak, wiem - powiedział Pete, a jego rysy twarzy nagle stwardniały. Moe patrząc na Pete'a, który stał w świetle okna i spoglądał na ulicę, poczuł, jak ogarnia go niepokój. „Ten facet mógłby być niebezpieczny - pomyślał. Jest trochę stuknięty. W każdym razie tak wygląda i Moe wolałby nie mieć z nim nic do czynienia”.

W tym momencie zadzwonił telefon.

- Odbiorę - Moe wybiegł z pokoju do kabiny w korytarzu.

Pete znów spojrzał na fotografię. Wyobraził sobie, jak ona zareaguje na jego widok. To żywe, ciekawe świata spojrzenie natychmiast zniknie z jej oczu i zmieni się w wyraz odrazy, jakim obdarzały go wszystkie dziewczyny, z którymi do tej pory się stykał. Poczul ucisk w gardle i gniew, od którego krew zapulsowała mu w skroniach. Tym razem nie musi udawać, że nie widzi tego spojrzenia; nie potrzebuje zmuszać się do uśmiechu i przełamywać wrażenia, jakie w niej wywoła. Właściwie nigdy nie udawało mu się przełamać tego wrażenia - dziewczyny nie dawały mu szansy. Jakby był jakimś potworem, odrażającym monstrum - pośpiesznie odwracały wzrok, znajdowały jakąś wymówkę, jakąkolwiek, byleby tylko mogły zwać i nie patrzeć na niego. Ona też tak robi, a wtedy on ją zabije.

Moe wbiegł do pokoju.

- Chodź, idziemy! Mamy dokładnie pół godziny, żeby tam dojechać, wykonać robotę i zniknąć, a ta cholerna robota jest po drugiej stronie miasta.

Pete złapał plik ilustrowanych czasopism, upewnił się, że trzycalowy, ostry jak brzytwa rozbijak do lodu tkwi w futerale pod płaszczem i zbiegł za Moem brudnymi, trzeszczącymi schodami do starego packarda, który stał zaparkowany przy krawężniku.

Chociaż samochód wyglądał jak stary rupieć, w zręcznych rękach Moego silnik grał prawie jak nowy i teraz wystartował z szybkością, która zawsze zadziwiała Pete'a.

- Zrobimy tak - mówił Moe patrząc przed siebie. - Ja zostanę w tym gracie na włączonym silniku, a ty pójdziesz do domu. Jeśli ona podejdzie do drzwi, będziesz bajerował o tych gazetach i skłonisz ją, żeby cię wpuściła do środka. Gdyby wyszedł ktoś inny, zapytasz o nią: panna Coleman, pamiętasz? Niech zostanie z tobą sama. Udawaj, że jesteś nieśmiały, albo coś w tym rodzaju. A potem zrób, co masz zrobić. Uderz mocno, to nawet nie piśnie. I zwiewaj. Jeśli będzie trzeba, możesz użyć broni. Wracaj szybko do samochodu. Pojedziemy do Wilcox na Czternastą Ulicę i tam zostawimy samochód. Stamtąd zabierze nas Dutch i przywiezie do klubu. Popłyniemy motorówką do Reid Key, a potem polecimy na Kubę...

- W porządku - odrzekł Pete poirytowany. - Znam to wszystko na pamięć.

- Tak, ja też, ale nie zaszkodzi sobie powtórzyć. Najtrudniej będzie dostać się do klubu, ale jak już tam dotrzemy, będziemy bezpieczni... Kuba! Chryste Panie! Byłeś kiedyś na Kubie? Widziałem tylko zdjęcia, wspaniałe! A kobiety... - ściągnął usta i gwizdnął przeraźliwie. - Bracie! Zaczekaj tylko, aż znajdzie się wśród tych czekoladowych ślicznotek!

Pete nic nie odpowiadał, cały czas ledwie słuchał. Myślał o tym, że był u progu wydarzenia, które miało zaważyć na całym jego życiu. Od miesiący tęsknił do chwili, gdy odbierze komuś życie, gdy odplaci mu czymś gorszym niż sam musiał znosić, i teraz wyobrażając sobie to wszystko, poczuł zimny skurcz.

- To tutaj - stwierdził Moe po pięciu minutach jazdy. - Lennox Avenue... Mieszka z jakąś Buntą Boyd. Nie wiem, co z nią zrobisz, jeśli będziesz musiał, ją też sprzątnij - zwolnił i jechał powoli wzdłuż szeregu czteropiętrowych domów.

- To jest po drugiej stronie ulicy - skręcił i zatrzymał samochód. - Pójdziesz trzy domy dalej... ja zaczekam tu... Podjadę, gdy wyjdiesz...

Pete chwycił stertę czasopism, otworzył drzwi samochodu i wysiadł. Ogarnęły go nudności, ręce miał zimne jak lód.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Moe, wpatrując się w niego przez szybę samochodu. - To bardzo ważne, Pete.

- Nic mi nie jest - Pete popatrzył na zegarek. Było dwie minuty po wpół do jedenastej. Pozostało mu dwadzieścia jeden na wykonanie roboty i ucieczkę.

Szybkim krokiem ruszył w stronę domu, starając się o niczym nie myśleć. „Wszystko będzie w porządku - mówił do siebie. - Wystarczy tylko, że zobaczy jej spojrzenie. Wszelkie skrupuły wtedy miną i z przyjemnością zrobi to, po co przyszedł.”

Idąc ścieżką między dwoma niewielkimi trawnikami, zobaczył, że w jednym z okien na parterze poruszyła się firanka.

Wszedł po stopniach prowadzących do frontowych drzwi. Obok futryny widniały cztery wizytówki i cztery dzwonki. Mieszkanie Bunty Boyd znajdowało się na drugim piętrze. Pete poczuł, że jest obserwowany i odwrócił się gwałtownie. Zobaczył, że firanka w oknie na parterze pośpiesznie wróciła na swoje miejsce i niewyraźny cień mężczyzny zniknął w głębi pokoju.

Pete nacisnął dzwonek, pchnął drzwi, przeszedł niewielkim korytarzem i wspiął się po schodach. Był już u celu, gdy doszły go dźwięki swingu dobiegające z radia. Minął właśnie półpiętro i nagle drzwi mieszkania otworzyły się z trzaskiem.

Poczuł, że zasycha mu w gardle, a serce zabiło gwałtowniej. Ujrzał przed sobą blondynkę w białej sukni plażowej. Twarz dziewczyny, młoda i ożywiona, miała tyle uroku, co okładka bombonierki z czekoladkami. Szła przed siebie roześmiana, ale zobaczywszy go zastygła w bezruchu, otworzyła szeroko oczy, a uśmiech zniknął.

W jej oczach pojawiło się spojrzenie dokładnie takie, jakiego się spodziewał, był teraz pewien, że wszystko pójdzie gładko. Poczuł narastającą wściekłość, która pozbawiała go tchu. Zmusił się do uśmiechu i zapytał cichym, łagodnym głosem:

- Przepraszam, czy zastałem pannę Coleman?

- Przyszedłeś... przyszedłeś zobaczyć się z Frankie? - zapytała dziewczyna. - Ach, więc to ty jesteś Burt Stevens! Zaraz ją poproszę. Mógłbyś chwilę zaczekać?

Zakręciła się na pięcie i wbiegła do mieszkania, zanim zdołał cokolwiek powiedzieć.

Czekał trzymając rękę pod płaszczem, jego palce oplatały plastikową rączkę. Gdyby wyszła na półpiętro, mógłby to zrobić zaraz. Tak byłoby łatwiej i bezpieczniej, gdyż w mieszkaniu ta druga dziewczyna mogłaby ich nie zostawić samych. Był wściekły, pragnął przestraszyć i zadać ból.

Przez półprzymknięte drzwi usłyszał dramatyczny szept Bunty:

- On jest straszny! Nie możesz z nim iść, Frankie! Naprawdę nie możesz!

Czekał. Serce waliło mu donośnie, a krew pulsowała w skroniach. Naraz drzwi otworzyły się i Frankie wyszła na rozsloneczniony korytarz.

Wyglądała, jakby zesza z fotografii, była tylko trochę niższa niż sobie wyobrażał. Miała piękną, zgrabną figurę, której nie mogła ukryć nawet skromna jasnoniebieska sukienka z lnu. Ciemne jedwabiste włosy opadały na ramiona. Uśmiech miała jasny i szczerzy i spojrzenie, które tak go poruszyło, kiedy po raz pierwszy ujrzał jej zdjęcie.

Jej świeża uroda i wdzięk sparaliżowały go. Stał tak spodziewając się, że lada moment w oczach dziewczyny pojawi się wyraz wstrętu i pogardy. Palce bezwiednie zacisnął na rączce szpikulca do lodu.

Ale jej uśmiech nie zniknął. Twarz dziewczyny wyrażała zadowolenie jakby naprawdę cieszyła się, że go widzi. Nie ruszał się z miejsca, wpatrując się w nią i czekał na zmianę, bo nie wierzył, że nie nadejdzie.

- Z pewnością to ty jesteś Burt - zagadnęła podchodząc do niego z wyciągniętą ręką. - Terry powiedział mi, że go zastąpisz. To bardzo ładnie z twojej strony, że zgodziłeś się przyjść w ostatniej chwili. Byłoby mi przykro, gdybyś się nie pokazał. Czekałam na to od wielu dni...

Jego ręka wysunęła się spod płaszcza, zostawiając zimne ostrze w futerale. Poczul, że palce Frances wślizgują się do jego dłoni. Obserwował ją uważnie, wypatrując jakiejś odmiany w jej twarzy i nagle wstrząsnęła nim myśl, że ta zmiana nigdy nie nastąpi.

2.

Bunty wyszła na korytarz, prowadząc za sobą wysokiego, dobrze zbudowanego, młodego mężczyznę z krótko przystrzyżonymi włosami i przyklejonym do twarzy szerokim uśmiechem. Ubrany był we wzorzystą czerwoną koszulę, którą wyłożył na jasnobrązowe spodnie. W ręce trzymał torbę wesołe, biało-czerwone pasy.

Frances, wciąż trzymając Pete'a za rękę, odwróciła się i uśmiechnęła do Bunty.

- Jesteś już gotowa? - zapytała.

- Buster mówi, że przegapimy przyływ, jeśli się nie pośpieszymy.

- Burt, to jest Buster Walker - powiedziała Frances, zwracając się do Pete'a. - Bunty już znasz, prawda?

Pete przeniósł wzrok na potężnego mężczyznę, który wyciągnął do niego rękę, uśmiechając się przy tym kordialnie. W jego oczach nie dostrzegł ani odrazy, ani zdziwienia, a tylko chęć wykazania się życzliwością.

- Miło cię poznać - zagadnął Buster. - Przepraszam, że nie zawiadomiliśmy cię wcześniej... Nie wiem, co bym zrobił, gdybym sam musiał zajmować się dwiema dziewczynami. Z trudem daję sobie radę z Bunty...

Kiedy wymieniali uścisk dłoni, Pete wymamrotał coś niezrozumiale.

- Może wolałbyś zostawić te gazety, zabierzesz je po powrocie - Frances wyciągnęła rękę do Pete'a, który oddał jej pakunek bez słowa. Patrzył, jak wraca do mieszkania, kładzie go na stole w przedpokoju a potem zamyka drzwi na zatrask.

- Teraz możemy iść - powiedziała i wzięła go pod rękę. Pozwolił się prowadzić w dół po schodach. Nie wiedział, co ma robić. Był oszołomiony. Uświadomił sobie, że teraz nie

potrafi nic zdziałać, nie z zimną krwią i nie dziewczynie, która go nie odtrąciła a której w tej chwili służył ramieniem. Gdyby chodziło o tę drugą, robota byłaby już dawno wykonana.

Kiedy znaleźli się na samym dole, Buster odezwał się:

- Burt, mam nadzieję, że Terry powiedział ci, dokąd idziemy?

Pete obejrzał się przez ramię.

- Nie... nie mówił.

- Cały Terry! - wykrzyknął Buster. - Wariat! Idziemy na plażę, na cały dzień, wybieramy się też do wesołego miasteczka.- Buster myśli, że naciągnie mnie na diabelskie koło - powiedziała Bunty - ale się myli. Nie poszłabym tam za nic w świecie, nawet z samym Gregorym Peckiem, a co dopiero z Busterem Walkerem!

Buster roześmiał się.

- Pójdiesz ze mną, nawet gdybym musiał cię nieść - otworzył drzwi i stanął z boku, by przepuścić dziewczyny.

- Mam samochód za rogiem - mówił dalej idąc obok Pete'a.

- Złapałem gumę i zostawiłem go w warsztacie do naprawy. Kącikiem oka Pete zobaczył, że firanka w oknie na parterze poruszyła się znowu i jeszcze raz ujrzał cień cofający się pospiesznie.

- Wścibski staruszek znowu węszy - powiedziała Bunty pogardliwie. - Nic nie robi, tylko podpatruje przez firankę.

- Może jest samotny - stwierdziła Frances. - Chyba nigdy nie wychodzi, prawda?

- Och, jesteś beznadziejna, Frankie - zniecierpliwiła się Bunty.

- Ujmujesz się za byle sparszywiałym kundlem. A on jest po prostu wstrętnym pijaczkiem, który spędza czas na szpiegowaniu ludzi, to wszystko...

Pete poczuł, jak krew napływa mu do twarzy. Tego właśnie się spodziewał. A więc litość. Była jedną z tych, które we wszystkim kierują się współczuciem. To dlatego nie zareagowała na widok jego koszmarne znamienia. Możliwe, że była wstrząśnięta, ale opanowała się, żeby nie zranic jego uczuć. Znowu poczuł lodowaty ucisk W dołku i ręka powędrowała do płaszcza, dotykając rozbijaka.

Packard był zaledwie 20 jardów stąd. Gdyby teraz uderzył, dotarłby do samochodu, zanim pozostała dwójka otrząsnęłaby się z szoku.

Jeszcze raz uświadomił sobie, że sam się oszukuje, Frances i Bunty znajdowały się kilka jardów przed nim, a tuż obok niego kroczył. Buster.

Zobaczył, że packard ruszył, przejechał kilkanaście jardów i zatrzymał się. Był ciekaw, co Moe myśli o tym wszystkim. Poczul: dreszcz, przebiegający mu po krzyżu. Może

Moe wkroczy do akcji? Przypuśćmy, że strzeli do niej z samochodu. W chwili, gdy ta myśl przyszła mu do głowy, przyspieszył kroku i zamknął lukę między sobą a Frances. Szedł tuż, tuż za nią, zasłaniając ją swoim ciałem.

Buster, postanowiwszy podjąć rozmowę, zaczął opowiadać o dzielnej drużynie Brooklyn Dodgers i entuzjasmował się tym, dopóki nie dotarli do warsztatu, gdzie czekał na nich mały, sponiewierany samochód sportowy z dwoma miejscami z przodu i jednym, niewielkim z tyłu.

- Trochę tu ciasno - zagadał Buster - ale chodzi nieźle. Bunty, siadaj z tyłu, a ty, Burt, obok mnie. Frankie usiądzie ci na kolanach, dobra?

- Jeśli nie będzie się bał, że go zgniotę - roześmiała się Frances.

Pete unikał jej wzroku.

- Ależ nie, wszystko w porządku - odparł i usiadł na przednim siedzeniu.

Frances opadła mu na kolana i objęła go rękami. Dotyk jej delikatnego, młodego ciała i lekki zapach perfum sprawiły, że krew zaczęła mu szybciej krążyć. Siedział delikatnie ogarniając jej kibić, ogłupiały, bez ruchu. Znajdował się w sytuacji, jaka nie zdarzyła mu się nigdy dotąd. Podobne przeżywał wyłącznie w marzeniach.

Buster zapuścił silnik, który zapalił z rykiem. Upewnił się jeszcze, że Bunty usadowiła się jakoś z tyłu, po czym wyjechał z garażu, kierując się w stronę morza.

Warkot silnika uniemożliwiał jakąkolwiek rozmowę, ale Pete'a wcale to nie obchodziło, był szczęśliwy, że ma tak blisko siebie dziewczynę i że może delektować się jej obecnością.

Samochód chwilami jechał z szybkością 45 mil na godzinę i Frances musiała wtedy chwycić go kurczowo, zaś Pete robił wszystko, żeby nie wypadła. Cały czas śmiała się głośno, raz nawet krzyknęła do Bustera, żeby jechał nieco wolniej, ale chyba jej nie słyszał.

Pete nagle uświadomił sobie, że nigdy jeszcze nie doświadczał uczucia takiego szczęścia, jak teraz. Zauważył, że uśmiecha się do Frances, kiedy ta przytula się do niego i czuł ciarki na plecach, gdy widział, że odpowiada mu tym samym.

Naraz samochód podskoczył na wybojach i zakołysał gwałtownie. Sukienka Frances uniosła się w górę ukazując podwiązki i białe gładkie uda. Pete pośpiesznie obciągnął jej spódnicę w obawie, że zwolni uścisk wokół jego szyi.

- Och, dziękuję ci - szepnęła wprost do jego ucha. - To naprawdę okropne, musimy go zatrzymać...Ale Buster już zwolnił i uśmiechnął się do Pete'a, mrugając porozumiewawczo.

- Wiedziałem, że prędzej czy później tak będzie - krzyknął - Ten numer nigdy nie zawodzi. Zawsze urządzam kolegom taki bezpłatny pokaz...

- Buster! Albo będziesz zachowywał się przyzwoicie, albo wracamy do domu! - z wyrzutem krzyknęła Bunty. Frances zdjęła jedną rękę z karku Pete'a i przytrzymała spódnice.

Było jeszcze daleko do morza, gdy usłyszeli odgłosy wesołego miasteczka, które mieszały się z krzykami, piskami i śmiechem ludzi, tak jak i oni spędzających dzień na plaży.

- Nigdy nie wiem, skąd się biorą wszyscy ci ludzie - Frances starała się przekrzyczeć warkot silnika. - Obojętne, kiedy się przyjdzie - zawsze jest tłok.

Pete miał właśnie zamiar się odezwać, ale machinalnie spojrzał w lusterko. W jego odbiciu dojrzał majaczącą sylwetkę packarda i płową czuprynę Moego, który tkwił za kierownicą.

Oblała go fala - na przemian zimna i gorąca. Z uczuciem zdziwienia i strachu zarazem, uzmysłowił sobie, że przez ostatnie dziesięć minut kompletnie zapomniał o Moem i rozkazie, jaki otrzymał od Seigela.

Buster wjechał na zatłoczony parking, wcisnął się między jakieś dwa samochody i zgasił silnik. Samochody przybywały z częstotliwością dziesięciu na minutę, kiedy więc cała czwórka szła w kierunku plaży, natychmiast otoczył ją tłum hałaśliwy, skłębiony i mokry od potu.

Frances nie puszczała ramienia Pete'a. Szedł przodem - tworząc jakby osłonę przed falą wirującego kłębowiska ciał, zdążających w ich kierunku. Buster potężnymi ramionami torował drogę Bunty, a ona postępowała w ślad za nim, trzymając się rąbka jego koszuli.

Przeciskali się obok niskich, drewnianych domków, które zajmowali wróżbici, fotografowie ze swoimi śmiesznymi zwierzakami i jeszcze zabawniejszymi rekwizytami, gdzie odbywały się pokazy dziwów natury i handel hamburgerami. Przedzierali się potracani, zatrzymywani przez tłum, to znów ruszali naprzód.

Od czasu do czasu Pete spoglądał przez ramię, ale nie widział Moego i to pozwoliło mu mieć nadzieję, że zgubili go w tłumie.

Dotarli wreszcie do balustrady po stronie morza. Niedaleko stąd widać było falujący szkielet kolejki górskiej - pojazdy stukały i łomotały w górę, w dół po stromych torach, zawsze pełne rozwrzeszczanych ludzi, zdecydowanych dobrze się bawić, a więc krzyczeć lub pisać głośniejszo niż ich sąsiedzi.

Na tle nieba rysowała się sylwetka monstrualnie dużego diabelskiego koła, które obracało się powoli, unosząc małe samochodziki prosto do nieba; samochodziki wirowały i kołysały się złowieszczo z tej odległości robiąc wrażenie, jakby były zawieszane na kotwicach cienkich jak niteczka.

Cała czwórka stała teraz zwrócona w stronę plaży, wpatrując się w trzymilową wstęgę piasku. Kipiąca ludzka masa smażyła się na słońcu, grała w piłkę, tenisa lub żabkę, albo gnała pędem na spotkanie fal, wypełniając powietrze niesamowitym hałasem.

- Ho, ho, tu jest chyba połowa miasta - powiedział Buster, obserwując tę scenerię z szerokim uśmiechem, który nigdy nie schodził mu z twarzy. - Chodźmy... Najpierw się wykapiemy, potem pójdziemy na obiad, a później... do wesołego miasteczka... Co wy na to?

- Zabrałeś kąpielówki? - Frances zwróciła się do Pete'a. Potrząsnął głową.

- Chyba nie będę pływał...

Zauważył, że Bunty ściągnęła twarz i uniosła ramiona w geście, który mówił: więc po co, u diabła, tu przyszedłeś? i poczuł, że krew znowu uderza mu do głowy. Rozgniewało go to, gdyż wiedział, że rumieniec powoduje, iż znamię na jego policzku staje się wyraźne i wygląda szczególnie odrażająco. Widział, że Bunty odwraca się, żeby na niego nie patrzeć. Ale Frances spoglądała na niego nie zmieniając wyrazu oczu.

- Nieważne - powiedziała szybko. - Posiedzimy na plaży i popatrzemy, jak wy pływacie. Ja też nie mam ochoty iść do wody...

- Och, nie, proszę cię, chcę, żebyś poszła popływać - Pete starał się opanować zmieszanie.

- Dobrze, Burt przypilnuje naszych rzeczy - postanowił Buster. - Nie będziemy długo. Chodźcie, dziewczyny, idziemy...

Z trudem przedarli się przez tłum, w końcu znaleźli mały skrawek wolnego piasku i błyskawicznie wyznaczyli granicę swojego królestwa.

Buster pod ubraniem miał kąpielówki, i szybko rozebrał się. Pete z zazdrością patrzył na jego muskuły i ładną opaleniznę.

Obydwie dziewczyny zdjęły buty i pończochy, i zsunęły sukienki z ramion. Miały na sobie jednoczęściowe kostiumy. Pete na widok rozebranej Frances poczuł, że dreszcz przebiega mu po plecach. Jej kostium miał kolor ostryg i ściśle przylegał do ciała. Pomyślał, że ma najpiękniejszą figurę, jaką kiedykolwiek widział.

Założyła czepek i podeszła do niego.

- Jesteś pewien, że nie będzie ci przykro, że zostajesz sam? Mogłabym pobyć z tobą...

- Nie, wszystko w porządku, zaczekam na ciebie...

- Chodźże, Frankie! - Bunty krzyknęła ze zniecierpliwieniem i ujawszy dłoń Eustera, pociągnęła go za sobą na spotkanie fal. Po chwili taplali się już w wodzie.

Frances uśmiechnęła się do Pete'a. „To niewiarygodne - pomyślał i coś ścisnęło go za gardło - żeby dziewczyna tak śliczna jak Frances, patrzyła na niego i uśmiechała się, jakby był zwyczajnym człowiekiem, takim jak Buster...”

- Zaraz wrócę - powiedziała i pobiegła za tamtymi.

Peter siedział zgarbiony obejmując rękami kolana i patrzył na jej długie, smukłe nogi, proste, chłopiące niemal plecy, gdy biegła niezgrabnie w sposób tak charakterystyczny dla większości młodych dziewcząt. Widział, jak zanurza się w wodzie i płynie za tamtymi.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz? - jakiś głos warknął mu nad głową.

Pete zmartwił, serce zabiło gwałtownie. Odwrócił się szybko.

Moe przykucnął tuż obok i wpatrywał się w znikającą raz po raz głowę Frances, która wypływała coraz dalej w morze. W swoim czarnym garniturze, ręcznie malowanym krawacie i białych butach zupełnie nie pasował do tych półnagich ciał plażowiczów.

- Facet otworzył drzwi - Pete wyrecytował, usiłując zapanować nad głosem. - Potem wyszły obie dziewczyny. Wzięły mnie za kogoś innego. Nie było szansy, żeby to zrobić, więc poszedłem z nimi i teraz - czekam na okazję... aż będzie sama...

- Tak właśnie bywa, gdy nie rozeźnia się w pierw sytuacji - oczka Moego błysnęły podejrzliwością - Mówiłem temu durnemu Louisowi... - popatrzył na zegarek. - No tak, o tej porze będą już u niej gliny... Musisz ją szybko załatwić, Pete...

- W tym tłumie? - zapytał sarkastycznie Pete.

Moe odwrócił głowę i spojrzął na diabelskie koło, unoszące w niebo maleńkie samochodziki.

- Weź ją na diabelskie koło - powiedział. - W takim samochodziku będzie miło i bezpiecznie. Załatw ją, kiedy wyjedziecie w górę, i wepchnij pod siedzenie... Zdażysz zwiąć zanim ją zauważą...

Pete nagle poczuł mdłości.

- Dobrze...

- Tylko nie nawal - głos Moego stał się niespodziewanie szorstki. - Wystarczy popełnić tylko jeden błąd... Trzeba ją sprzątnąć... to rozkaz... Jeśli nie potrafisz, ja to zrobię...

- Powiedziałem: dobrze - rzucił oschle Pete.

- Lepiej niech będzie dobrze - Moe wstał. - Będę w pobliżu” Pete... Masz mało czasu, wykorzystaj go, albo ja się nią zajmę...

Pete spojrzął przez ramię na barczystą, przysadzistą sylwetkę? Moego przedzierającą się przez kłębowisko ciał, omijając dzieciaki? budujące zamki z piasku, stąpającą obok

tłustych matron w jednoczęściowych kostiumach kąpielowych i ich jeszcze grubszych mężów... rozwalonych na leżakach.

Patrzył za nim, dopóki nie wtopił się w tłum, wreszcie stracił go z oczu. Wiedział jednak, że nie odejdzie daleko, od tej pory będzie? bacznie śledził każde jego posunięcie.

Siedział w gorącym słońcu z twarzą mokrą od potu i czuł, że ogarnia go paniczny strach. Wreszcie przyznał się przed samym sobą, że wcale nie ma zamiaru zabić Frances, i że taką decyzję podjął już w momencie, gdy ją zobaczył. Wiedział, że gdyby na jego miejscu znalazł się Moe, zginęłaby w chwili, gdy pojawiła się na korytarzu... Pete mógłby zrobić to samo, ale uratowało ją życzliwe spojrzenie jej oczu. Musi teraz stawić czoło sytuacji, a wiedział co to oznacza.. Z całym rozmysłem zdecydował się poświęcić swoje życie. Jeszcze nikt, kto nie usłuchał rozkazu organizacji, nie przeżył. Co prawda, znalazło się kilku odważnych, którzy złamali dyscyplinę i udało im się wyjechać z miasta. Jeden dotarł do Nowego Jorku, inny do Miami, trzeci aż do Mediolanu we Włoszech, ale i tak dosięgły ich długie macki syndykatu.

Ale Pete nie myślał o sobie. Ta dziewczyna była zbyt młoda, zbyt urodziwa i zbyt miła, żeby umrzeć - myślał grzebiąc palcami w piasku i zastanawiając się, co ma zrobić, by ją uratować. Jeśli będzie za długo zwlekał, uprzedzi go Moe. Stać go na to, by zbliżyć się do Frances i na zatłoczonej plaży dźgnąć nożem, a potem zwiąć torując sobie drogę pistoletem. Tak, Moe mógłby to zrobić, gdyby doszedł do wniosku, że Pete się ociąga.

Jedyną właściwą rzeczą, jaką powinien był teraz zrobić, to ostrzec Frances, a potem zająć się samym Moem. Gdyby zabił Moego, Frances miałaby przynajmniej godzinę, by wydostać się z miasta i ukryć gdzieś, zanim ci z organizacji spostrzegą, że wymknęła im się z rąk.

Ale chcąc uporać się z Moem, musi być bardzo ostrożny. Moe już nabrał podejrzeń. A strzela bardzo szybko, o wiele szybciej niż Pete sam mógłby zamarzyć. Trzeba by było w jakiś sposób uspić jego czujność i dopiero potem, we właściwym momencie go podejść...

Ale najpierw musi ostrzec Frances, tylko jak odciągnąć ją od tej dwójki? Gdyby powiedział jej o tym w obecności tamtych, Buster prawdopodobnie wezwałby gliny a Moe uszedłby z życiem, bo Pete nie zdążyłby go zabić.

Pete był przekonany, że wszystko zależy od śmierci Moego. Spojrzał na połyskujące fale morza. Niebieski czepek kąpielowy Frances w podskokach zbliżał się w jego stronę. Wracała.

Wziął się w garść i czekał.

3.

Samochód policyjny z czarno-białą szachownicą skręcił w Lennox Avenue, po czym zwolnił, by Conrad wychylony przez okno mógł rozpoznać numery domów.

- Po tamtej stronie ulicy, jakieś dziesięć jardów dalej - powiedział do Bardina, który prowadził wóz.

Bardin przejechał na drugą stronę i zatrzymał auto przed czteropiętrowym budynkiem. Obaj mężczyźni wyszli z samochodu i stanęli na chwilę, by przyjrzeć się domowi.

Serce Conrada kołatało wybite z rytmu. Był podekscytowany. Kiedy McCann zadzwonił do niego do biura, żeby powiedzieć, że dziewczyna, to znaczy - Frances Coleman, mieszka przy Lennox Avenue 35, wprost nie mógł doczekać się Bardina, który miał po niego przyjechać.

- Niedługo problem będziesz miał z głowy - stwierdził Bardin uśmiechając się. - O co zakład, że nikogo nie widziała?...

- Chodź, zapytamy ją... - odrzekł Conrad i popchnął furtkę prowadzącą do ogrodu. Idąc ścieżką do drzwi frontowych, zauważył ruch w oknie parteru i spostrzegł cień mężczyzny, przyczajonego za firanką. Cień zniknął, gdy Conrad zwrócił głowę w tamtym kierunku.

Paul zatrzymał się, aby przeczytać wizytówki na drzwiach, potem nacisnął drugi w kolejności dzwonek, otworzył frontowe drzwi, przeszedł energicznie przez korytarz i wspiął się po schodach. Bardin poszedł za nim.

Conrad zapukał do drzwi na drugim piętrze. Czekali chwilę, ale nikt nie otwierał, więc Conrad zastukał jeszcze raz.

- Wygląda na to, że nie ma nikogo - stwierdził marszcząc z niezadowoleniem brwi. - Cholera, co teraz zrobimy?

- Przyjdziemy później - odparł Bardin. - Byłbym zdziwiony, gdyby w taki dzień jak dzisiejszy, ktoś siedział w domu.

Zeszli po schodach.

- Może ten facet z okna wie, gdzie poszła... Sądząc po sposobie bycia, powinien wiedzieć...

- Po co się tak podniecasz? - uspokajał Bardin. - Wrócimy po południu...

Ale Conrad nie słuchał go, tylko już stukał do drzwi, znajdujących się po prawej stronie od głównego wejścia. Po dłuższej przerwie drzwi otworzyły się ukazując wysokiego,

zgarbionego starca w przyciasnym czarnym garniturze. Popatrzył na nich ogromnymi, bladoniebieskimi oczami.

- Dzień dobry panom - powiedział na powitanie. - Czym mogę służyć?

- Nazywam się Paul Conrad, pracuję w Prokuraturze Okręgowej, a to porucznik Bardin z Policji Miejskiej... Mamy sprawę do ludzi z drugiego piętra. Wydaje mi się, że nikogo tam nie ma. Nie wie pan, kiedy wrócą?

Starszy pan wyjął dużą czerwoną, jedwabną chusteczkę i wytarł nią nos. Jego wyblakłe niebieskie oczy nabrały wyrazu silnego podniecenia.

- Niech panowie wejdą - powiedział usuwając się z przejścia i szeroko otwierając drzwi. - Przepraszam za nieporządek, ale mieszkam sam...

- Dziękujemy - odparł Conrad. Gdy weszli do pokoju, wymienili z Bardinem spojrzenia pełne rezygnacji.

Pokój wyglądał, jakby nikt tu nie sprzątał ani nie odkurzał od miesięcy. Na starym kredensie na wysoki połysk stała bateria butelek po whisky i ze dwa tuziny brudnych kieliszków. Większość butelek była pusta, ale staruszek odnalazł jeszcze jedną nie napoczętą i drżącymi rękami zaczął zrywać cynfolię wokół nakrętki.

- Usiądźcie panowie... Proszę nie sądzić, że zawsze tak mieszkalem, ale kilka lat temu straciłem żonę i ciągle nie mogę się przyzwyczaić do tej myśli - udało mu się otworzyć butelkę, po czym nieprzytomnymi oczami spojrzął na brudne kieliszki. - Powinienem się przedstawić: jestem pułkownik Neumann. Mam nadzieję, że panowie napiją się ze mną?

- Nie, dziękujemy, panie pułkowniku - szybko odpowiedział Conrad. - Spieszmy się... Nie zauważył pan przypadkiem, czy pani Coleman wychodziła z domu dzisiaj rano?

- Jeśli panowie naprawdę nie chcą, to ja się napiję - rzekł pułkownik i nalał sobie whisky do jednego z kieliszków. - Jestem już stary i odrobina whisky dobrze mi robi. Umiar we wszystkim, panie Conrad, a wtedy nic nie zaszkodzi...

Conrad powtórzył pytanie nieco głośniej.

- Tak. Wszyscy wyszli - pułkownik ostrożnie podniósł kieliszek i usiadł na krześle. - Nie myślcie, że podpatruję ludzi, po prostu ich zauważyłem. Czy mają kłopoty?

Ciekawość i zarazem nadzieja widoczna w jego oczach zirytowały Conrada.

- Nie, ale zależy mi na rozmowie z panną Coleman. Czy pan ją zna?

- Tę ciemnowłosą? - pułkownik uśmiechnął się. - Widziałem ją, ładne stworzenie. Czego policja od niej chce, panie Conrad?

- Czy przypadkiem pan nie wie, dokąd poszli?

- Mówili o wesołym miasteczku - pułkownik zmarszczył brwi. - Wydaje mi się, że któreś z nich wspominało o pływaniu...

Conrad skrzywił się. Wiedział, że jeśli Frances poszła do wesołego miasteczka, nie było sensu jej szukać. Tam zawsze jest tłok. Wzruszył ramionami zrezygnowany.

- Dziękujemy, panie pułkowniku. Zajrzę chyba po południu...

- Czy na pewno nic się nie stało? - zapytał pułkownik wpatrując się w Conrada. - Bardzo nie podobał mi się mężczyzna, który za nimi jechał, wyglądał na gbura...

Conrad zeszywniał.

- Co za mężczyzna, panie pułkowniku?

Pułkownik wypił whisky jednym haustem, odstawił kieliszek i wytarł usta jedwabną chustką.

- Niech pan nie myśli, że bez przerwy stoję przy oknie, panie Conrad, ale właśnie wyjrzałem, gdy szli ulicą, i wówczas zobaczyłem tego mężczyznę w samochodzie. Jechał w ślad za nimi - taki żółto-włosy, młody, ale nie podobał mi się jego wygląd...

- Z kim była pani Coleman? - ostrym tonem zapytał Conrad.

- Z przyjaciółmi - pułkownik parsknął z niezadowoleniem. - Był tam ten facet, który nosi koszulę wypuszczaną na spodnie. Chciałbym go mieć w moim pułku, nauczyłbym go jak się ubiera dżentelmen. Potem ta Boyd - mała spryciara... Wie pan, to śmieszne, ale niektóre dziewczęta w ogóle nie przywiązują wagi do tego, jak facet wygląda. Za moich czasów, było zupełnie inaczej, mówię panom. Co do panny Coleman to nie wydaje mi się, by zależało jej na towarzystwie tego faceta ze znamieniem. Ale to bardzo dobre stworzenie, pewnie ulitowała się nad nim...

Conrad i Bardin wymienili spojrzenia. Obaj znali z widzenia Pete'a Weinera i chociaż nigdy nie wpadł im w ręce, wiedzieli że pracował dla Maurera.

- Co za facet ze znamieniem? - warknął Bardin. Pułkownik spojrzał na niego mrużąc oczy.

- Nie wiem kim jest, nigdy go nie widziałem. Miał znamię - chyba tak się to nazywa? - na prawym policzku...

- Ciemnowłosy, drobnej postury, wyglądał jak student? - wypytywał dalej Bardin.

- Tak. Mógł być studentem.

- A ten drugi facet, w samochodzie... Czy to był packard? A facet - niski, krępy, o jasnych włosach i białej twarzy?

- To chyba jego wierny rysopis... Niebezpieczny typ... Nie wiem, jaki miał samochód, nie zauważyłem. Więc panowie go znają?

- Mówi pan, że ten facet ze znamieniem wyszedł z pozostałą trójką? - Bardin zignorował pytanie pułkownika. - Tak, widziałem, jak szedł z nimi ulicą. Zabrali mały samochód z warsztatu, który stąd widać. Blondyn w samochodzie pojechał za tym małym autem...

Conrad był wyraźnie zaniepokojony. Z opisu obu mężczyzn wywnioskował, że byli to Pete Weiner i Moe Gleb.

- Dziękujemy - powiedział idąc w stronę drzwi. - Przepraszam, że zabraliśmy panu tyle czasu...

- Ależ panowie, chyba jeszcze nie idziecie - pułkownik wstał z zamiarem zatrzymania Conrada, przy okazji wylewając resztę whisky z kieliszka. - Muszą mi panowie jeszcze wyjaśnić...

Ale Conrad znajdował się już w połowie ścieżki, a Bardin podążał tuż za nim. Wsiedli do samochodu.

- No i jak ci się to podoba? - zapytał Conrad ponuro. - Musimy zacząć działać. Najpierw jedziemy do warsztatu, mogą tam mieć dane o samochodzie. Ja pojedę do wesołego miasteczka, a ty zorganizujesz jakąś pomoc. Potrzebujemy natychmiast około czterdziestu do pięćdziesięciu ludzi.

- Na litość boską! - wykrzyknął Bardin z dezaprobatą. - Na co nam tylu ludzi! My dwaj możemy to załatwić.

- Naprawdę? - Conrad zbladł. - Ta dziewczyna znajduje się w tłumie około pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Depczą jej po piętach dwaj ludzie Maurera. Jak myślisz, po co oni tam są? Czy sądzisz, że pozwolę ją sprzątnąć, tak jak Paretto sprzątnął pozostałych świadków? Potrzebujemy tylu ludzi, ile tylko mogą nam dać. Mam zamiar uratować tę dziewczynę, nawet gdyby to była ostatnia rzecz jaką dane byłoby mi zrobić!

4.

- Hej, zaczekajcie chwilę - zawołał Buster przystając. Ramiona miał wyładowane lalkami, odpustowymi wazonami, orzechami kokosowymi i dwoma dużymi pudełkami cukierków. - Muszę to wszystko gdzieś zostawić. Mam dosyć dźwigania tego z sobą...

- Nie trzeba było wygrywać - roześmiała się Bunty. - Gdzie to zostawisz?

- Chodźmy do samochodu, a potem na diabelski młyn...

- Ale nie musimy iść wszyscy... - stwierdziła Bunty. - Ja pójdę z tobą, a wy, Frankie, idźcie dalej. Spotkamy się przy diabelskim młynie. Jeszcze nie wiem, czy sama będę jeździć, ale przynajmniej popatrzę na was...

Serce załomotało Pete'owi w piersiach. Przez ostatnią godzinę bez powodzenia usiłował zostać z Frances bez świadków, a teraz okazja nadarzyła się sama. Spojrzał przez ramię. Niedaleko, przy stoiskach gry w bingo, stał Moe. Jego blada twarz wyrażała wściekłość nie do opisania.

- Dobrze - powiedziała Frances. - Spotkamy się przy wejściu na diabelski młyn...

Pete był już pewien, że Moe nie będzie dłużej czekał. Musiał więc odciągnąć Frances jak najdalej od tłumu, ale także - od Moego. Rozejrzał się na boki i oczy mu pojaśniały na widok ogromnego neonu:

WIELKI LABIRYNT LUSTER

Czy chcesz być sam? Przyjdź zgubić się w najdziwniejszym labiryncie świata.

- Potrzebujecie co najmniej dwadzieścia minut na dojście do samochodu i powrót - zwrócił się do Bustera. - My tymczasem pójdziemy do labiryntu... Może spotkamy się przy wejściu?

Zwrócił się do Frances:

- Pójdiesz ze mną? Zawsze chciałem go zobaczyć. To może być zabawne...

- Do diabła! - wykrzyknęła Bunty. - Zgubicie się i utkniecie tam na parę godzin...

- Nie - szybko zareagował Pete. - To naprawdę bardzo proste. Trzeba się tylko trzymać cały czas lewej strony, wyjdzie się po dziesięciu minutach. Pójdziesz?

Frances przytaknęła. Co prawda, nie miała specjalnie ochoty iść, ale Pete tak ochoczo zgadzał się na wszelkie jej propozycje, że nie wypadało mu teraz odmówić.

- Jak chcecie... Jeśli nie będzie was za pół godziny, nie czekamy - zastrzegła Bunty. - No, Buster, chodźmy...

Kiedy przeciskali się przez nie kończący się strumień ludzi, Pete znowu obejrzał się. Na twarzy Moego, który widział jak Bunty z Busterem znikają w tłumie, pojawił się wyraz zdecydowania. Pete pośpiesznie zwrócił się do Frances:

- Idziemy? To będzie zabawne i nie potrwa długo. Szła za nim w kierunku labiryntu, ściskając jego rękę.

- Znasz tego człowieka? - zapytała zniecierpliwiona. Pete zeszywniał i spojrzał na nią przenikliwie.

- Jakiego człowieka?

- Tego, na którego ciągle patrzysz, w czarnym garniturze. Cały czas chodzi za nami.

- Naprawdę? - Pete starał się zapanować nad drżeniem głosu.

- Wydaje mi się... wydaje mi się, że już go gdzieś widziałem. Doszli do kasy i Pete poszedł kupić bilety. Było to chyba jedyne miejsce bez kolejki, więc blondynka w średnim wieku sprzedała mu wejściówki wyraźnie zadowolona.

- Proszę trzymać się lewej strony - powiedziała wydając resztę.

- Jeśli się zgubicie, naciśnijcie dzwonek. Znajdziecie mnóstwo przycisków po drodze. Wtedy ktoś po was przyjdzie...

Pete podziękował i podszedł do Frances, która czekała przy wejściu. Poprowadził ją długim korytarzem, a kiedy weszli dalej, spojrzał niespokojnie przez ramię. Po Moe'em nie było ani śladu.

- Co robimy? - zapytała Frances, - Okropnie tu duszno, prawda?

- Jak wejdziemy do środka, nie będzie duszno - uspokoił ją Pete. - To jest na świeżym powietrzu...

Przeszli kilka jardów i nagle znaleźli się w labiryncie. Miał ściany wysokości około piętnastu stóp, po obu stronach wyłożone lustrami. Korytarz szeroki na sześć stóp mógł swobodnie pomieścić dwoje ludzi idących obok siebie. Lustra były tak pochylone, że w jednym można było zobaczyć odbicie drugiego. Kiedy więc Frances i Pete weszli do pierwszego długiego korytarza, nagle zostali osaczeni przez własne odbicia, zwielokrotnione trzydzieści albo czterdzieści razy.

Efekt był tak przerażający, więc, że Frances raptownie zatrzymała się.

- Chyba mi się to nie spodoba - stwierdziła, odwracając się do Pete'a. - Sądzisz, że uda nam się kiedykolwiek stąd wyjść?

- Wszystko w porządku - odrzekł, biorąc ją pod ramię. - Teraz pójdziemy przed siebie, a kiedy dojdziemy do rozwidlenia dróg, skęcimy w lewo. Jeśli cały czas będziemy trzymać się lewej strony, wyjdziemy za około dziesięć minut.

- No, dobrze - odrzekła Frances z powątpiewaniem. - Ale naprawdę to mi się nie podoba...

Wziął ją pod rękę i poprowadził naprzód. Zależało mu na tym, aby znaleźli się w samym środku labiryntu, na wypadek, gdyby Moe ich widział i deptał po piętach. Kilka minut szli lustrzanymi korytarzami, skręcając ciągle w lewo, aż dotarli do skrzyżowania.

Idąc mieli nad głowami błękitne niebo i słyszeli gwar wesołego miasteczka. Szli ścieżkami, z których każda następna była wierną kopią poprzedniej. Zewsząd otaczały ich własne odbicia. Było tak, że ścieżki, które wydawały się nie mieć końca, okazywały się nagle ślepyimi uliczkami, musieli więc często wracać i szukać zakrętu, którego wcześniej nie zauważyli.

Po dwóch, a może trzech minutach wędrówki, Frances nagle odezwała się:

- Sądzę, że powinniśmy już wyjść. To trochę nudne, prawda?

Pete zatrzymał się i rozejrzył po korytarzu, którym właśnie przyszli. Patrzyło na niego dwadzieścia twarzy z dwudziestoma szpecącymi znamionami i na ten widok zrobiło mu się niedobrze.

Teraz, kiedy nastał moment, że musiał jej wyznać całą prawdę, zrozumiał, że to nie jest wcale takie proste. Musiał się spieszyć. W każdej chwili Moe mógł się pojawić na końcu jednej z tych uliczek..

- Przyprowaździłem cię tutaj, żeby ci o czymś powiedzieć - zaczął. - Ale boję się, że będzie to dla ciebie szok...

Spojrzała na niego gwałtownie; widział, że znieruchomiała.

- O co ci chodzi?

- Nie nazywam się Burt Stevens, jestem Pete Weiner. Mamy mało czasu. Proszę cię, wysłuchaj mnie, i nie bój się...

Zauważył w jej oczach nagły strach i zrobiło mu się jej żal. Znaleźć się z kimś zupełnie obcym w tym skomplikowanym labiryncie, było naprawdę okropne - pomyślał i spróbował uśmiechnąć się serdecznie.

- Nie rozumiem - wydusiła cedząc słowa. - Czy to żart?

- Chciałbym, żeby to był żart - oznajmił z powagą w głosie. - Zanim powiem ci więcej chcę, żebyś wiedziała, że nie zrobię ci krzywdy za nic w świecie. Ze mną jesteś bezpieczna, więc proszę cię, nie bój się...

Odsunęła się od niego.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie wiem, co się ze mną dzieje... - mówił; szukając właściwych słów - wysłano mnie, żeby cię wykończyć. Ten człowiek, który szedł za nami, przyszedł ze mną. To zły człowiek. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale uwierz mi - on cię zabije, jeśli zostaniesz sama. Chcąc cię uratować, mam tylko jedno wyjście - muszę go sprzątnąć, a wtedy ty będziesz mogła uciec. Dlatego przyprowaździłem cię tutaj... Musisz zrobić dokładnie to, co ci powiem - urwał, gdyż dojrzał przerażenie w jej oczach.

Słuchając jego cichego, pełnego napięcia głosu, Frances doszła do wniosku, że ma do czynienia z szaleńcem. Gazety często donosiły o okropnych przypadkach, kiedy to jacyś maniacy uprowadzali dziewczyny w ustronne miejsca, żeby je zamordować. Zrobiła kilka kroków do tyłu i podniosła ręce do góry, gestem błagając go, aby się nie zbliżał.

Widząc jej narastającą panikę, Pete nie ruszył się z miejsca. Uświadomił sobie, jak ryzykownie było wyznać jej prawdę. Domyślał się, że mogła dojść do wniosku, że jest wariatem, i nagle z uczuciem rozpaczły spostrzegł, że właśnie tak myśli.

- Proszę cię, Frankie, nie bój się - powiedział. - Zaufaj mi... Nie jestem szaleńcem i nie zrobię ci krzywdy. Nie rozumiesz tego? Nie widzisz, że chcę ci pomóc?

- Proszę cię, odejdz - odrzekła. Twarz miała bladą, ale spokojną. - Znajdę wyjście bez twojej pomocy... Idź i zostaw mnie...

- Odejdę, ale najpierw musisz wysłuchać tego, co chcę ci powiedzieć. Temu człowiekowi, który chodzi za nami, kazano cię zabić. Nie wiem dlaczego, ale on to zrobi, chyba, że ja mu przeszkodzę. Dali mi twoje zdjęcie, żebym mógł cię rozpoznać. Patrz, pokażę ci, może to cię przekona, że mówię prawdę...

Widząc, że wypadła w nieopisany popłoch, pośpiesznie wepchnął rękę do kieszeni płaszcza, by wyjąć portfel. Czuł, że wystarczy pokazać jej zdjęcie, by uświadomiła sobie powagę sytuacji.

Kiedy wyszarpywał portfel, zaczepił zegarkiem o uchwyt szpikulca do lodu. Narzędzie wysliznęło się z pokrowca i upadło na ziemię u jego stóp.

Frances spojrzała w dół i zobaczyła narzędzie. Z przerażeniem wpatrywała się w śmiertelne ostrze, potem podniosła oczy i napotkała przestraszony, pełen skruchy wzrok Pete'a. Poczowała lodowaty chłód wokół serca.

Nie wahała się. Była teraz pewna, że jest groźnym wariatem, który wciągnął ją do labiryntu, żeby ją skrzywdzić, wiedziała też, że gdyby doszło do walki, nie miałyby żadnych szans. Odwróciła się i zaczęła uciekać.

- Frankie! Proszę cię!

Jego rozdzierający krzyk podziałał na nią jak ostroga. Długie nogi niosły ją prostą, wąską uliczką tak szybko, że ledwie mogła podołać. Biegając przesuwając ręką po lewej stronie lustrzanej ściany. Nagle dotykiem wyczuła zakręt i rzuciła się naprzód. Skręciła jeszcze raz, tym razem w prawo, w kolejną uliczkę, która ciągnęła się niby koszmar i dalej biegła z rozwianymi włosami i kredowobiałą twarzą, z trudem łapiąc oddech.

Nie miała pojęcia, jak długo to trwało, jak często skręcała i zawracała. Miała wrażenie, że znalazła się w kieracie: każdy krok prowadził ją w miejsce, które było takie samo, lub wyglądało tak samo, jak poprzednie.

W końcu nie miała siły biec dalej. Oparła się o lustrzaną ścianę. Ręce przycisnęła do piersi i zamknęła oczy, z wysiłkiem chwytając powietrze.

Po krótkiej drwili otworzyła oczy i utkwiała wzrok w lustrze, które miała przed sobą. Zaskoczona zobaczyła ogromne, pełne strachu oczy i rozrzucone w nieładzie włosy, które zazwyczaj były schludnie i gładko zaczesane.

Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Mogła być zaledwie kilka; jardów od Pete'a, ale równie dobrze mógł to być sam środek labiryntu.

Zastanawiała się, czy przypadkiem nie powinna zawołać o pomoc, ale gdyby tak Pete był w pobliżu i odnalazł ją, zanim ktokolwiek dotarłby tu z zewnątrz?

Postanowiła, że będzie bezpieczniej, jeśli samodzielnie wydostanie się z labiryntu. Spojrzała w jedną i drugą stronę ścieżki, która w zwierciadle zdawała się nie mieć końca ani początku i owładnęła nią nagła fala paniki. To było jak koszmarne sen. Miała ochotę sięść i płakać, poddać się słabości i z twarzą ukrytą w dłoniach czekać, dopóki ktoś jej nie znajdzie.

A jeśli tym kimś byłby Pete? Na myśl o tym otarła łzy i wyteżyła całą wolę, próbując wziąć się w garść. Gdyby dalej szła tą uliczką - mówiła sobie - i na każdym skrzyżowaniu skręcała w lewo, z pewnością doszłaby do wyjścia.

Zaczęła stąpać powoli, równocześnie wyteżonym słuchem usiłowała pochwycić każdy, najdrobniejszy nawet, podejrzany odgłos, który wybiłby się ponad wrzawę wesołego miasteczka. Nie uszła jednak więcej niż kilka jardów, gdy poczuła nieprzepartą ochotę, by się obejrzeć.

Zatrzymała się i spojrzała za siebie.

Daleko, przy końcu ścieżki, dojrzała jakiś ruch. Serce zamarło jej na moment, a potem zaczęło walić bez opamiętania. Wykonała pół obrotu, ale znowu zatrzymała się, stwierdziwszy, że sylwetka, którą zobaczyła, zrobiła identyczny ruch. Pojęła spłoszona, że zobaczyła własne odbicie. Szła więc dalej.

Przy końcu uliczki, widząc, iż w miarę zbliżania się do lustra jej odbicie rośnie, uświadomiła sobie, że niepostrzeżenie znalazła się na kolejnej dróżce bez wyjścia. Znowu musiała walczyć z narastającą paniką.

Wykonała obrót, żeby zawrócić i wtedy dostrzegła jakieś poruszenie na drugim końcu uliczki. Nie chciała jednak ulec złudzeniu jak poprzednio i szła dalej. Nagle zimny dreszcz przebiegł jej po plecach: postać naprzeciw niej trwała w bezruchu, nawet wtedy, gdy ona się poruszała.

Stanęła i spojrzała przed siebie. Przysadzisty, krępy mężczyzna w czarnym garniturze stał wpatrując się w nią bez słowa. W jego rękach lśnił niklowany pistolet to był Moe.

Rozdział V

Conrad spędził dwadzieścia minut gorączkowo poszukując „trzyosobowego sportowego samochodu na różnych parkingach, które otaczały wesołe miasteczko. Robił to z ogromną zaciętością, mimo iż udawał sobie sprawę z beznadziejności sytuacji. Naraz usłyszał syrenę policyjną i zobaczył Bardina w aucie wyładowanym policjantami.

Samochód wtoczył się na alejkę prowadzącą do głównego wejścia wesołego miasteczka.

Conrad zabiegł mu drogę, machając rozpaczliwie rękami, pojazd zatrzymał się, a Bardin wychylając się przez okno, cały spocony i wyraźnie podenerwowany, spytał z zachmurzoną miną:

- Jak idzie? Znalazłeś już samochód?

- Wyłącz tę cholerną syrenę! - Conrad nie krył wściekłości. - Chcesz przestraszyć tych dwóch i zachęcić do działania?

Bardin wysiadł, a sierżant siedzący za kierownicą wyłączył syrenę.

- No, dobrze. Znalazłeś samochód?

- Tych przeklętych gratów jest tu około dziesięciu tysięcy. Rozpuść swoich ludzi, niech szukają. Czy jeszcze ktoś przyjedzie?

- Za nami jadą dwa wozy. Kapitan zrobi piekło, gdy dowie się;” że wyciągnąłem rezerwę.

- Jeśli ta dziewczyna zostanie zamordowana, to prokurator zrobi takie piekło, jakiego McCann jeszcze nie widział. Wysyłaj chłopaków do akcji!

- Hej, chwileczkę - Bardin położył rękę na ramieniu Conrada - Spójrz, kto idzie - wskazał kciukiem na młodego, wysokiego mężczyznę z krótko przystrzyżonymi włosami, ubranego we wzorzystą, czerwoną koszulę wypuszczaną na spodnie. Chłopak trzymał w ramionach całą kolekcję lalek, wazonów i pudełek z czekoladkami. Obok niego kroczyła blondynka w białej, sportowej sukience. - Nie sądzisz, że to tych dwoje, których szukamy?

- W tym parku jest na pewno około dziesięciu tysięcy obdartusów w takich koszulach - mruknął Conrad. - Ale zapytam - go...

Poszedł do Bustera Walkera.

- Przyjechaliście z Lennox Avenue? - zapytał i widząc zaskoczenie, jakie pojawiło się na twarzy Bustera, poczuł lekki dreszcz na plecach.

- Ależ tak. Skąd pan wie? Conrad spojrzał na Bunty.

- Czy panna Boyd?

- Tak - odpowiedziała Bunty bezbarwnie. Conrad dał znak Bardinowi, żeby się przyłączył.

- To są ci dwoje, Sam. Zajmij się tym... Bardin błysnął odznaką.
- Porucznik Bardin z Policji Miejskiej. Gdzie jest pani Coleman?
- Frankie? - Buster był wyraźnie zaskoczony. - Czego od met chcecie? O co chodzi?-

Odpowiadaj na pytania i nie przerywaj! Gdzie ona jest?

- Zostawiliśmy ją w wesołym miasteczku.
- Samą?
- Nie, jest z Burtem.
- Z jakim Burtem?

- No, Burtem Stevensem, oczywiście. O co chodzi? Bardin spojrzął na Conrada, który zapytał:

- Czy ten wasz Stevens ma znamię na twarzy?
- Tak. Czerwoną plamę na prawym policzku.
- Jesteście pewni, że nazywa się Stevens?
- Tak się przedstawił. Czy coś się stało?
- Ale nie wiecie na pewno?

- Nie, nie wiemy - wtrąciła się Bunty. - Od razu mi się nie spodobał, jak tylko przyszedł... Wie pan, wybieraliśmy się na plażę: Frankie, Buster, Terry Lancing i ja. Terry zadzwonił, że nie może przyjść, ale przysłał kolegę, Burta. I zaraz przyszedł ten chłopak. Powiedział, że nazywa się Burt Stevens, ale... ponieważ nigdy go nie widziałam, oczywiście nie mogę być pewna, że to Burt Stevens.

- Gdzie zostawiliście panią Coleman?
- Wybierali się do labiryntu - odpowiedział Buster.
- Do jakiego labiryntu?

- Do labiryntu luster, to jest przy końcu alejki, obok tego ogromnego namiotu... Chciałbym, żeby mi pan powiedział wreszcie, co to wszystko znaczy...

- Nie teraz - stwierdził sucho Conrad. - Zostańcie tutaj, możemy was jeszcze potrzebować... Chodźmy - zwrócił się do Bardina i pobiegł w stronę wielkiego namiotu, torując sobie drogę w tłumie.

Bardin tymczasem wydawał polecenia swojemu sierżantowi.

- Otoczcie labirynt i nie wypuszczajcie nikogo. Wiecie, kogo szukać... Uważajcie na Moego, na pewno będzie strzelał... - odwrócił się i ruszył za Conradem, zostawiając Bustera i Bunty osłupiałych ze zdumienia.

2.

Automatyczny pistolet Moego zalsnił w promieniach słońca, które ukośnie wpadały do labiryntu.

Przez moment Frances wpatrywała się w wycelowaną w siebie broń. Na widok Moego ogarnął ją strach. Widząc nieruchomą, zgarbioną postać w czarnym garniturze poczuła falę zimna, przebiegającą po plecach. Instynkt podpowiadał jej, że to morderca, i że zaraz do niej strzeli.

Nie było odwrotu. Z desperacją wpatrywała się w rząd luster, wyjście znajdowało się w odległości około 10 stóp. Zebrała się w sobie i skoczyła do przodu. Gdy się poruszyła, Moe strzelił.

Odgłos wystrzału w wąskim korytarzu zabrzmiał jak wybuch bomby. Frances wrzasnęła, kiedy lustro, znajdujące się obok, rozprysnęło się w drobny mak, odłamkami szkła bijąc niczym szrapnele. Jeden z nich rozdarł jej sukienkę, ocierając się o ciało niemal o włos.

Rzuciła się pędem i biegła korytarzykiem tak szybko jak nigdy dotąd. Przed nią rozciągała się niekończąca się ściana luster, za sobą słyszała miękkie tap-tap-tap, stóp poruszających się ze znacznie większą niż jej szybkością. Frunęła prawie nad ziemią, aż dobiegła do kolejnego zakrętu, ale po jego okrążeniu zderzyła się z lustrzaną ścianą.

Kiedy rozpaczliwie starała się odzyskać równowagę, przyklękła na kolano. Podnosiła się, a wtedy znowu trzasnął automat. Kula zaświszczała jej koło ucha, rozbiła lustro, po czym rykoszetem wpadła na inne, które też rozprysnęło się na kawałki.

W wąskim korytarzyku zrobiło się gęsto od fruwających odłamków szkła. Frances biegła na oślep, nieco wolniej niż przedtem, zasłoniwszy twarz ramionami i z trudem łapiąc oddech.

Moe zatrzymał się gwałtownie przed stosem potłuczonego szkła. Wiedział, że czas nagli. Kazano mu zabić tę dziewczynę i jeśli mu się to nie uda, sam pożegna się z życiem. Małymi, bezlitosnymi oczkami lustrował ścieżkę, którą biegła postać w błękitnej sukience. Przez chwilę obserwował śmigające szybko nogi i jedwabiste, czarne włosy, które za nią płynęły. Podniósł pistolet i wycelował w sam środek szczupłych pleców. Położył palec na spuście. Teraz nie powinien spudłować. Biegła wyprostowana, a w blasku słońca jej jasnyniebieska sukienka była doskonałym celem.

Naraz poczuł uderzenie w ramię i usłyszał odgłos wystrzału. Jego ręka kurczowo zacisnęła się na broni. Strzelił. W tym momencie zatoczył się i spojrzał w górę.

Na jednej ze ścianek labiryntu stał mężczyzna z pistoletem w dłoni. Moe rozpoznał go w lot, to śledczy z biura prokuratora okręgowego. Przywarł mocno do ściany, gdy Conrad ponownie strzelił.

Moe czuł tępy, piekący ból w prawym ramieniu. Krew spływała mu po rękawie sięgając palców. Zerknął w dół uliczki: dziewczyna zniknęła. Przygryzł wargi w przyływie furii.

Conrad znajdował się około piętnastu jardów od miejsca, gdzie przykucnął Moe. Od tamtego korytarzyka oddzielały go dwa inne. Nie widział go teraz, ale wiedział, że ciągle tam jest. Ścianka miała jedynie 6 cali grubości i trudno było na niej ustać, a cóż dopiero przeskoczyć sześć stóp na sąsiednią. Ale już dwunastu policjantów wspinało się na ścianki labiryntu, próbując jednocześnie go otoczyć.

- Jest tutaj - krzyknął Conrad i wskazał uliczkę, w której przykucnął Moe.

Nagle Moe wyprostował się i strzelił. Kula przeleciała Conradowi tuż obok twarzy. Odruchowo zrobił unik, a wtedy stracił równowagę i spadł.

Tymczasem policjanci przebiegali ze ścianki na ściankę po deskach, które przerzucali ponad korytarzami tworząc swego rodzaju pomosty. Gdy doszli do miejsca, gdzie miał znajdować się Moe, tylko plama krwi świadczyła o jego niedawnej obecności.

Sierżant policji, który przykucnął na szczycie ścianki, spojrzał w dół na Conrada:

- Nic się panu nie stało?

- Nie - odpowiedział Conrad krótko. - Zostanę tutaj... Odszukaj go i daj znać... Zawiadom mnie, gdy zobaczysz dziewczynę. I uważaj na siebie!

Sierżant skinął głową i zgięty wpół ruszył po wąskiej ścianie.

Moe cały czas obserwował go z sąsiedniego korytarzyka. W jego oczach pojawił się szaleńczy błysk. Podniósł pistolet i wycelował w głowę policjanta. Sierżant wyrzucił ramiona w powietrze i runął ciężko w uliczkę obok.

Przyciskając zranione ramię, Moe pobiegł dalej ścieżką, następnie skręcił w kolejną i zatrzymał się nasłuchując. Nagle w jednym z luster dostrzegł odbicie czegoś niebieskiego i na ten widok ukazał zęby w szyderczym uśmiechu.

Dziewczyna stała na skrzyżowaniu i teraz, nie zauważywszy go, wbiegła w uliczkę, na której się znajdował.

Moe przełożył broń do lewej ręki i powoli wycelował w jej pierś. Zaklął pod nosem, kiedy pistolet zadrżał mu w dłoni pod wpływem wzrastającego uczucia omdlenia.

Nagle z megafonu dobiegł głos, który przetoczył się przez labirynt niczym grzmot.

- Pani Coleman! Pani Coleman! Proszę posłuchać! Poszukuje pani policja. Czy mogłaby pani krzyknąć, żebyśmy wiedzieli, gdzie pani jest? I niech pani uważa! Proszę rozglądać się na obie strony, bandyta jest wciąż na wolności!

Frances odetchnęła z ulgą, mimo iż lęku nie udało jej się opanować. Pośpiesznie spojrzała w prawo, potem w lewo. Jej serce zaczęło walić jak młotem. Gdy zobaczyła postać w czarnym garniturze z wycelowanym w nią pistoletem w odległości nie większej niż trzydzieści jardów, zacisnęła powieki i przeraźliwie wrzasnęła. Wystrzał z pistoletu ponownie zabrzmiał w jej uszach. Poczowała w ramieniu piekący ból i uświadomiła sobie, że pada.

Moe widział, jak runęła na ziemię. Jego oczy pojaśniały triumfem. Słyszał tupot biegnących nóg, ale jeszcze raz strzelił do postaci, która nieruchomo spoczywała na podłodze. Kula strzaskała lustro jeden czy dwa cale nad ciałem Frances, obsypując ją kawałkami szkła. Tupot biegnących stóp było teraz słychać bardzo blisko, więc Moe odwrócił się.

Conrad dobiegł do rogu i zatrzymał się. Dostrzegł Moego, który przykucnął z wyciągniętym pistoletem, a za nim ciało dziewczyny w błękitnej sukience. Zrobił unik, kiedy Moe strzelił, rozbite szkło rozprysnęło się niebezpiecznie blisko jego twarzy.

Przywarł więc do ściany i powoli wyjrzał zza zakrętu. Moe zauważył go w chwili, gdy podnosił pistolet i wystrzelili obaj równocześnie.

Kula Moego przestrzeliła kapelusz Conrada, podczas gdy jego strzał był celniejszy. Zobaczył, że Moe wypuścił pistolet z ręki, chwycił się za bok i runął na twarz.

U szczytu ściany pojawili się dwaj policjanci, którzy zeskoczyli na ziemię tuż obok Conrada.

- Uważajcie na niego! - ostrzegł Conrad, ruszając korytarzykiem do miejsca, gdzie leżał Moe.

Ale on nie poruszył się, nawet wtedy, gdy jeden z policjantów odwrócił go na plecy.

Biała twarz Moego wykrzywiona była bólem i strachem. Niewidzące oczy utkwili w błękitnie nieba. Przód marynarki miał przesiąknięty krwią. Kiedy Conrad spojrzał na niego, szczeka Moego opadła, a z otwartych ust wysliznęło się ciężkie, świszczące westchnienie.

3.

Dolores przysiadła na taborecie w jednej z luksusowych łazienek Paradise Club i kawałkiem waty dokładnie suszyła skórę pomiędzy palcami stóp. Jej nagie ciało było zaróżowione od energicznego wycierania.

Właśnie skończyła się kąpać i, jak zwykle, wzięła prysznic, żeby zmyć słoną wodę.

Wyglądała na zamyśloną. Jej oczy w kształcie migdałów straciły swój zwykły blask, zastępując go wyrazem pochmurnej wściekłości.

Jakąs godzinę temu Jack Maurer niespodziewanie powiedział jej, że jedzie na ryby, nie wie dokąd, ale nie wróci wcześniej niż za trzy tygodnie, góra miesiąc. Jeszcze teraz, gdy popatrzyła przez okno na ocean, mogła zobaczyć jacht - maleńki punkcik na horyzoncie.

Odgadła, że Maurer wyjechał za radą Abe'a, a powodem była June Arnot.

Wiedziała o June, zanim ich romans się rozpoczął. Obserwowała jak się rozwija i czuła, że jej władza nad Maurerem maleje z miesiąca na miesiąc, że jej pozycja zaczyna się chwiać. Uspokojenia nie przyniósł nawet fakt, że June nie żyje. Nie będzie June, będzie inna. Zauważyła też, że Gloria Lyle, drugorzędna aktoreczka z biustem gołębiczy i moralnością podwórkowej kotki, weszła na pokład dziesięć minut przed wyjściem Maurera do portu.

Śmierć June wstrząsnęła Dolores. Dla niej wszystko było jasne jak słońce. Po powrocie Maurera była już pewna, że jej panowanie skończyło się. Mogła się założyć, że nie będzie nawet wysilał się na rozwód, pozbędzie się jej w sposób równie brutalny, jak pozbył się June.

Dolores nie miała złudzeń co do Maurera. Zdawała sobie sprawę, że dla niego pozbawić kogoś życia, to jak łyknąć jeszcze jedną szklanekę whisky.

Była jego żoną od czterech lat i cud, że przetrwała tak długo. Udało się to, ponieważ nigdy nie dawała mu okazji do narzekań, ani razu też nie spojrzała na innego mężczyznę. Wiedziała, że Maurer niecierpliwie wygląda wolności, ale nie odważyłby się z nią rozwieść. Zbyt dużo wiedziała o jego sprawkach, aby mógł jej dać swobodę ruchów. Była pewna, że niedługo, zapewne po powrocie, powie któremuś ze swoich ludzi, że chce się jej pozbyć i będzie po niej. Może to będzie kraksa samochodowa, albo wypadek z bronią, kto wie, czy nie pochłonie jej morze podczas kąpieli. Było wiele wygodnych sposobów pozbycia się jej - wygodnych oczywiście dla Maurera.

Wyciągnęła rękę po papierosa i wypuściła dwie wąskie smugi dymu przez kształtne nozdrza.

Nie czuła niepokoju, ale zdawała sobie sprawę, że będzie musiała coś zrobić, jeśli ma przeżyć. Dzięki swej żywej inteligencji i bystrości umysłu znalazła już odpowiednie rozwiązanie. Teraz, gdy Maurer wyjechał, musi natychmiast przystąpić do działania.

Wstała, podeszła do lustra na ścianie i obejrzała się gruntownie. Przeciągnęła dłońmi po smukłym ciele, wpatrując się w nie uważnie z przymrużonymi oczyma. Pomyślała o Glorii Lyle, jej krótkich nogach i śmiesznym biuście. Co właściwie Maurer w niej widzi? Co mógłby w niej widzieć? Przecież on sam z tym zwierzęcym instynktem poszukiwacza nowych wrażeń, niezależnie od tego jak byłyby obrzydliwe, nie był wcale lepszy od byle jakiego burasa.

Wzruszyła ramionami i zaczęła się ubierać, cały czas pogrążona w myślach. Znajdowała się w niebezpieczeństwie. Pomyślała, że dobrze by było, gdyby zabrała swoją biżuterię i stroje, którymi ją kiedyś obsypywał i ukryła się gdzieś, ale wiedziała, że właściwie nie było miejsca, gdzie nie sięgałyby jego długie ręce. Poprawiła podwiązkę, wygładziła suknię na kształtnych biodrach i wyszła z łazienki, kierując się w stronę koktajl-baru.

Abe Gollowitz siedział na wysokim stołku i sączył martini. Jego tłuste pośladki wylewały się ze stołka, przydając mu wygląd karykaturalnego grzyba.

Zatrzymała się w drzwiach i spojrzała na niego. To w nim pokładała swoją jedyną nadzieję, ale teraz na jego widok poczuła lekki dreszcz obrzydzenia. Pomyślała, że tylko brzuchaci, ociekający tłuszczem faceci mogli ją uratować - tylko tacy mieli władzę i pieniądze, które były niezbędne przy jej trybie życia. Gdyby przynajmniej Abe był podobny do tego gogusia-zgrabniaczka Seigela. Często zastanawiała się, jakim Seigel byłby kochankiem. Kilka razy kusił ją, żeby spróbować, ale zdawała sobie sprawę, czym to groziło. Wystarczyłoby, żeby tylko raz się z nim przespała, a jej życie zawisłoby na włosku.

Obserwowała Gollowitza, jak popija martini, nieświadom jej obecności. Mogłaby owinać go sobie wokół palca, od dawna też domyślała się, że on tylko czeka na dzień, kiedy przejmie królestwo Maurera. Ale czy starczy mu sił, żeby ją obronić, gdy nadejdzie właściwa pora?

- Cześć, Abe - powiedziała do niego z czarującym, zmysłowym uśmiechem. - A więc Jack wyjechał...

Pośpiesznie ześliznął się ze stoika, a jego tłusta, ciemna twarz wyraźnie pojaśniała.

- Tak, wyjechał - odrzekł rozbierając ją wzrokiem. - Pięknie wyglądasz, Dolly. Jak ty to robisz?

Wzruszyła ramionami i usiadła na stołku obok niego.

- Och, nie wiem, Jack już tego nie zauważa... Zachmurzył się.

- Jack nie docenia tego, co w życiu najpiękniejsze...

- Czy wiesz, że on na pokładzie ma tę Głorię Lyle? - zapytała Dolores, sięgając po szklankę martini, które podał jej barman.

Gollowitz zeszywniał.

- Słyszałem. To nie moja sprawa.

- Abe, czy Jack ma kłopoty?

- Nie, nie. Nic z tych rzeczy. W ostatniej chwili postanowił...

- Proszę cię, Abe, powiedz mi. Jesteś jedyną osobą, której mogę teraz zaufać. On ma kłopoty, prawda?

Gollowitz obejrzał się przez ramię, by upewnić się, że nikt nie słyszy.

- Może mieć. Uważaliśmy, że będzie rozsądniej, jeśli się usunie... na razie...

- Z powodu June?

Gollowitz zawahał się, a potem skinął głową.

- Co powie na to organizacja, Abe? Czy to może oznaczać koniec Jacka?

- To niebezpieczna rozmowa, Dolly, ale skoro pytasz, mogę ci tylko powiedzieć: nie wiem. Przez ostatnie trzy miesiące niezbyt liczył się z organizacją. Mówił o zamiarze oderwania się...

Dla Dolores była to niespodzianka, ale starała się nie okazywać Gollowitzowi swego zaskoczenia.

- Wiem. Mówił mi o tym. Czy to rozsądne, Abe?

- Nie wydaje mi się.

Tym razem to ona powinna zawahać się, ale wiedziała, że jeśli teraz nie skorzysta z okazji, to po powrocie Maurera może być za późno. Zniżając głos powiedziała:

- Gdyby stało się coś Jackowi, ty zajmiesz jego miejsce, prawda? Gollowitz zerknął na nią niespokojnie. Znalazł się na śliskim gruncie, ale miał też świadomość, że sytuacja Dolores jest jeszcze gorsza.

- Zależałoby to od organizacji. Mogą mieć kogoś innego na uwadze...

Potrząsnęła głową.

- To mało prawdopodobne - podniosła wzrok, oczami wyrażając zachętę. - Gdybyś przejął organizację. Abe, miałbyś dla mnie jakąś propozycję?

Patrzyła na niego, usiłując zachować spokój. Znała odpowiedź, jeszcze zanim odrzekł:

- Gdybym to ja przejął organizację, Dolly, nie musiałabyś się o nic martwić...

Uśmiechnęła się przymilnie.

- Ale teraz mam się o co martwić, Abe.

Gollowitz skinął głową. Całą siłą woli powstrzymywał się od uściśnięcia jej dłoni, jednakże uprzytomnił sobie że kilka osób w barze ich obserwuje.

- Tak, i ja też.

Telefon stojący na kontuarze, zadzwieczał przenikliwie. Barman podniósł słuchawkę, po chwili powiedział: - Tak, proszę pana - i odłożył ją obok, zwracając się do Gollowitza:

- Pan Seigel pyta o pana, jest w pańskim gabinecie. To pilne. Gollowitz zachmurzył się. Czy ten Seigel nie mógłby sam popracować przez dziesięć minut i nie zaprzętać mu głowy byle czym? - myślał. Musiał iść. Nie ma sensu ryzykować kłopotów już na samym początku panowania.

- Ten facet nie potrafi nawet wysmarkać nosa bez mojej pomocy - powiedział uśmiechając się do Dolores. - Może zjedlibyśmy razem lunch za jakieś dwadzieścia minut?

Potrząsnęła głową.

- Lepiej nie, Abe. Zbyt wielu kapusiów dookoła... - rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. - Idę do domu... - ześliznęła się ze stołka. - Pewnego razu zjemy razem lunch. Czekam na dzień, Abe, kiedy nie będą nas dzielić żadne bariery... - i na pożegnanie uśmiechnęła się znacząco.

Patrzył, jak idzie przez bar i pożerał ją wzrokiem. Na widok majestatycznie rozkołysanych bioder, ukrytych pod cieniutką sukienką, szerokich ramion i sarnich, zgrabnych nóg ogarnęła go nagła fala pożądania.

Louis Seigel nerwowym krokiem przemierzał gabinet tam i z powrotem. Twarz miał bladą, a kiedy podszedł do Gollowitza, ten poczuł wyraźnie woń alkoholu.

- Mają tę dziewczynę! - wykrztusił. Gollowitz zeszywniał.

- Co ty mówisz? Kto ma dziewczynę?

- Do diabła, policja! Tych dwóch cholernych gówniarzy zawałiło robotę!

Gollowitzowi ciarki przeszły po tłustych plecach. Taka porażka! W chwili, gdy położył rękę na sterze, okręt osiadł na mieliźnie. Co pomyśli o nim organizacja? To może przekreślić jego szanse na przejęcie sukcesji po Maurerze. Wpadł w szal.

- Przecież Jack kazał ci ją sprzątnąć! - wrzasnął z zapalczywością. - Chcesz powiedzieć, że nie zrobiliście tego?

Seigel cofnął się przerażony. Nigdy dotąd nie widział Gollowitza w napadzie furii, wyglądał równie niebezpiecznie i groźnie jak Maurer, gdy mu się nie powiodło.

- Osaczyli ją w labiryncie w wesołym miasteczku. Policja musiała mieć jakiś cynk, bo przyjechali, zanim udało im się złapać tę dziwkę. Moe został zabity.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że dostała ją w swoje ręce policja, i to po tym, co Maurer ci powiedział? - wrzasnął Gollowitz; jego tłuste pięści zacisnęły się, a twarz wykrzywił gniew i lęk zarazem. - Nie słyszałeś, co powiedział McCann? Do cholery, co się tobą dzieje?

- Ostrzegałem pana Maurera - burknął Seigel. - Nie mieliśmy czasu na zbadanie sytuacji. Nie wyszło. Dookoła było pełno ludzi, chłopcy nie mogli się do niej zbliżyć. Ostrzegałem go!

- Zamknij się! Nie chcę słuchać tych głupawych wyjaśnień. Maurer powiedział, że ma zostać sprzątnięta, a ty nie wykonałeś rozkazu!

- To Gleb i Weiner nie wykonali rozkazu.

- Ale ty jesteś za to odpowiedzialny! Co robisz, żeby to naprawić?

Co, do diabła, tutaj robisz? Usprawiedliwiasz się? Idź jej szukać! Sprzątnij ją! Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, ale musisz to zrobić.

- Jest w rękach prokuratora okręgowego. Tam jej nie dostaniemy. To jedyne miejsce, do którego nie mamy dojścia.

Gollowitz z trudem opanował wściekłość i strach. Wiedział, że nie zachowuje się, jak przystało na szefa. Maurer postąpiłby zupełnie inaczej: nie wrzeszczałby, nie przeklinał, nie szalał. Miałby już gotowy plan naprawienia błędu. Z wysiłkiem wziął się w garść, chwiejnym krokiem podszedł do fotela i usiadł.

- Jeśli ona widziała Jacka w domu tej Arnot, to jesteśmy skończeni - powiedział jakby do siebie. - Wszystko runie. Organizacja zostanie zniszczona. Tylko - czy cokolwiek widziała? Z drugiej strony czy wolno nam siedzieć z założonymi rękami i zastanawiać się jak było naprawdę?

- Oczywiście, że nie - wtrącił się Seigel. - Musimy ją wykończyć, zanim zaczniesz cokolwiek mówić. Może McCann będzie mógł to dla nas zrobić?

Gollowitz skrzywił się.

- McCann? On myśli tylko o sobie. Sami musimy się tym zająć. Czy wiesz dokładnie, gdzie ona jest?

- Zabrali ją do biura prokuratora okręgowego. Jest gdzieś w budynku.

Gollowitz zastanawiał się przez dłuższą chwilę, potem raptownie podniósł głowę.

- Powiedziałaś, że Gleb nie żyje, a co z Weinerem? Seigel wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Zniknął.

Gollowitz poczuł, że krew odpłynęła mu z twarzy.

- Nie wiesz? - powtórzył za Seigelem, wpatrując się w niego przeciągle.

- Znajdzie się. Dokopię mu, gdy tylko złapię go w swoje ręce.

- Kretynie! - krzyknął Gollowitz z twarzą wykrzywioną napięciem. - Dziewczyna poda jego rysopis. Nawet ślepy potrafi znaleźć faceta z takim znamieniem na gębie. Jeśli policja go złapie, a on zacznie mówić, to koniec. Nie rozumiesz tego? Wystarczy, żeby dziewczyna wciągnęła go do współpracy z nimi i wielu z naszych będzie wisieć. A Weiner dla uratowania swojej skóry chętnie na to pójdzie... Otrzymał rozkaz od ciebie, prawda? No więc - gdyby Weiner zaczął sypać, zostaniesz oskarżony o usiłowanie morderstwa. A będzie gadać, co do tego nie mam żadnych złudzeń! - machnął tłustą ręką w powietrze. - Szukaj go! Znajdź i ucisz! Dziewczynę zostaw mnie! Ja się nią zajmę, ty odszukaj Weinerja. Wyślij za nim wszystkich ludzi jakich masz. Sam też idź!

Seigel stał jak wryty, gapiąc się na wrzeszczącego i gestykującego Gollowitza, wreszcie uświadomił sobie, że w tym co mówi, jest dużo racji.

- Dorwę go! - powiedział i szybkim ruchem wyszarpnął szufladę biurka. Wyjął automatyczny pistolet, kaliber 45, i schował do kieszeni spodni. - Sam go dorwę - krzyknął i wypadł z pokoju.

4.

Conrad nigdy dotąd nie widział, aby prokurator okręgowy był tak podekscytowany, jak teraz, gdy słuchał jego relacji na temat zabicia Moego i odnalezienia Frances Coleman.

- Gdzie jest dziewczyna? - zapytał Forest, gdy Conrad skończył swoją opowieść.

- Na dziesiątym piętrze, proszę pana, z panną Fielding i pielęgniarką. Przy drzwiach stoją Jackson i Norris. Trzech oficerów pilnuje windy i schodów. Na razie jest zupełnie bezpieczna.

- Czy jest ranna?

- Raczej przestraszona. Odłamki szkła skaleczyły ją w rękę, ale właściwie poza szokiem nic jej nie jest.

Forest zatarł rękę.

- Kiedy możesz z nią porozmawiać?

- Czekam na zgodę doktora Holmesa. Powiedział, że mogę się z nią zobaczyć, jak tylko nabierze sił.

- Świetnie. A co z Weinerem?

- Nie wiem, jak to się stało, że prześliznął się przez kordon policji. Z powodu Gleba było tyle zamieszania, że zupełnie o nim zapomnieliśmy. Chyba go nikt nie zauważył. Weinerja szukają teraz wszyscy nasi ludzie.

- Musimy go znaleźć, zanim zrobią to zbiry Maurera - powiedział Forest ponuro. - Jeśli coś powie, Paul, będziemy ich mieli w rękę i oni o tym wiedzą. Jego życie nie jest teraz warte złamanego centa...

Conrad skinął głową.

- Nie możemy zrobić więcej niż robimy. To tylko kwestia czasu.

Z tym znamieniem nie może daleko uciec. Lokalna radiostacja podaje jego rysopis. Przerwywają audycje i proszą o przekazywanie wszelkich informacji na jego temat.

Na biurku Foresta zadźwięczał dzwonek. Podniósł słuchawkę, przez chwilę słuchał, uniósł brwi, chrząknął, po czym ją odłożył.

- Chyba się ruszyło - stwierdził z widoczną satysfakcją. - Maurer ulotnił się. Jego jacht odpłynął w morze dwie godziny temu. Podobno wybrał się na ryby w nieznanym kierunku...

- Chce na jakiś czas zniknąć nam z oczu - powiedział Conrad.

- Cóż, jeśli zdobędziemy dowody, o jakie nam chodzi, szybko wróci. Wygląda na to, że w końcu znaleźliśmy się na właściwym tropie, prawda, szefie?

- ... Gdyby tylko ta dziewczyna go widziała!

- Niedługo się dowiemy - Conrad z trudem panował nad własnym zniecierpliwieniem.

- Czy chce pan sam ją przesłuchać?

Forest pokręcił głową.

- Ty się tym zajmij, Paul, jesteś bardziej subtelny. Nie wiem jak to się dzieje, ale chyba ludzie wpadają w popłoch, gdy z nimi rozmawiam.

- Tylko wtedy, gdy mają nieczyste sumienie. - Conrad wstał.

- Po południu będę miał dla pana pisemny raport... Pójdę na górę i zobaczę, co się dzieje.

- Daj mi znać, jak tylko znajdą Weinera.

- Dobrze.

Conrad wjechał windą na dziesiąte piętro. Na drugim końcu korytarza Jackson i Norris siedzieli na krzesłach po obu stronach drzwi. Obydwaj byli uzbrojeni w pistolety maszynowe. Conrad starał się nie zaniedbać niczego. Miał świadomość, że Frances może być bardzo ważnym świadkiem, a ludzie Maurera nie cofną się przed niczym, żeby zamknąć jej usta.

- Coś nowego? - spytał Jacksona.

- Doktor właśnie wyszedł. Na razie spokój...

Conrad energicznie zastukał. W drzwiach stanęła Madge. - Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Doktor powiedział, że możesz z nią rozmawiać.

- Jak się czuje?

- Jest trochę wystraszona, ale się nie dziwię. Po takich przeżyciach...

- Oczywiście.

- Jest w pokoju obok. Będę ci potrzebna?

- Chwilowo nie. Jeśli będzie gotowa złożyć zeznanie, wezwę cię. Gdy mówił, z sąsiedniego pomieszczenia wyszła pielęgniarka. Kiwnęła na niego:

- Potrzebuje snu.

- To nie potrwa długo - powiedział Conrad i zajrzał do drugiego pokoju. Miał uczucie, że serce zaczęło mu kołatać wybite z rytmu.

Frances leżała na kanapie, przykryta kocem. Była bardzo blada, dużymi, ciemnymi oczami spoglądała na Conrada, nie kryjąc zdenerwowania.

Patrząc na nią poczuł nagły ucisk w gardle. Jej fotografia zafascynowała go, a teraz uświadomił sobie nie bez zaskoczenia, że mógłby się nawet w niej zakochać. Było to oczywiście nierealne, bo przecież nawet z nią jeszcze nie rozmawiał, ale to wrażenie ciągle go nie opuszczało. Dlatego stał teraz jak słup soli, niezdolny pozbierać myśli ani cokolwiek powiedzieć.

Spoglądała na niego bez słowa, nie wykonując żadnego ruchu. Z trudem zebrał się w sobie.

- Spodziewam się, że pani Fielding mówiła, że będę chciał z panią porozmawiać - odezwał się nieco ochryłym głosem. - Nazywam się Paul Conrad, jestem śledczym w biurze prokuratora okręgowego... Jak się pani czuje, panno Coleman?

- Ja... ja... czuję się dobrze, dziękuję - wyszeptała. - Chcę iść do domu.

- Zaraz wszystko ustalimy - odpowiedział Conrad łagodnie. - Najpierw chcę zadać pani kilka pytań.

Wziął krzesło i usiadł obok niej.

- Nie będę pani długo męczył, ponieważ pielęgniarka powiedziała, że potrzebuje pani snu.

- Nie chcę spać. Chcę iść do domu.

- Ma pani jakichś krewnych? Kogoś, kogo mógłbym zawiadomić, gdzie pani jest...

Zauważył raptowny przestraw w jej oczach. Pośpiesznie odwróciła wzrok.

- Nie mam żadnych krewnych.

- W ogóle nikogo?

- Nikogo.

Pomyślał, że ta rozmowa może okazać się nie tak szczerą, jak sobie wyobrażał.

- Pani Coleman, wydaje mi się, że była pani u June Arnot dziewiętego, około siódmej.

Ciemne oczy Frances zamigotały gorączkowo, po czym oderwały się od Conrada.

- Tak, byłam.

- Widziała się pani z June Arnot?

- Tak.

Conrad stwierdził, że dłonie ma mokre od potu, a serce łomocze o żebra.

- Czy mogę zapytać, dlaczego pani chciała się z nią widzieć?

- Ja... ja... wołałabym nie mówić - zarumieniła się lekko i niespokojnie rozejrzała się po pokoju, jakby szukała drogi, którą mogłaby uciec.

- W porządku, nie będę nalegał... A więc widziała się pani z June Arnot...

- Tak.

- Jak długo rozmawialiście?

- Około pięciu minut, nie dłużej.

- Czy pani wie, dlaczego zadaję te pytania? - Conrad mówił łagodnie, z oczyma utkwionymi w jej twarzy.

- Myślę... myślę, że z powodu śmierci pani Arnot.

- Tak, z powodu zabójstwa.

Zauważył, że zadrżała i zagryzła dolną wargę.

- Co pani robiła po rozstaniu się z panią Arnot?

- Po prostu - wyszłam.

- Czy szła pani podjazdem?

- Tak.

Conrad wyjął chusteczkę i wytarł nią mokre ręce. Następne pytanie zadecyduje o losie Maurera.

- Czy podczas pobytu na terenie posiadłości, widziała pani kogoś poza strażnikiem i panią Arnot?

- Nie... chyba nie.

Wpatrywała się we wzorek na kocu, którym była przykryta. Conrad spojrział na nią z uczuciem rozczarowania.

- Jest pani tego pewna?- Tak.

Dlaczego nie patrzy na niego? - zastanawiał się. Czy możliwe, że kłamie?

- Pani Coleman, to bardzo ważne. Chcę, żeby pani dobrze się zastanowiła, zanim odpowie na następne pytanie. Wie pani, że June Arnot została zamordowana. Zabito ją dziewiątego, kilka minut po siódmej, a więc w czasie, gdy pani tam była. Mieliśmy nadzieję, że widziała pani mordercę. Czy jest pani zupełnie pewna, że nie zauważyła nikogo prócz strażnika i pani Arnot?

Nastąpiła długa przerwa. Widział, jak drżała pod kocem, dłonie mocno zacisnęła w pięści.

- Tak - rzekła w końcu.

- Chce pani powiedzieć, że nikogo więcej nie spotkała?

- Nie widziałam nikogo.

Popatrzył na swoje ręce i zatopił się w myślach. Jeśliby mówiąc, że nikogo nie widziała, patrzyła mu w oczy, natychmiast by jej uwierzył, ale ponieważ uciekła od jego wzroku, zaczął wątpić, czy mówi prawdę.

Przyjrzał się jej uważnie. Nie odrywała oczu od koca, a dłonie ciągle miała zaciśnięte w pięści.

- Czy przyjechała pani do June Arnot samochodem? - zapytał cicho.

Podniosła wzrok, nie kryjąc przestachu; z jej spojrzenia zorientował się, że w pytaniu doszukuje się pułapki.

- Ja... ja przyszłam pieszo.

- To daleko. Od bulwaru będzie ze trzy mile. Zarumieniła się.

- Lubię spacerować.

- Czy wychodząc z Dead End zauważyła może pani kogoś jadącego od strony morza? Kogoś w samochodzie?

- Nie.

- A jednak tą drogą musiał przyjechać zabójca - wyjaśnił cierpliwie. - Nie ma innej drogi do Dead End, oprócz tej. To dziwne, prawda? Była pani w pobliżu w ciągu tych piętnastu minut, gdy zamordowano panią Arnot, i nikogo pani nie widziała...

Nic nie odrzekła, tylko jej twarz bardziej pobraźła. Z nadzieją spojrzała w kierunku drzwi, jak gdyby liczyła, że ktoś wejdzie i przerwie to przesłuchanie.

Mimo, iż rosło w nim podejrzenie, że dziewczyna nie mówi prawdy, Conrad współczuł jej i musiał się zmuszać do tego, by dręczyć ją dalszymi pytaniami.

- Kiedy rozmawiała pani z June Arnot, nie dała pani do zrozumienia, że spodziewa się kogoś? - zapytał.

Dostrzegł, że napięcie w niej wzrasta i coraz bardziej drży na całym ciele.

- Nic o tym nie wiem - odparła zduszonym głosem. - Proszę mnie o nic nie pytać. Ja... ja nie czuję się dobrze. Chcę iść do domu.

- W porządku, pani Coleman - uśmiechnął się. - Przepraszam za kłopot. Proszę trochę wypocząć, jutro o tym porozmawiamy.

- Ale ja nie chcę! - krzyknęła z zaskakującą gwałtownością. - Zostawcie mnie w spokoju! Nie chcę spać! Chcę iść do domu!

- Przykro mi, ale musi pani tu zostać do jutra - powiedział Conrad najłagodniej, jak tylko potrafił. - Jeden z rewolwerowców, którzy chcieli panią zabić, ciągle jest na wolności. Nie możemy pani wypuścić, dopóki go nie znajdziemy.

- Ale on nie zrobi mi krzywdy - wygadała się. Usiadła wyprostowana na łożku. - Powiedział, że mi nic nie zrobi i ja mu wierzę. To tylko pretekst, żeby mnie tu trzymać. Nie zostanę tutaj! Nie możecie mnie więzić! Nie macie prawa! - krzyczała już histerycznie.

Conrad wstał, nieco zaniepokojony jej spojrzeniem osaczonego zwierzęcia.

Drzwi otworzyły się i energicznie wkroczyła pielęgniarzka.

- Lepiej proszę mnie ją zostawić - stwierdziła przechodząc przez pokój.

Frances odrzuciła koc i usiłowała stanąć na nogach.

- Nie zostanę tutaj! Nie możecie mnie zmusić! - krzyczała. Zrobiła kilka chwiejnych kroków w stronę drzwi.

Conrad widział, jak jej twarz nagle straciła kolor, a oczy uciekły w tył głowy. Skoczył przed siebie i pochwycił ją w objęcia, gdy padała na podłogę zemdlna.

5.

Do baru Sama, staromodnie umeblowanej knajpki, usytuowanej nad samym brzegiem morza ściągali dokerzy, marynarze i prostytutki. Długie i niskie pomieszczenie podzielono na boksy o wysokich ściankach, za którymi klienci Sama mogli pić i gawędzić bez obaw, że ktoś ich zauważy lub zakłóci spokój. Po drugiej stronie znajdował się długi bufet w kształcie litery S, błyszczący od lusterek i rozświetlony reklamami.

Pete Weiner siedział w ostatnim boksie na końcu baru, skąd miał doskonały widok na drzwi wejściowe. Przed nim stała butelka szkockiej whisky i szklaneczka, a sterta niedopałków w popielniczce wskazywała, że tkwił tam już od jakiegoś czasu.

Czuł się chory i przestraszony. Żałował tego, co zrobił. W towarzystwie Frances udawał chojraka, ale teraz, gdy był sam, nie umiał otrząsnąć się z przerażenia.

Doskonale wiedział, że przekazano już informacje o tym, co się stało i że ulice roją się teraz od zasadzek. Ale co miał zrobić? Brakowało mu pieniędzy i tęsknie rozmyślał o pięciu setkach dolarów, które zostawił w pokoju. Nie miał odwagi, aby tam wrócić i je zabrać. Jego mieszkanie będzie pierwszym miejscem, które odwiedzą i na pewno w tej chwili ktoś już na niego czeka.

Wyciągnął parę wymiętoszonych banknotów z kieszeni spodni i przeliczył je. Było tego 15 dolarów i kilka centów. Nie miał nawet samochodu. Dworzec kolejowy był z pewnością pod obserwacją. Gdyby przynajmniej znał jakieś miejsce, gdzie mógłby się zaszyć na kilka dni. Bez pieniędzy czuł się absolutnie bezradny.

Odwrócił uwagę od swych kłopotów i pomyślał o Frances. Kiedy zaczęła uciekać, pobiegł za nią, ale wkrótce sam zgubił się w labiryncie, i ją też. Biegł na oślep, aż nagle

znalazł się przy wyjściu. Nie miał zamiaru wychodzić. Chciał zabić Moego, lecz niespodziewanie znalazł się w tłumie, który go wchłonał. Ludzie przyglądali się policjantom rozbiegającym się po labiryncie i wspinającym się na ściany z bronią w rękach.

Pete słyszał strzelaninę i czekał w tłumie pewien, że Moe zabił Frances. Dopiero, gdy ujrzał nadjeżdżający ambulans i zobaczył jak wynoszą ciało Moego, a Frances odprowadzają do samochodu, pomyślał o własnej sytuacji.

Pośpiesznie wy dostał się z wesołego miasteczka i wiedząc jak szybko gangsterzy przystępują do akcji, poszukał schronienia w barze Sama.

Wszystko wskazywało na to, że ma jeszcze parę godzin życia. Zajmą się nim, gdy tylko pojawi się na ulicy. Znał ten mechanizm bardzo dobrze. Minie go pędzący samochód i padnie pod gradem kul.

Zapalił papierosa, łyknął trochę whisky i wytarł spoconą twarz wierzchem dłoni. Przecież nie może siedzieć w barze cały dzień. Gdyby tak udało mu się znaleźć jakąś kryjówkę, zanim zapadnie zmrok! Pod osłoną ciemności łatwiej byłoby mu się wydostać z miasta, ale przy świetle dziennym, z tym przeklętym znamieniem, znaleźliby go w ciągu dziesięciu minut.

Na stół padł cień. Poczul, że serce podeszło mu do gardła. Jego prawa ręka spoczywała na stole niczym sparaliżowana, chociaż szare komórki nakazywały chwycić za broń. Podniósł wzrok.

Młoda dziewczyna o płowych włosach, upiętych na czubku głowy, ubrana w czerwony sweter i białą spódniczkę, pochylała się nad nim z uśmiechem.

- Cześć, bystrooki - powiedziała i ręce oparła na stole, a jej piersi wyraźnie zarysowały się pod cienkim sweterkiem.

- Szukasz towarzystwa?

Patrzył na nią, próbując ochłonać. Co się z nim dzieje? Nawet nie zauważył, jak podeszła. A gdyby to był Dutch albo inny gangster? Już by nie żył, nie mając nawet żadnej szansy obrony.

- Mam pokoik za rogiem - mówiła dziewczyna. - Moglibyśmy się zabawić - uśmiechnęła się, ukazując małe, białe zęby, ale jej oczy oceniały go chłodno.

Pete zdał sobie sprawę, że dobrze zrobi, jeśli z nią pójdzie. Gdy znajdzie się w jej pokoju, będzie ją trzymał na muszce pistoletu aż do zmroku. Ale czy odważy się wyjść z knajpy? I co to znaczy: tuż za rogiem? Może to być kilka jardów, ale równie dobrze kilkaset. Takie dziewczyny mówią cokolwiek, żeby cię zachęcić do pójścia z nimi.

- Gdzie to jest? - zapytał starając się zapanować nad głosem.

- Po drugiej stronie ulicy, kochanie. Tuż na rogu. Idziesz?

- No, dobrze - odrzekł i wstał. Podeszedł do baru i zapłacił za drinki.

Barman bacznie mu się przyjrzał. W jego spojrzeniu było coś, co Pete'a zaniepokoiło. Szybkiem krokiem przemierzył długi lokal, trzymając dziewczynę pod rękę.

- Jesteś chyba zdenerwowany, skarbie - stwierdziła dziewczyna uśmiechając się do niego. - Mam nadzieję, że nie będę pierwsza, co?

Nie silił się na odpowiedź. Gdy wyszli na parny i rozsloneczniony bulwar, poczuł się raptem jakby nagi i całkiem bezbronny w tym radosnym i hałaśliwym tłumie.

- Dokąd idziemy? - zapytał niespokojnie, przeczesując wzrokiem ludzką cizbę w poszukiwaniu znajomej twarzy.

- To niedaleko - szła obok niego, stawiając małe kroczki i chwiejąc się nieco na trzycalowych obcasach. - Spodoba ci się. Mam radio. Zatańczę dla ciebie, jeśli będziesz chciał. Większość moich przyjaciół lubi patrzeć, jak tańczę.

Poprowadziła go w kierunku wąskiej, ciemnej uliczki z wysokimi domami.

Pospiesznie szedł za nią, od czasu do czasu oglądając się przez ramię, gotowy poderwać się do biegu, gdyby zobaczył najmniejszy podejrzanym ruch.

- Jesteśmy - rzekła dziewczyna przystając przed domem na rogu uliczki. - Mówiłam, że to niedaleko, prawda?

Weszła po schodach, otworzyła torebkę i wyjęła klucz. Prowadziła go słabo oświetlonym korytarzem. Udało się, był bezpieczny aż do zmroku. Nie miał wyrzutów z powodu dziewczyny. Na pewno nie podniesie krzyku, kiedy pokaże jej pistolet.

Zaczęła się wspinać po schodach, a Pete szedł tuż za nią. Gdy weszli na drugie piętro, zatrzymała się przed drzwiami i spojrzała na szczyt schodów.

- To tutaj - powiedziała i nacisnęła klamkę. - O, do diabła! Moja durna sprzątaczką znowu zamknęła na klucz. Ciągle tak robi. Zaczekaj chwilę, kochanie, zbiegnę na dół i wezmę zapasowy. Mam go w skrzynce na listy.

Poklepała go po ramieniu, uśmiechając się pogodnie i zaczęła schodzić po stopniach.

Pete wyjął chusteczkę i wytarł twarz i kark. Sięgnął po papierosa, zapalił i cisnął zapalną. Potem podeszedł do barierki i zerknął na korytarz dwa piętra niżej.

Dziewczyna właśnie znalazła się na dole. Zatrzymała się i spojrzała w górę. Ich oczy spotkały się i widząc popłoch na twarzy dziewczyny Pete poczuł zimną falę strachu. Instynktownie uświadomił sobie, że znalazł się w pułapce.

Jak głupio zrobił, że przyjął zaproszenie, kierując się jej wyrazem twarzy!

Te zbiry nie chciały wejść do baru Sama i zabić go przy świadkach. Wolały więc wyciągnąć go gdzieś i przy jej pomocy to się udało!

Gdy usłyszał trzask klucza za sobą, sięgnął pod marynarkę. Odwrócił się, a wtedy zobaczył, że drzwi mieszkania dziewczyny powoli otwierają się.

Nie wahał się. Wyszarpnął pistolet i wystrzelił, celując nieco powyżej klamki. Kula trafiła w drzwi, rozsiewając drzazgi. Najpierw rozległ się jęk, a później Pete usłyszał jak coś ciężkiego zważyło się na podłogę.

Odwrócił się i zaczął biec w dół po schodach, pokonując po trzy stopnie naraz. Biegł na osłep krótkim korytarzem, który kończył się schodami, prowadzącymi do hallu. Pokonał je dwoma skokami, by ostatni wykonać z takim hukiem, że zatrzęsł całym budynkiem.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy ze strachu. Przyłgnęła do ściany, skrzyżowała ręce na piersiach, a umalowane usta otwarła w bezgłośnym krzyku.

Pete podskoczył do drzwi wejściowych, ale zatrzymał się, widząc przez szyby, jak dwaj mężczyźni wspinają się po schodach.

Rozpoznał ich natychmiast: to Goetz i Buzz Conforti, dwaj płatni zabójcy Maurera. Odskoczył spłoszony, potem wykonał obrót i cofnął się do korytarza, który prowadził w prawą stronę.

Podbiegł do dziewczyny, która usiłowała wbiec na schody, chwycił ją, odwrócił tyłem do siebie i mocno objął lewym ramieniem. Trzymając ją w ten sposób, żeby stanowiła osłonę, wycofywał się przez korytarz.

- Krzycz albo spróbuj uciekać, to cię zabiję! - wydusił. - Czy jest gdzieś tylne wyjście?

- Zostaw mnie! - oddychała łapiąc powietrze ustami i wpijając paznokcie w jego nadgarstek.

Uderzył ją w ramię lufą pistoletu, aż jęknęła.

- Jest tu tylne wyjście?

- Tak.

Trzasnęły frontowe drzwi i Goetz wbiegł do hallu.

Pete bez namysłu strzelił. Dziewczyna czując ciepło wystrzału, krzyczała rozpaczliwie. Goetz upadł na kolano, a jego ciemna, ponura twarz wykrzywiła się w grymas. - Nie strzelaj! - dziewczyna błagalnie zamachała rękami, gdy Goetz podniósł pistolet.

Pete nadal wycofywał się, wlokąc ze sobą dziewczynę. Widział jak Goetz próbuje wycelować w jego stronę, więc schylił się, podnosząc ją tak, by go zupełnie zakryła. Dziewczyna wrywała się kopiąc na osłep, jej buty migwały w powietrzu, biała spódnica odsłoniła uda.

Pete uderzył plecami w drzwi. Znowu wystrzelił w stronę Goetza, tym razem o mało nie trafił, co poznał po zestrzelonym kapeluszu.

Goetz nacisnął spust i wypalił. Trzy razy. Kule trafiły w skręcone ciało dziewczyny. Pete poczuł tylko gwałtowne uderzenia.

Dziewczyna zeszywniała tak nagle, że o mały włos nie wypadła z uścisku Pete'a, potem stała się bezwładna. Ten nagły ciężar niemal pozbawił go równowagi.

Sięgnął ręką do tyłu, wymacał klamkę, nacisnął ją i otworzył drzwi.

Conforti akurat wczołgał się do hallu. Kiedy podniósł pistolet, Pete wystrzelił. Nie czekając na rezultat, rzucił ciało dziewczyny, skoczył przez otwarte drzwi, zatrzasnął je i pognał na złamanie karku na niewielkie podwórko. Podciągnął się na drewnianym płocie, przeskoczył i wylądował na krętej, wąskiej drodze, łapczywie chwytając powietrze.

Biegł alejką i słyszał za sobą tupot nóg. Pokonał około stu jardów, cały czas trzymając się blisko drewnianego płotu.

Przed nim znajdowała się główna ulica, tętniąca życiem od ruchu aut i tłumu ludzi. Jakoś udało mu się zwiększyć szybkość i wypadł na ulicę, gdy Goetz brał ostatni zakręt w alejce.

Goetz ujrawszy Pete'a, uniósł nieco pistolet, ale opuścił go z powrotem, gdyż Weiner akurat zniknął za rogiem.

Pete rzucił się w tłum, zalewający ulicę, i rozpychając się między ludźmi z trudem torował sobie drogę. Broń ukrył w kieszeni płaszcza, ale ludzie i tak przypatrywali mu się przestraszeni widokiem jego spoconej, przerażonej twarzy, wyczuwając, że dzieje się coś niedobrego.

Znajdował się na otwartej przestrzeni, w każdej chwili mógł go minąć samochód i mogli z nim skończyć. Zatrzymał się na skraju chodnika i ciężko oddychając rozglądał się na obie strony. Dojrzał nagle taksówkę i machnął gwałtownie ręką. Samochód podjechał do krawężnika i stanął przy nim.

- Do parku - wysapał Pete i szarpnął drzwiczkami.

Czyjeś ręce chwyciły go z tyłu za ramię. Krzyknął z trwogi, gdy obejrzał się za siebie. Znajdował się w rękach dwóch potężnie zbudowanych policjantów.

- Spokojnie - powiedział jeden z nich, - Szukamy cię, Weiner. Zabierz mu broń, Jack...

Drugi glina obszukał go fachowo, a kiedy znalazł pistolet, schował go do kieszeni.

- Zabieramy samochód - stwierdził pierwszy. - Komenda główna, i pośpiesz się, chłopie...

Tuż za taksówką Pete zauważył ogromną, czarną limuzynę.

- Uwaga! - wrzasnął i wyrwał się policjantowi, który dotąd go trzymał. Runął na podłogę taksówki w momencie, gdy samochód ich mijął.

Ponad szum ruchu ulicznego wzbił się potężny odgłos wystrzałów z pistoletu maszynowego.

Pod gradem kul taksówka zakołysała się. Jeden z gliniarzy dostał serię w twarz, jego zmiażdżona głowa tworzyła teraz bezkształtną masę krwi i pogruchotanych kości.

Drugi glina rzucił się na plecy Pete'a. Taksówkarz dostał końcówkę serii. Siła pocisków wyrzuciła go z samochodu na chodnik.

Ludzie na ulicy rozpiezchli się w różnych kierunkach, krzycząc bez opamiętania. Kilku z nich także dosięgły odpryski serii, więc leżeli pokotem na chodniku i jezdni.

Czarny samochód znów się pojawił i zniknął za rogiem. Wtedy glina podniósł się z pleców Pete'a i chwiejąc się powiedział przez zaciśnięte zęby:

- Dranie! Przekłęte dranie! Wyciągnął Pete'a z samochodu.

- Chodź, ty... - warknął i pobiegł pchając go przed sobą w stronę pobliskiego sklepu. Weisnął Pete'a w kąt między dwiema szybami wystawowymi i stanął przed nim z pistoletem w dłoni.

- Wpuść mnie do środka - wrzasnął Pete podniecony. - Ty głupku, myślisz, że szkło wytrzyma, jak otworzą ogień?

- Zamknij mordę! - odkrzyknął policjant. - Nikt nie będzie strzelał!

Kiedy to mówił, czarny samochód zrobił drugą rundę. Niektórzy ludzie na ulicy widząc co się święci, padli na ziemię, inni rzucali się na oślep do sklepów w poszukiwaniu schronienia.

Na widok czarnego auta, jadącego środkiem ulicy, kierowcy samochodów starali się ominąć je z daleka i wjeżdżali na chodnik. Któryś z nich wjechał prosto w okno wystawowe.

- Uważaj! - krzyknął Pete i zebrawszy wszystkie siły popchnął policjanta, dzięki czemu uzyskał tyle miejsca, że mógł się położyć na ziemi.

Policjant, tak dzielny i tak głupi jak szarżujący nosorożec zaczął strzelać do samochodu, który właśnie przejeżdżał obok nich. Odpowiedzią była pustosząca seria z niewidocznego pistoletu maszynowego. Wydawało się, że policjant rozleci się na kawałki; grad kul rozerwał mu pierś i rzucił na Pete'a.

Samochód zatrzymał się. Goetz i Conforti wyskoczyli z twarzami błyszczącymi od potu i ustami szeroko rozwartymi w bezgłośnym ryku.

Kazano im wziąć Pete'a za wszelką cenę, i musieli wykonać ten rozkaz. „Wiedzieli, że jest gdzieś w przedsiönku pod ciałem zabitego policjanta i stertą rozbitego szkła.

Conforti wyposażony był w thompsona, zaś Goetz trzymał pistolety w obu dłoniach.

Conforti sypnął gradem kul i biegł w stronę sklepu.

Pete widział jak kule z łomotem spadają na chodnik. Rozłupywały beton na drzazgi, podchodziły w jego stronę i ścieliły się wokół jak dywan śmierci.

Przykrył się ciałem zmarłego, złapał go za pasek i czując jak krew gliniarza spływa mu na twarz, zamknął oczy.

Miał wrażenie, że ciało umarłego skręca się, gdy kule przeszły martwe nogi. Nagle jakiś nowy dźwięk poraził jego uszy i serce znowu zaczęło bić mocniej: był to odgłos syren samochodów policyjnych, któremu towarzyszył trzask policyjnych automatów.

Goetz widząc, że trzy policyjne auta z piskiem opon wjeżdżają w ulicę, odwrócił się i głośno zaklął. Podniósł pistolet, ale nie zdążył strzelić, bo jeden z samochodów przyśpieszył i uderzył go z siłą pociągu ekspresowego, wyrzucając wysoko w powietrze. Upadł na chodnik, jak worek do połowy napełniony zbożem.

Conforti nie oglądał się za siebie. Wbiegł do przedsionka.

Pete zauważył jego nogi, gdy tamten pochylił się nad zmarłym.

Miał ochotę wgnieść się cały w ziemię, dalej kurczowo ścisnął ciało gliniarza.

Conforti zauważył go i wyszczerzył zęby w triumfalnym uśmiechu. Odciągnął nieboszczyka, razem z Pete'em, który ciągle nie odrywał się od jego paska.

- Odejdź! - krzyknął Pete, próbując schować się za zmarłym. - Nie rób tego!

Conforti podniósł thompsona. Lufa uniosła się. Pete widział, że mierzy w jego twarz i oczy niemal wyszły mu na wierzch. Widział bielejący palec Confortiego, gdy naciskał spust.

Tuż za Confortim trzasnęły pistolety.

Pete zobaczył, jak wyraz nagłej agonii napływał na jego szurzącą, chudą twarz. Widział oczy, z których uchodziło życie. Thompsonem szarpnęło pod naporem sztywniejącej ręki i zaczął strzelać, gdy umierający bezwiednie zacisnął palec na spuście. Wreszcie Conforti upuścił pistolet, zrobił jeden krok i padł na twarz.

Chwilę później Pete'a otoczyły ponure twarze policjantów.

Rozdział VI

Otyły sierżant zakolebał się na skrzypiącym krześle i kiwnął głową.

- Porucznik właśnie go przesłuchuje - stwierdził. - Czeka na pana, prawda?

- Tak, czeka - odparł Conrad. - Co on tam robi? Znęca się nad Weinerem?

Twarz sierżanta nabrała marzycielskiego wyrazu.

- No, chyba nie gładzi go po włosach - odparł. - Przez niego zginęło trzech naszych najlepszych chłopaków...

Conrad odwrócił się, minął dyżurkę trzema dużymi krokami, potem szybko przeszedł przez korytarzyk, opuścił się w dół kamiennymi schodkami, aż dotarł do drzwi przy końcu innego korytarzyka. Nacisnął klamkę i otworzył.

Pete siedział w jaskrawym kręgu światła. Mały pokój wypełniony był dymem z papierosów oraz wonią potu i kurzu. Pełen był też detektywów o czerwonych twarzach i tłustych karkach. Gdy Conrad wchodził do pomieszczenia, Bardin stojący przed Pete'em akurat zamachnął się i uderzył go w twarz otwartą dłonią. Odgłos zabrzmiał jak strzał z nadmuchanej papierowej torebki. Głowa Pete'a poleciała wpierw do tyłu, a potem opadła na piersi.

Po brodzie spływała mu krew z rozciętej wargi. Ciemne oczy, zwężone od nienawiści, patrzyły na Bardina bez mrugnięcia powieką.

- Więc nigdy nie słyszałeś o Maurerze? - drwił Bardin. - Nie czytujesz gazet?

- Tylko kolumny sportowe - odpowiedział Pete przez zaciśnięte zęby.

Bardin znowu się zamachnął, ale Conrad wyciągnął rękę i chwycił go za przegub.

- Spokojnie, Sam - powiedział cicho.

Bardin odwrócił się gwałtownie. Patrzył na Conrada zimnymi, pełnymi zawziętości oczami.

- Rzeczywiście - odparł z goryczą. - Spokojnie. Mniejsza o chłopaków, którzy zginęli. Mniejsza o wdowy po nich i ich dzieci. Spokojnie. Czego chcesz ode mnie? Żebym tego szczura wziął w objęcia i nakarmił piersią?

Conrad zwolnił uścisk na przegubie Bardina.

- Przepraszam, że przerwałem przesłuchanie, ale ten facet jest mi potrzebny - wyciągnął kartkę papieru i rzucił na biurko. - To powinno wystarczyć...

Twarz Bardina pociemniała od napływającej krwi. Porwał papier, spojrzął na niego i rzucił z powrotem na biurko.

- Co masz zamiar z nim zrobić? - zapytał chrapliwie. - Wpakować do łóżka, obdarować radiem i czterema posiłkami dziennie?

Conrad spokojnie popatrzył na Bardina, ale nic nie powiedział. Bardin westchnął ciężko, przeszedł za biurko, wyjął kwitariusz, napisał coś z furją, rozpryskując atrament i podsunął Conradowi.

- Dobrze, weź sobie tego szczura. Nic nie mówi. Nic nie wie. Nigdy nie słyszał o Maurerze. Nie zbliżał się na milę do wesołego miasteczka. Jeśli sądzisz, że cokolwiek z niego wyciągniesz bez wypruwania bebechów, to się grubo mylisz.

- Trzeba go przewieźć samochodem pod eskortą - odrzekł Conrad. - Załatw to dla mnie, Sam, dobrze?

Bardin wstał, kiwnął na jednego z detektywów, który natychmiast wyszedł. Potem podszedł do Pete'a i spojrzał na niego z góry.

- Wrócisz tutaj, Weiner. Nie myśl sobie, że będzie ci miło i przyjemnie, bo interesuje się tobą prokurator okręgowy. Wrócisz, a my coś dla ciebie przygotujemy... - zamachnął się dłonią i wyrznął Pete'a w twarz, aż ten przewrócił się, pociągając za sobą krzesło.

Pete oszołomiony chwycił za spuchnięty prawy policzek.

Conrad odwrócił się. Nie pochwalał takich metod, ale nie miał za złe Bardinowi. Utrata trzech dobrych policjantów po to tylko, żeby ocalić życie nic nie wartemu, młodemu gangsterowi mogła wzmocnić zaciętość każdego oficera.

Pete chwiejąc się stanął na nogi i osunął na ścianę. Nikt się nie odezwał. Nikt się nie poruszył. Minuta wlokła się za minutą, wreszcie otworzyły się drzwi i detektyw wrócił.

- Załatwione. Przy bocznym wejściu, panie poruczniku...

- Zabierz go - zwrócił się Bardin do Conrada z niesmakiem. - I nie zapomnij: kiedy skończycie... chcemy go mieć z powrotem.

- Dostaniesz go - Conrad spojrzał na Pete'a. - Chodź, Weiner. Pete przeszedł przez pokój. Mijając postawnych detektywów czuł się jak w tłumie groźnych olbrzymów. Żaden z nich nie usunął się z drogi, a wszyscy patrzyli nie kryjąc gniewu w oczach.

Ciężki, opancerzony samochód znajdował się przy bocznym wejściu na obszernym, zamkniętym ze wszystkich stron, podwórzu. Policjanci stali obok z karabinami przygotowanymi do strzału. Sześciu usiadło na motocyklach i zapaliło silniki. Na ich opalonych twarzach malował się wyraz czujności.

Pete wsiadł do samochodu, Conrad za nim. Stalowe drzwi zatrzasnęły się i Conrad zaryglował jeszcze dwie masywne zasuwę.

- Siadaj - powiedział sucho.

Pete usłyszał warkot silników i wkrótce po tym samochód pod eskortą motocykli ruszył w kierunku City Hall.

Conrad wyciągnął paczkę papierosów, wytrząsnął dwa, jeden podał Pete'owi, po czym zapalił najpierw jego, a potem swój.

- Co zrobisz, Weiner, jeśli ktoś poręczy za ciebie? - zapytał obojętnie.

Pete gwałtownie podniósł głowę.

- Oskarża mnie pan o morderstwo, prawda? Ten zarzut nie podlega poręczeniu.

Conrad popatrzył na niego uważnie.

- Może nie oskarżę cię o morderstwo. Przypuśćmy, że oskarżę cię o współpracę ze znanymi przestępcami. Wyjdiesz za poręczeniem w ciągu paru godzin.

Zobaczył, jak jego twarz zmieniła się.

- Nie chcę wyjść za poręczeniem.

- Dlaczego?

Pete nic nie odpowiedział, tylko patrzył na kajdanki na swoich rękach i czuł, że pot występuje mu na twarz.

- Nie boisz się chyba wyjść za poręczeniem, co?

- Nic nie powiem - odparł Pete.

- Zmienisz zdanie. Przemyśl to. Jeśli tylko wymkniesz się z moich rąk, nie dałbym centa za twoje życie. Nie będę cię ochraniał, dopóki nie zaczniesz mówić.

- Nic nie wiem - powiedział Pete bezbarwnym głosem i odwrócił się do Conrada plecami.

- Jesteś zwyczajnym durniem! Dziewczyna cię pozna. Myślisz, że się z tego wykręcisz? Wysłano cię, żebyś ją zabił, prawda? Działałeś na rozkaz Maurera.

Pete milczał.

- Prędzej czy później będziesz musiał mówić - stwierdził chłodno Conrad. - Nie możesz reszty życia spędzić zawieszony w próżni. Musisz przejść na czyjąś stronę. Albo będziesz mówił a wtedy zajmiemy się twoją ochroną, albo będziesz trzymał gębę na kłódkę i wypuścimy cię. Nie masz innego wyjścia.

Pete dalej nie reagował.

- Nie interesujemy się tobą - ciągnął Conrad. - Chcemy dostać Maurera. Przystąp do nas, a wówczas zaopiekujemy się tobą.

Pete odwrócił się nagle.

- Zaopiekujecie się? Śmiechu warte! Wyobraża pan sobie, że możecie mnie ochronić? Dopóki będę milczał, mam jakąś szansę, niewielką, ale jednak szansę. Gdy zacznę gadać, mogę się uważać za martwego. Ani pan, ani cała ta cholerna policja nie zdoła utrzymać mnie przy życiu!

- Nie wygłupiaj się! - przerwał Conrad. - Oczywiście, że możemy cię ochronić. Gwarantuję ci to.

Pete spoglądał na niego przez dłuższą chwilę, wreszcie pochylił się i splunął na podłogę.

2.

Gdy Conrad wszedł do gabinetu, zastał tam Van Roche'a rozgorączkowanego oczekiwaniem.

- Masz go? - zapytał na powitanie.

- Mam - odparł Conrad. Podeszedł do biurka i usiadł. - Jest na dziesiątym piętrze, pilnuje go dwóch strażników. Co masz taką minę? Stało się coś?

- Abe Gollowitz rozmawia z prokuratorem. Ma pismo w sprawie zwolnienia pani Coleman. Conrad zeszywniał.

- Żartujesz?

Van Roche potrząsnął głową.

- Wszedł jakieś dziesięć minut temu. Szef stara się go zatrzymać do twojego powrotu. On żąda widzenia się z panią Coleman.

Conrad zerwał się na równe nogi.

- Idę do szefa.

Przeszedł korytarzem do gabinetu prokuratora okręgowego, zapukał i otworzył drzwi.

Forest siedział za biurkiem z dłońmi opartymi na bibularzu. Na widok wchodzącego Conrada podniósł wzrok, wzruszył ramionami z rezygnacją i machnął ręką w kierunku Gollowitza, który siedział obok biurka z ironicznym uśmiechem na ogorzałej twarzy.

- Właśnie mówiłem panu prokuratorowi, że chcę zobaczyć się z panią Coleman - powiedział Gollowitz, gdy Paul zamknął drzwi i podeszedł do biurka.

- Po co? - zapytał ostro Conrad.

- Jest tutaj bezprawnie przetrzymywana, a ja jestem jej prawnym przedstawicielem. Oto powód.

- No, no, to coś nowego - odrzekł Conrad. - Czy ona wie o tym swoim nadzwyczajnym szczęściu? Wydawało mi się, że ma pan ważniejsze zajęcia niż zajmowanie się statystką, która nie ma grosza przy duszy.

Gollowitz zachichotał.

- Jako prawny przedstawiciel Norgate Union zajmuję się wszystkimi jego członkami, a panna Coleman właśnie należy do związku.- Ach, tak, powinienem był o tym pomyśleć. Conrad spojrzał na Foresta.

- On chce się z nią natychmiast zobaczyć - stwierdził tamten.

- I nikt nie może mi w tym przeszkodzić - zauważył gładko Gollowitz. - Nie muszę panu chyba o tym mówić - wstał i pochyliwszy się klepnął papier, leżący na biurku Foresta.

- To panu wystarczy, prawda?

- Myślę, że tak - Forest wzruszył ramionami i zwrócił się do Conrada:

- Zapytaj lepiej panią Coleman, czy chce się zobaczyć z panem Gollowitzem. Zaczekamy chwilę.

Conrad kiwnął głową i wyszedł z gabinetu. Był pewien, że Frances będzie chciała widzieć się z Gollowitzem i przystanął na moment, żeby to przemyśleć. Mógłby ją ostrzec, ale czy byłaby teraz w stanie wysłuchać jego ostrzeżenia? Czy zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie jej grozi? Jak tylko Gollowitz zabierze ją z biura prokuratora, wszelki słuch po niej zaginie. Był tego absolutnie pewien.

Wrócił do swojego gabinetu.

- Daj mi sześć jakichś fotografii - zwrócił się do Van Roche'a - ale niech będzie wśród nich zdjęcie Maurera.

Van Roche podszedł do sejfu z aktami i wręczył fotografię Conradowi.

- Chcę, żebyś poszedł ze mną na górę. Gdy dam ci znak, wprowadzisz Weinera do pokoju miss Coleman. Zgoda?

- Co to za pomysł?

- Zobacysz. Mamy mało czasu... Idziemy... Wjechali windą na dziesiąte piętro.

- Zostań z Weinerem, dopóki po ciebie nie poślę - powiedział Conrad i pośpieszył korytarzem do pokoju Frances.

Kiedy stuknął do drzwi, Jackson i Norris, którzy stali na straży skinęli głowami z wyraźnym znużeniem. Otworzyła Madge. Na jej twarzy widać było zdenerwowanie.

- Są jakieś kłopoty?

- Niestety, tak.

Conrad pokiwał głową i wszedł do drugiego pokoju. Na myśl, że znowu ma zobaczyć Frances, odczuwał tłumione podniecenie, a przecież widział ją zaledwie parę godzin temu.

Wyglądała przez okno. Na widok Conrada pielęgniarka wstała i wyszła.

- Mam nadzieję, że czuje się pani lepiej - powiedział na powitanie.

Obejrzała się gwałtownie. Przeszła przez pokój i stanęła przed Conradem z oczami pełnymi gniewu.

- Chcę iść do domu! Nie ma pan prawa trzymać mnie tutaj!

- Wiem - odpowiedział łagodnie. Skonstatował, iż ten wybuch gniewu bardzo ją ożywił. Ale zupełnie inaczej niż Janey. Nie było w niej ani cienia zawziętości. - Przykro mi, pani Coleman. Uważamy, że byłoby to dla pani niebezpieczne, gdybyśmy teraz ją wypuścili.

- Tylko ja mogę to ocenić!

- Naprawdę? - uśmiechnął się licząc, że odpowie tym samym, ale jej twarz pozostała gniewna.

- Proszę posłuchać... Może pani usiądzie, dobrze? Jeśli po tym co pani powiem, nadal będzie pani chciała iść do domu, będę zmuszony wyrazić zgodę. Nie mogę pani tu trzymać wbrew jej woli.

Jej gniew zaczął łagodnieć, ale oczy wyrażały podejrzliwość.

- Nie chcę słuchać. Chcę iść zaraz...

- Proszę, niech pani będzie rozsądna. Nam naprawdę zależy na pani bezpieczeństwie. Jak pani sądzi, dlaczego ten oprych chciał panią zabić? Zastanawiała się pani nad tym?

Podejrzliwość w jej oczach ustąpiła miejsca niepewności.

- On... on chyba oszalał.

- Naprawdę tak pani uważa? Proszę usiąść na chwilę, to nie potrwa długo.

Zawahała się, ale po chwili usiadła z rękami zaciśniętymi na kolanach.

- Czy jest pani pewna, że nie widziała nikogo u pani Arnot? - zapytał Conrad, wyjmując z kieszeni sześć fotografii.

Widział, że jej twarz ściągnęła się.

- Już mówiłam, że nie widziałam nikogo. Jeśli ma pan zamiar zacząć to wszystko od nowa...

- Trochę cierpliwości, proszę, niech pani obejrzy te zdjęcia i powie mi, czy rozpoznaje kogoś...

Z nie ukrywana niechęcią wzięła fotografie, które jej podał. Przeglądała je z obojętnością, a kiedy doszła do zdjęcia Maurera, zobaczył, jak zmartwiała. Upuściła zdjęcia, jakby paliły ją w ręce i skoczyła na równe nogi.

- Mam tego dosyć! - krzyknęła z pobladłą twarzą. - Żądam wypuszczenia mnie do domu!

Conrad schylił się i pozbierał fotografie. Nie chciał, żeby zobaczyła jego minę. Był teraz pewien, że widziała Maurera w Dead End. Inaczej nie zareagowałaby w ten sposób.

Wyciągnął do niej rękę z fotografią Maurera.

- Wie pani kto to jest? Nawet nie spojrzała.

- Nie znam nikogo z nich.

- A słyszała pani kiedyś o Jacku Maurerze?

- Oczywiście, to gangster - odrzekła, odwracając się od niego. Nie interesuje mnie on, ani żaden inny.

- Chcę pani powiedzieć trochę o Maurerze - rzekł Conrad wpatrując się w fotografię. - Można o nim mówić wiele. Uważam, że w tej chwili jest najbardziej wpływowym człowiekiem w naszym stanie. Kiedy miał piętnaście lat, był w obstawie Jake'a Moritti. Brakowało mu jeszcze trochę do szesnastu, gdy został trzykrotnie aresztowany za zabójstwa, ale dopilnował, aby nie przeżył ani jeden świadek, który mógłby zeznawać przeciwko niemu. Kiedy Moritti przestał się liczyć, Maurer przystał do Zettiego. W ciągu dziesięciu lat popełnił trzydzieści morderstw, głównie były to porachunki gangsterskie. Gdy Zetti poszedł do więzienia, Maurer związał się z Wielkim Joe Bernstienem. Nieco później został jednym z szefów syndykatu zbrodni. Słyszała pani o syndykacie, prawda? Ich organizacja obejmuje cały kraj. Podzielona jest na terytoria, Maurerowi podlega Kalifornia. Od dziesięciu lat jest tu niepodzielnym władcą gangsterskiego świata. Na uwagę zasługuje, co zdołał w tym czasie. Podporządkował sobie wszystkie ważniejsze grupy zawodowe. Każdy członek związków zawodowych płaci mu haracz, za który w zamian nie dostaje nic, ci ludzie są zbyt zaślepieni i głupi, żeby to zrozumieć. Zawładnął także instytucją shylockingu. Wie pani, co to jest? To jeden z najbardziej dochodowych kantów w kraju. Za każde pożyczone pięć dolarów, dłużnik zwraca sześć, pożyczki udziela się za okres tygodnia. W ciągu czterdziestu dwóch dni daje to 120 procent. Jeśli dłużnik nie zapłaci w terminie, dwóch ludzi Maurera odwiedza go i daje mu nauczkę. Jeśli pani nie wie, na czym to polega, to zaraz pani wyjaśnię. Bije się ołowianą rurką zawiniętą w gazetę. Jeśli po tym dłużnik nadal nie może zapłacić, dług zostaje skreślony, a delikwent dostaje kulkę w tył głowy.

Conrad przerwał, by popatrzeć na Frances, ale zobaczył tylko jej plecy, wyglądała przez okno.

- Maurer trzyma także pieczę nad siecią telefoniczną - kontynuował - bez której nie może obejść się żaden bukmacher, a za przywilej korzystania z tych usług każdy bukmacher w naszym stanie musi odpalić mu tygodniową opłatę. Maurer kontroluje wszystkie ośrodki hazardowe w okolicy i za samo to otrzymuje pięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów miesięcznie.

Frances nagle odwróciła się.

- Po co mi pan to wszystko mówi? Nie interesuje mnie i nie chcę więcej słyszeć!

- Od początku rządów Maurera zdarzyło się tutaj ponad trzysta morderstw - ciągnął Conrad, jakby wcale nie dosłyszał, co powiedziała. - Mieliśmy tylko dziesięć wyroków skazujących mężczyzn, którym udowodniono, że pracują dla Maurera. Wiadomo już, że sam

Maurer zamordował trzydzieści trzy osoby, ale to było jeszcze zanim został szefem. Teraz wydaje rozkazy z bezpiecznej odległości. Nigdy nie udało nam się postawić go przed sądem pod zarzutem morderstwa. Ale dziewiątego tego miesiąca popełnił błąd. Po raz pierwszy od piętnastu lat zabił własnymi rękami. To on wykończył June Arnot, która będąc jego kochanką oszukiwała go. Na razie nie mamy dowodów, że to on zrobił, ale są za to mocne dowody pośrednie. Wystarczy, że udowodnimy mu, że był na miejscu w chwili, gdy popełniono morderstwo, a uwolnimy Kalifornię od najniebezpieczniejszego, najgroźniejszego i najmocniejszego gangstera wszechczasów.

Pochylił się i strzelił palcem w jej kierunku.

- Uważam, że widziała go pani, jak przyjeżdżał lub wyjeżdżał z Dead End. Gdyby zgodziła się pani zeznawać, udałoby mi się postawić go przed sądem. Pani Coleman, zeznawać przeciwko niemu to pani obowiązek, i proszę panią o to!

Frances cofnęła się. Jej twarz miała kolor świeżego śniegu, a duże oczy przypominały dziury w prześcieradle.

- Nie widziałam go! Mówiłam już! I nie mam zamiaru składać żadnych zeznań!

Conrad popatrzył na nią przez moment, potem wzruszył ramionami.

- Czy to pani ostatnie słowo?

- Tak. A teraz idę do domu!

- No, cóż, nie mogę pani zatrzymać. Powiedziałem jakiego typu człowiekiem jest Maurer. On sądzi, tak jak i ja, że pani go widziała. Wie, że jedno pani słowo może zrujnować jego królestwo wartości wielu milionów dolarów rocznie. Czy sądzi pani, że pójdzie na takie ryzyko? Myśli pani, że pozwoli pani przeżyć dłużej niż pięć minut, jeśli tylko dostanie ją w swoje ręce? Jego dwóch ludzi próbowało panią zlikwidować i ma pani szczęście, że im się to nie udało. Następnym razem uda im się, oczywiście, jeśli zrezygnuje pani z naszej ochrony!

- Nie wierzę panu. Próbuje mnie pan straszyć. Nie widziałam niczego, chcę wrócić do domu!

Conrad z dużym wysiłkiem pohamował złość.

- Pani Coleman, proszę usilnie, żeby pani to przemyślała. Możemy panią ochronić. Nie ma się czego obawiać. Boi się pani Maurera? Proszę mi powiedzieć, dlaczego nie chce pani zostać tutaj kilka dni...?

- Nie mam zamiaru zostać i nie chcę pańskiej ochrony - powiedziała gniewnie. - Uważam, że mówi pan to wszystko, żeby mi napędzić strachu i zmusić do składania zeznań, ale ja nie mam zamiaru tego robić!

Conrad podeszedł do drzwi.

- Madge, zadzwoń, proszę, na dół do prokuratora i powiedz mu, że Gollowitz może przyjść na górę.

Madge wpatrywała się w niego z trwogą.

- Gollowitz? Nie chcesz chyba...

- Proszę robić tak, jak rozkazałem! - uciął krótko i zwrócił się do Frances: - Na dole jest prawnik, który o panią pytał. Ma dokument w sprawie pani zwolnienia. W tej sytuacji nie możemy jej zatrzymać. Gdyby pani jednak nie zgodziła się z nim pójść, nie może pani zmusić. To zależy od pani.

Frances spojrzała mu w oczy wyzywająco.

- Oczywiście, że z nim pójde! Conrad podszedł do niej.

- Słuchaj, głuptasie! Jak pani sobie wyobraża, dlaczego jakiś prawnik zaprzęta sobie głowę, żeby wystarać się o nakaz zwolnienia pani? On jest prawą ręką Maurera, oto dlaczego!

- Skąd mam wiedzieć, że nie przysłała go Bunty Boyd? Chce pan, żebym tu została, prawda? Nie wierzę w ani jedno pana słowo!

Ktoś zapukał do drzwi i Madge zajrzała do pokoju.

- Pan Gollowitz.

Gollowitz wszedł z przymilnym uśmiechem na śniadej twarzy.

- Pani Coleman?

Frances przyjrzała mu się badawczo.

- Tak.

- Jestem prawnikiem, reprezentuję Norgate Union. Sekretarz związku zadzwonił do mnie i powiedział, że jest pani tutaj bezprawnie przetrzymywana. Prokurator okręgowy twierdzi, że nie ma powodu, żeby pani pozostawała tu dłużej. Czy godzi się pani pójść ze mną?

Frances wahała się przez chwilę, w Gollowitzu było coś, co ją denerwowało.

- Dziękuję, ale nie chcę iść z panem. Chcę iść do domu. Gollowitz roześmiał się.

- Ależ oczywiście, ja po prostu chciałem powiedzieć, że tylko panią odprowadzę do wyjścia. Byłbym zobowiązany, gdyby pani zechciała skontaktować się z sekretarzem związku i powiedziała mu, że załatwiłem pani zwolnienie.

Conrad cicho podszedł do drzwi i skinął na Madge.

- Powiedz Vanowi, żeby przyprowadził Weinerja - szepnął. Gdy się odwrócił, usłyszał, jak Frances powiedziała:

- Czy mogę wyjść zaraz?

- Oczywiście - odpowiedział Gollowitz.

- Chwileczkę - wtrącił się Conrad. - Skoro pan już tutaj jest, panie Gollowitz, to może zechce pan też złożyć poręczenie za innego naszego klienta. Wejdz, Weiner...

Van Roche otworzył drzwi na oścież i popchnął Pete'a, tak, że ten o mało się nie przewrócił. Gdy ujrzał Gollowitza, odskoczył, jakby zobaczył jadowitego węża.

Gollowitz zbyt był zajęty załatwianiem nakazu uwolnienia Frances, aby dowiadywać się, co się stało z Pete'em. Seigel zapewnił go, że się nim zajmie, więc fakt, że go tu zobaczył, zupełnie wytrącił go z równowagi. Tłusta twarz aż posiniała mu ze złości. Zrobił krok w stronę Pete'a i obnażył zęby w nagłym ataku furii.

- Zostaw mnie! - krzyknął Pete i cofnął się.

Gollowitz za późno zorientował się, że się zdradził. Wykrzywił usta w wymuszonym dobrotliwym uśmiechu, mimo to zobaczył, że twarz Frances nappełniła się przerażeniem.

- Czy zechce pan oprócz pani Coleman zabrać również Weinerja? - zapytał cicho Conrad. - Wątpię, czy pójdzie, ale może pan zapytać.

Gollowitz zwrócił się do Frances z oczyma błyszczącymi wściekłością.

- Chodźmy, pani Coleman. Sprowadzę taksówkę.

- Nie chodź z nim! - wrzasnął Pete. - On należy do organizacji. Zostań tu, tutaj jesteś bezpieczna! Nie chodź z nim!

Gollowitz wyciągnął rękę i położył ją łagodnie na ramieniu Frances.

- Nie wiem, kim jest ten mężczyzna, ale wydaje mi się, że jest niepoczytalny... Chodźmy, pani Coleman.

Frances wzdrygnęła się i odskoczyła w tył.

- Nie! Zostanę tutaj! Nie chcę iść z panem! Nigdzie nie pójdę?

- Przykro mi, ale jest pani młodą, nierozsądną osobką, pani Coleman - powiedział Gollowitz. Niema groźba w jego czarnych oczach zmroziła Frances.

- Idzie pani czy nie?

- Och, powiedzcie mu, żeby sobie poszedł - krzyknęła i opadła na kanapę, ukrywając twarz w dłoniach. - Proszę, powiedzcie mu, żeby sobie poszedł.

Gollowitz spojrział na Pete'a i bezszelestnie opuścił pokój. Nikt się nie ruszył. Patrzyli tylko, jak wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Pozostała po nim atmosfera grozy i niebezpieczeństwa.

3.

- Janey! - Conrad stał w niewielkim przedpokoju i czekał na jej odpowiedź. Nie było jej na dole, więc pomyślał, że znowu wyszła. Ostatnio, gdy dwa, a może trzy razy wrócił z

biura, nie zastał jej w domu. W tych dniach ich stosunki znacznie się pogorszyły. Nie mówiła mu dokąd wychodzi, a on nie pytał.

- To ty? - zawołała Janey z góry.

Trochę zdziwiony jej obecnością, Conrad wbiegł po schodach i energicznie otworzył drzwi do sypialni.

Janey siedziała przy toalecie. Ubrana w biustonosz i majtki z falbankami, zajęta była wciąganiem czarnej nylonowej pończochy na smukłą nogę.

- Tak wczesnie wróciłeś? - zapytała, nie podnosząc głowy. - Nie ma jeszcze wpół do siódmej.

Zatrzasnął drzwi i podszedł do okna. Taki widok nie sprawiał mu już żadnej przyjemności.

- Muszę wyjechać na kilka dni, Janey. Zaraz.

Janey spojrzała z zaciętością na jego szerokie plecy i zapięła pończochę.

- Domyślam się, że beze mnie. Dokąd jedziesz?

Sięgnęła po drugą pończochę i pogрузzyła się w myślach. Kilka dni. Co to konkretnie znaczy? Tydzień, dziesięć dni? Poczwała nagłą falę gorąca. Czy ryzykiem będzie zaproszenie tutaj Louisa? - zastanawiała się.

- Opiekuję się dwoma Ważnymi świadkami - odpowiedział Conrad, odwracając się do niej. - Do chwili rozprawy muszą przebywać w ukryciu. Prokurator chce, żebym się nimi zajął.

Poprawiła szwy na pończochach i wstała.

- Po kiego diabła? Od kiedy to stałeś się niańką dla świadków?

- Tak się składa, że to ważni świadkowie i grozi im poważne niebezpieczeństwo - powiedział krótko Conrad. - Nie będzie mnie do czwartku. Przykro mi Janey, ale tak musi być...

Podeszła do szafy i wyjęła podomkę.

- W porządku, jeśli musisz, to musisz - powiedziała z obojętnością. - Niewielka to dla mnie różnica, i tak nie za często cię widuję... Dokąd jedziesz?

- Napiszę ci adres - wyjął notes i starą kopertę. - To niedaleko Butcher's Wood... Ale posłuchaj, Janey, to ważne, nikt oprócz ciebie nie może wiedzieć, gdzie jestem. Nie mów nikomu, rozumiesz?

- Komu miałabym powiedzieć? - odrzekła pogardliwie, otulając się podomką. - Mówisz tak, jakbym była otoczona tłumem ludzi, a nie sama jak palec, noc po nocy, w tym ponurym domu.

- Nie powinnaś mówić takich bzdur - odrzekł szorstko. - Masz mnóstwo znajomych i dobrze o tym wiesz. Po prostu nie lubisz przyjmować ludzi w domu, wolisz sama wychodzić.

- Komu, do licha, chciałoby się gotować, zmywać, jeśli można samemu gdzieś wyjść?
- parsknęła ze złością.

Conrad włożył kopertę do małej szufladki w toalecie.

- Lepiej wezmę swoje rzeczy - rzekł chcąc zażegnać nieuniknioną kłótnię.

- A kim są ci twoi drogocenni świadkowie, którymi masz się opiekować? - zapytała Janey, siadając znowu przed toaletką. - Założę się, że jest tam kobieta...

- Nieważne kim są - powiedział Conrad ostro. Zaczął pośpiesznie pakować torbę. - Zostawię ci trochę pieniędzy - położył kilka banknotów na kominku. - Do czwartku powinno ci wystarczyć...

Byłoby zbyt ryzykowne zaprosić tu Louisa, zdecydowała Janey szminkując usta. Za dużo wścibskich sąsiadów - ale mogłaby pójść do niego. Znowu poczuła falę gorąca. Jest jak dzikie zwierzę, pomyślała. Jego pieszczoty były brutalne, egoistyczne i wiecznie niezaspokojone. Zostawił ją posiniaczoną i potwornie umęczoną, ale teraz pragnęła, żeby znowu wziął ją w swe twarde, muskularne ramiona.

- Muszę iść - stwierdził, zamykając torbę. - Mogłabyś zaprosić Beth na kilka dni. Nie chcę, żebyś zostawała tutaj zupełnie sama.

Janey uśmiechnęła się tajemniczo. - Twój żal jest doprawdy wzruszający, kochanie. Wziąwszy pod uwagę fakt, że zostawiasz mnie samą każdego dnia, na piętnaście godzin, parę chwil więcej nie zrobi mi różnicy.

- Do diabła, Janey! Przestań wreszcie! Wiesz, że muszę pracować do późna - zniecierpliwził się.

- A więc będziesz miał miłą odmianę siedząc w Butcher's Wood obok jakiejś kobiety i trzymając ją za rękę, prawda?

Conrad spojrzał na nią z pogardą.

- Do zobaczenia, Janey.

- Do zobaczenia - odpowiedziała i odwróciła się do lustra. Nie poruszyła się, dopóki nie usłyszała, jak trzasnęły drzwi, potem skoczyła na równe nogi, podbiegła do okna i patrzyła na odjeżdżającego Paula. Stała tak dłuższą chwilę ze skrzyżowanymi rękami na piersiach i zamkniętymi oczami, rozkoszując się smakiem wolności.

Miała dla siebie cztery dni i trzy noce. Nie zamierzała zmarnować takiego podarunku.

Przebiegła przez pokój, po czym zeszła na dół do telefonu. Wykręcając numer Paradise Club czuła łomotanie serca. Oddech miała szybki i urywany. Sięgnęła po papierosa, zapaliła i próbowała się uspokoić.

- Proszę z panem Seigelem - powiedziała, słysząc w słuchawce kobiecy głos.

- Kto dzwoni?

- Pan Seigel spodziewa się mnie. Proszę mnie połączyć! - stwierdziła ze złością. Nie chciała ujawniać recepcjonistce swego nazwiska.

- Proszę poczekać.

Po długiej przerwie Seigel odezwał się:

- Kto mówi? - głos miał oschły i zdenerwowany.

- Louis? Tu Janey.

- O, cześć, czego chcesz? Jego obojętność zraniła Janey.

- Nie wydaje mi się, żebyś był zadowolony, że mnie słyszysz.

- Jestem zajęty, O co chodzi?

- On wyjechał na dwa, trzy dni. Jestem sama. Sądziłam, że cię to zainteresuje.

Nastąpiła długa przerwa. Wydało jej się, że niemal słyszy, jak Seigel się zastanawia.

- To świetnie - rzekł nagle, ale jego głos pozostał oschły. - Przyjdź tutaj.

- Do klubu?

- Oczywiście. Przychodź, postawię ci kolację.

- Nie wiem, czy powinnam bywać w klubie. Nie mogłabym przyjść do ciebie, Louis?

- Przyjdź do klubu - powtórzył z irytacją. - Do zobaczenia około dziewiątej. Wcześniej nie będę miał czasu. Na razie - i wyłączył się.

Janey powoli odłożyła słuchawkę. Nie potraktował jej, jak się spodziewała, ale nie zależało jej na tym. Było jej obojętne także to, że on ma świadomość, że Janey mu się narzuca. Jego brutalna szorstkość fascynowała ją. Jedyne, czego pragnęła to to, żeby wziął ją w ramiona i potraktował jak uliczną dziwkę, żeby zostawił bez tchu, całą obolałą. Nigdy dotąd nie doznała takiego przeżycia i musi doświadczyć czegoś takiego jeszcze raz.

4.

Seigel kroczył korytarzem, prowadzącym do jego gabinetu, z ponurą twarzą. Przez ostatnie trzy dni czekał, że McCann ostrzeże go, gdyby wydano nakaz jego aresztowania, jednak kapitan nie dzwonił i to mąciło spokój Seigela, którego teraz łatwo było wyprowadzić z równowagi. Denerwował go również fakt, że Gollowitz wziął całą tę sprawę w swoje ręce. I wcale nie dlatego, że adwokat miał się czym chwalić. Przeciwnie, mówił, że zajmie się

dziewczyną i co z tego wyszło? Nic! Figa! Prokurator miał ją i Weinera. Ta dwójka z pewnością wszystko już wyśpiewała. Gdyby on mógł działać na własną rękę, już dawno byłby w Nowym Jorku, ale cóż, Gollowitz zakazał mu ruszać się gdziekolwiek.

- Nie ma się jeszcze czym przejmować - mówił. - McCann trzyma rękę na pulsie. Jeśli Forest zdecyduje się na jakiś ruch, będziesz miał czas, żeby zwać, ale nie wcześniej!

Seigel nacisnął klamkę u drzwi swojego gabinetu. Na widok Gollowitza siedzącego za biurkiem stanął jak wryty.

- Co pan tu robi? - pytał zamykając drzwi.

- Czekam - odpowiedział Gollowitz bez zniecierpliwienia. Ostatnie trzy dni zostawiły po sobie wyraźny ślad. Jego tłustą twarz przepełniała troska, a pod oczami pojawiły się sine worki. Widać był przekonany, że organizacji grozi niebezpieczeństwo, a jego inteligentny umysł pracował nieustannie na najwyższych obrotach, próbując znaleźć jakieś legalne wyjście z sytuacji, ale takiego, niestety, nie było. Był tylko jeden sposób, by powstrzymać tych dwoje od składania zeznań, które mogłyby zniszczyć jego przyszłe królestwo: uciszyć ich, i to na dobre.

Zbyt późno zdał sobie sprawę, że na Seigela nie ma co liczyć, bo okazał się pospolitym frajerem, a jego zbiry - bandą odmóżdżonych morderców, którym teraz, gdy Forest zrobił się nadzwyczaj podejrzliwy, na pewno nie uda się zbliżyć do tamtej dwójki. Dlatego podjął w końcu decyzję, która raniła jego dumę i obniżała prestiż: zameldował o wszystkim syndykadowi, przyznał się, że nie potrafi zapanować nad sytuacją i poprosił o pomoc.

- Czekasz pan? - warknął Seigel podchodząc do fotela. - Na co? Gollowitz spojrzał na zegarek.

- ... Na Ferrariego, lada chwila powinien tu być... Seigel popatrzył spode łba.

- Ferrari? Kto to jest?

- Vito Ferrari - odpowiedział Gollowitz.

Seigel znieruchomiał, zacisnął duże dłonie na oparciu fotela, aż zbieleły stawy. Jego opalona twarz robiła się czerwona i biała na przemian, uniósł się w fotelu.

- Vito Ferrari? Chyba nie przyjdzie tutaj, co?

- Przyjdzie.

- Po co? Cóż to za pomysł? Po diabła tutaj przyjeżdża?

Gollowitz popatrzył na Seigela małymi czarnymi oczkami, podobnymi do szklanych paciorków.

- Prosiłem, żeby przyjechał. Seigel wstał ociężale z fotela.

- Zwariował pan? Poprosił Ferrariego, żeby tu przyjechał? Po co?

- A twoim zdaniem, któż inny mógłby poradzić sobie z całym tym bajzłem? - zapytał Gollowitz, układając tłuste dłonie na notatniku. - Ty? Uważasz, że ty potrafisz to zrobić?

- Ale Ferrari...

- Jeśli tych dwoje stanie przed sądem i złoży zeznania - wszyscy jesteśmy skończeni - kontynuował spokojnie. - Trzeba ich zlikwidować. Miałeś tę szansę, ja zresztą też. Obydwu nam się nie udało. Nie możemy sobie pozwolić na więcej takich porażek. Poprosiłem syndykat o przysłanie Ferrariego. Powiedzieli, że postąpiłem słusznie...

- A co na to powie Maurer? - spytał Seigel, oblizując spieczone wargi. - Pan wie, że nie życzy sobie widzieć nikogo z syndykatu na swoim terytorium...

- Nie ma go tutaj. Gdyby był, może nie musielibyśmy wzywać Ferrariego, ale go nie ma. Muszę ratować organizację, i jest tylko jeden człowiek, który może to dla mnie zrobić - właśnie Ferrari!

Słyszac nazwisko Vito Ferrariego Seigel poczuł w okolicy serca lodowaty chłód, w dalekim średniowieczu takie samo wrażenie musiało wywoływać na heretyku słowo: inkwizytor.

Vito Ferrari był etatowym egzekutorem syndykatu. O jego okrucieństwie, bezwzględności, zbrodniach, jakie popełnił, żądzy krwi, która nim powodowała, opowiadano fantastyczne, niewiarygodne wręcz historie. Nakłonić go do przyjazdu do Pacific City, to jak samej kosztusze przymawiać się o złożenie ostatniej wizyty. Myśląc o tym, Seigel wpatrywał się w Gollowitza z przerażeniem w oczach.

- Pan chyba oszalał!

Gollowitz ponownie rozłożył swoje pulchne dłonie.

- Przyjmij do wiadomości, że nie ma już alternatywy - on albo organizacja, niestety... Wolałbym, żeby go tu nie było... Sądzisz, że posłałbym po niego, gdybyś pokazał, że potrafisz załatwić tę sprawę?

Seigel zaczął się tłumaczyć, gdy nagle usłyszeli pukanie.

- Wejść - odezwał się Gollowitz.

W drzwiach pojawił się Dutch. Jego twarz miała nieco głupawy wyraz i przypominała oblicze człowieka, który po obejrzeniu dwóch seansów w kinie wyszedł wprost na oślepiające słońce.

- Jakiś facet do pana - zwrócił się do Gollowitza. - Mówi, że pan na niego czeka...

Gollowitz zbladł i powoli skinął głową.

- Tak, niech wejdzie...

Dutch pytająco spojrział na Seigela, ale ten odwrócił się plecami, powlókł się więc niemrawo przez gabinet i otworzył drzwi do sąsiedniego pomieszczenia.

- Proszę wejść - Seigel usłyszał słowa Dutcha. Stał czekając z rozdygotanym sercem. W czasie swej przestępczej kariery wiele razy słyszał o Ferrarim, ale nigdy go nie widział, nawet na fotografii.

Nosił jednak w wyobraźni jego obraz, w którym tamten występował jako postawny mężczyzna, a przy tym szorstki, władczy, brutalny i pełen okrucieństwa. Wobec takiej reputacji jaką cieszył się Ferrari, Seigel nie wyobrażał sobie nawet, że mógłby wyglądać inaczej. Dlatego przeżył prawdziwy szok, kiedy ten bezszelestnie wsunął się do pokoju.

Vito Ferrari liczył sobie mniej niż pięć stóp wzrostu, a więc właściwie mógł uchodzić za karła, zbudowanego wyłącznie ze skóry i kości. Czarny garnitur wisiał na nim, jakby był udrapowany na manekinie, wykonanym z drutu.

Seigela od pierwszej chwili uderzył dziwny, niezwykle sposób chodzenia Ferrariego. Wydawało się, że cicho i miękko niczym duch ślizga się po parkiecie, stopy unosząc w powietrzu. Kiedy Seigel popatrzył mu w twarz, to skojarzenie stało się jeszcze bliższe prawdy.

Ferrari miał twarz w kształcie trójkąta - szerokie czoło i wąski podbródek. Miał ogromny, zakrzywiony nos i usta, które stanowiły wąską linię, tak nikłą, że w ogóle mogło ich nie być. Żółtawa skóra była dobrze naprężona i ukazywała układ kości twarzy i głowy, nadając mu wygląd nieboszczyka. Małe ślepka niknęły głęboko w ciemnych oczodołach, stając się prawie niewidoczne, a gdy Seigel przyjrzał im się bliżej, odniósł wrażenie, że są jak znieruchomiałe, sztuczne oczy figury woskowej.

Zarówno Gollowitz, jak i Seigel byli tak wystraszeni niespodziewanym pojawieniem się Ferrariego, że stali gapiąc się na niego i nie mogąc wykrztusić ani słowa.

Ferrari zdjął czarny kapelusz, ukazując gęste, ciemne włosy, które siwiały nieco na skroniach, położył go na biurku, po czym usiadł w fotelu, który przedtem zajmował Seigel.

- Kobieta i mężczyzna, zgadza się? - powiedział. Miał dziwacznie ochryply głos, na dźwięk którego Seigela przeszył dreszcz. Taki głos można było usłyszeć z ust medium podczas seansu spirytystycznego.

Gollowitz wziął się w karby.

- Bardzo się cieszę, że pana widzę - powiedział, ale natychmiast uświadomił sobie, że zabrzmiało to zbyt wylewnie. - To miło ze strony Wielkiego Joe...

- Gdzie oni są? - przerwał Ferrari, kierując swoje zapadnięte oczy w stronę Gollowitza.

Gollowitz przełknął ślinę, zająknął się i spojrzał bezradnie na Seigela.

- Ma pan na myśli tych dwoje, w sprawie których pan przyjechał?- zapytał Seigel głosem bez wyrazu.

- A kogo innego? - zapytał zniecierpliwiony Ferrari. - Gdzie oni są? Nie wiecie?

- Są w domku myśliwskim w Butcher's Wood - wtrącił pośpiesznie Gollowitz. Dzisiaj rano otrzymał dokładne informacje od McCanna.

- Mam tutaj plan - otworzył szufladę, wyjął wiernie odtworzony szkic terenu i rzucił na biurko.

Ferrari podniósł kartkę, złożył w czworo i nawet nie patrząc, wcisnął ją do kieszeni.- Jak mam ich sprzątnąć? - zapytał.

- Zostawiam to panu - zareagował Gollowitz. - Ale ważne jest, żeby to wyglądało na wypadek.

Ferrari zasznurował wąskie wargi.

- Kiedy mają zginąć?

- Czy nie lepiej byłoby porozmawiać o sposobach dostania się do nich? - zaproponował Gollowitz do żywego dotknięty aroganckim tonem Ferrariego. - Gdyby to było takie proste, nie posyłałbym po pana. Są pod strażą dzień i noc. Nikt nie może zbliżyć się do domu nie zauważony; są tam psy policyjne, reflektory i niewielki oddział policji. Jedno jedyne wejście jest dobrze pilnowane... Nie mówiąc już o grupie sześciu detektywów, mistrzów w strzelaniu, którzy na zmianę strzegą obydwojga. Dwie kobiety-detektywi nie odstępują tej Coleman, nawet podczas snu. Podobnie wygląda sytuacja z Weinerem. Nieważne, kiedy mają zginąć, ale jak się tam dostać...

Ferrari przejechał kościstym palcem po długachnym nosie wpatrując się w Gollowitza z takim samym zacięciem, jak zdarza się to naukowcowi, który bada nieznane mikroby.

- Pytałem, kiedy mają zginąć - powiedział. Gollowitz zerknął na Seigela i wzruszył ramionami.

- Jak najszybciej, ma się rozumieć - odrzekł krótko.

- W porządku. Podam wam datę, jak tylko przestudiuję plan i zapoznam się z terenem - powiedział Ferrari flegmatyczną, bezbłędną angielszczyzną, z nikłym włoskim akcentem. - Będzie to prawdopodobnie za dwa dni...

- Chce pan powiedzieć, że zabije ich w ciągu dwóch dni? - wykrzyknął Seigel. - To przecież niemożliwe!

- Nie będzie możliwe, żeby obydwoje zginęli w tym czasie - powiedział Ferrari - ale co do jednego z nich, nie mam żadnych wątpliwości. W ciągu dwóch dni mogliby obydwoje

zginąć, gdyby nie zależało wam, by wyglądało to na nieszczęśliwy wypadek. Taki zbieg okoliczności mógłby się wydać zbyt podejrzany - popatrzył na Gollowitza. - Czy jest pan pewien, że musi to być nieszczęśliwy wypadek?

- To bardzo ważne - Gollowitz uśmiechnął się w duchu, że może utrudnić Ferrariemu robotę. - Gdyby prasa zaczęła się czegoś domyślać, narobiłaby takiego smrodu, że na pewno doprowadzono by do śledztwa, na to w żadnym razie nie możemy sobie pozwolić.

- Tak... - Ferrari przebiegł po włosach palcami podobnymi do szponów. - Świetnie, jedno z nich pójdzie za dwa, trzy dni... Gdy będziemy to mieli za sobą, zastanowimy się, co robić dalej...

- Wybacz pan mój sceptycyzm - stwierdził sucho Gollowitz, - ale rozważaliśmy sposoby i możliwości dotarcia do nich, niestety, nic z tego nie wyszło. Pan mówi tak, jakby robota została już wykonana, a przecież nie zbadał jeszcze nawet terenu.

Ferrari ponownie przejechał palcem po nosie, robił to bezwiednie.

- Przecież jestem fachowcem - rzekł ze stoickim spokojem. - Pan jest amatorem i ma niewłaściwe podejście do sprawy. Szuka pan trudności. „Wmówił pan w siebie, że roboty nie da się wykonać i szybko się poddał... To nie sytuacja pana pokonała, pan pokonał sam siebie - usiadł w fotelu, splótł kościste palce i złożył je na kolanach.

Wygląda jakby był istotą nie z tego świata - myślał Seigel, obserwując go z wyrazem niezdrowej fascynacji. Gdy Ferrari skrzyżował chude nogi, jego stopy nie sięgały podłogi.

- Podchodzę do pracy z dużą pewnością siebie. Nigdy nie nawaliłem i nie mam takiego zamiaru. Zdarzało mi się wykonywać zadania o wiele trudniejsze niż to...

- To cholernie ciężka sprawa - powiedział Seigel, usiłując napotkać wzrok tych wpadniętych i nieruchomych oczu, które wwiercały się w jego czaszkę. - Będzie pan miał dużo szczęścia, jeśli uda mu się załatwić choćby jedno z nich, nie mówiąc już o drugim...

Ferrari pochylił się do przodu i uśmiechnął. Miał wielkie, żółte i zepsute zęby. Seigelowi przypominał narowistego konia, który usiłuje go ugryźć.

- Szczęście nie wchodzi nawet w grę - stwierdził Ferrari. - Gdybym liczył na szczęście, do niczego bym nie doszedł. Powiem panu jedno: zginą obydwój, to gwarantuję. Widzę, że mi nie wierzycie. Poczekajcie, a sami się przekonacie. Proszę tylko nie zapominać, o czym mówiłem: jeśli mam kogoś sprzątnąć, zrobię to! Nigdy nie zawiodłem i nie zawiodę!

Słuchając go Abe Gollowitz poczuł, jak opuszcza go napięcie, które towarzyszyło mu od chwili, gdy dowiedział się, że dziewczyna i Weiner są w rękach prokuratora okręgowego. Nagle ogarnęło go przecucie, że ten potworek nie blefuje. To, że poprosił Ferrariego o

pomoc, było najsprytniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek w życiu zrobił. Był teraz pewien, że Ferrari uratuje jego królestwo.

Rozdział VII

- Wejdz, Paul - rzekł Forest, odsuwając papiery, które właśnie przeglądał. - Siadaj. Co słychać?

Conrad wytrząsnął z paczki papierosa i powiedział:

- Nasze metody wreszcie podziałały, Weiner zaczął mówić... Forest kiwnął głową.

- Spodziewałem się tego... Ale ryzykowaliśmy... Głupio byśmy wyglądali, gdyby zgodził się wyjść za kaucją. Od początku wiedziałem, że wcale mu się nie spieszyło do tego zimnego, brutalnego świata... A co z dziewczyną?

Conrad skrzywił się.

- Nic. Dalej przysięga, że w Dead End nikogo nie widziała, ale przynajmniej jedno jest dobre: nie chce już iść do domu. Myślę, że zdaje sobie sprawę, że musi pozostać w ukryciu, dopóki cała sprawa trochę nie przycichnie...

- Za chwilę wrócimy do niej - Forest sięgnął po cygaro. Zapalił i mówił dalej:

- Co Weiner ma do powiedzenia?

- Przyznał się, że śledził Frances Coleman. Mówi, że Seigel kazał mu ją zabić, ale nic więcej nie mogę z niego wydusić.

- Krótko mówiąc - powiedział ci na tyle dużo, aby go zatrzymać i w ten sposób uchronić przed utratą życia, ale nic więcej...

- Można tak powiedzieć. Mówi, że nic nie wie o Maurerze: jest człowiekiem Seigela i nie ma nawet pojęcia, dla kogo Seigel pracuje. Oczywiście kłamie i mam nadzieję, że nakłonię go do zmiany zeznań. Nie ma sensu ścigać Seigela. Nam zależy na samym Maurerze, a jeśli aresztujemy Seigela, skierujemy sprawę na ślepy tor.

Forest skinął głową.

- Jeśli chcemy jakoś wykorzystać zeznania Weinerja, musimy wykazać powiązania Seigela z Maurerem.

Conrad zmarszczył brwi, strzepnął popiół do szklanej popielniczki na biurku Foresta.

- Nie mogę przekonać Weinerja, że u nas jest bezpieczny - stwierdził z irytacją. - Jest przeświadczony, że prędzej czy później go osiągną. Gdybym mógł jakoś go przekonać, że to niemożliwe, na pewno powiedziałby więcej...

- A jest bezpieczny, Paul? - zapytał cicho Forest. Conrad przytaknął.

- Tak. Podjąłem wszelkie środki ostrożności. Nie ma żadnej możliwości, żeby ktoś zbliżył się do kwatery. Dlatego wybrałem to miejsce. Prowadzi tam tylko jedna droga. W okolicy nie ma skrawka schronienia. Inna droga wiedzie w górę od strony przepaści o głębokości 200 stóp - tego nawet mucha nie pokona. Ale tam, na górze, także postawiłem straż, na wypadek, gdyby ktoś usiłował wspiąć się na linach... Panny Coleman i Weinerja nie zostawia się samych ani na chwilę. Dopóki tam przebywają, są bezpieczni...

- I mimo to Weiner nadal uważa, że zostanie sprzątnięty?

- Niestety, dobrze wie, że nie zdarzyło się, by któryś z gangsterów sypnął i to przeżył. Przyjęło się uważać, że nie ma dziury, do której nie sięgnęłoby ramię Maurera. Jeśli uda mi się przełamać tę opinię, to - moim zdaniem - Weiner powie nam wszystko, co chcemy wiedzieć. Ale na razie nic nie jest w stanie go przekonać...

- Szczerze mówiąc, wcale mu się nie dziwię - skonstatował Forest poważnie. - Maurer ma niemiły zwyczaj uciszania każdego, kto tylko mówi... Czy wziąłeś pod uwagę ludzi, Paul?

- Oczywiście, że trzeba to wziąć pod uwagę - zgodził się Conrad, - ale przecież zastosowałem wszelkie środki ostrożności, wybrałem samych sprawdzonych. Również dla spokoju sumienia upewniłem się, że żaden ze strażników nie pracuje w pojedynkę. Cały czas ma przy sobie drugą osobę. Odpowiada za nich sierżant O'Brien, którego pan zna. O sierżanta O'Briena jestem spokojny, jak o siebie samego...

- Oczywiście - powiedział Forest. - Znam O'Briena od wielu lat, tak wyobrażam sobie wzorowego policjanta... A co z przepustkami? Czy nie istnieje niebezpieczeństwo, że gang zajmie się tymi ludźmi, gdy wyjdą na przepustkę?

- Nie ma żadnych przepustek. Powiedziałem im, że pracują non-stop, dopóki to się nie skończy. Są tylko trzy osoby, którym wolno opuszczać kwaterę: Van Roche, O'Brien i ja. Jeśli nie miałbym ufać tym dwóm, to nie mogę ufać nikomu...

- Tak, rzeczywiście, pomyślałeś o wszystkim. Wpadnę tam na weekend i sam to obejrzę... - Chciałbym, żeby pan wpadł, chętnie skorzystam z jakichś wskazówek... Gdybym tylko mógł przekonać Weinerja, że jest bezpieczny...

- Może ci się uda. Mamy trochę czasu. Ale pilnuj go, jak oka w głowie, Paul.

Forest odsunął krzesło, założył nogę na nogę.

- Teraz opowiedz mi o dziewczynie.

- Jest dość tajemnicza - odparł Conrad, pocierając podbródek.. - Niech mnie diabli, jeśli wiem, co o niej sądzić.

Forest, którego uwagi zazwyczaj nie uchodziło, z zaskoczeniem spostrzegł przygnębienie w głosie Conrada. Spojrzał szybko na pochyloną, surową twarz i zastanowił go

ten niecodzienny ton. Odwrócił wzrok, zaniepokojony. Dlaczego głos Conrada zmienił się, gdy tylko zaczął opowiadać o dziewczynie? - zastanawiał się. Z długiego doświadczenia w sądzie nauczył się wyczuwać, jeśli między kobietą a mężczyzną występowała jakaś więź. Czyżby między nimi coś zaszło?

- W jakim sensie? - zapytał łagodnie. Conrad wzruszył ramionami.

- Jestem pewien, jak tu siedzę, że widziała Maurera w Dead End. Dlaczego się nie przyznaje? Milcząc staje się współniczką zbrodni.

- Powiedziałaś jej o tym?

Conrad podniósł wzrok, ale jego oczy uciekły od badawczego spojrzenia Foresta.

- Jeszcze nie. Pomyślałem, że będzie to wyglądało, jakbym chciał ją przestraszyć. A ona nie jest osobą, której można grozić.

- Ale trzeba jej powiedzieć. Gdybyśmy zdobyli jakiś dowód, że widziała Maurera, można by ją było zaskarżyć...

- Wiem, jednak na razie wstrzymam się z tym jeśli pan nie ma nic przeciwko temu. Cały czas uważam, że uda mi się nakłonić ją do rozmowy. Od spotkania z Gollowitzem trochę spuściła z tonu.

- Naprawdę?

- Jest bardziej zycziwa. Nieco zmiękła. Myślę, że w końcu damy sobie z nią radę.

Forest bezwiednie poruszył szklany przycisk do papieru. Jego twarz była nieprzenikniona. Ale zatroskany wyraz oczu Conrada naprawdę go zmartwił.

- Nie możemy jej tu trzymać bez końca - rzekł - Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

- Wiem, i w tym jest problem. Jedyne rozwiązanie, żeby wyszła z tego cało, to przyznanie się, że widziała Maurera, a wtedy moglibyśmy się nim zająć. Jak długo Maurer jest na wolności, nie będzie bezpieczna. Chyba, że pozostanie pod naszą opieką...

- Czy ona jest tego świadoma? Conrad wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję, że tak. Wystarczająco często jej to powtarzałem - pochylił się do przodu, żeby zgasić papierosa. Ze zmarszczonymi brwiami przez dłuższą chwilę wpatrywał się w dywan, a Forest obserwował go, nie dając tego po sobie poznać. Potem Conrad powiedział: - Jest inny problem, którego nie umiem rozwiązać. Może pan mógłby mi pomóc?

- Gadaj, o co chodzi?

- Myślę, że tych dwoje coś łączy. Powiem więcej - są w sobie zakochani.

- Jakich dwoje? - Forest zapytał ostro.

Conrad poruszył się niespokojnie, nie potrafił ukryć przygnębienia.

- Panna Coleman i Weiner.

- Zakochani? - Forest powtórzył zdziwiony. - Jak oni mogli się zakochać?

Teraz Conrad podniósł oczy.

- A w jaki sposób ludzie zakochują się? - zapytał cicho. - To jest jedna z tych rzeczy, których nie da się wytłumaczyć. Po prostu spotyka się dwoje ludzi, którzy odtąd się nie rozstają. Jak dwa kawałki układanki, które kiedyś gdzieś się zapodziały, i nagle odnajdują się, pasując do siebie jak ulał. Może to być całkiem proste.

- Jesteś tego pewien?

- Tak. Frances Coleman zapytała mnie wczoraj, czy może porozmawiać z Weinerem. Do tej pory staraliśmy się ich izolować, ale Madge Fielding, która opiekuje się Frances mówiła mi, że ona zawsze stoi przy oknie i obserwuje Weinerja, kiedy się gimnastykuje na podwórku, słyszałem także, że on również patrzy na nią, gdy znajduje się przed domem.

- Ależ to wcale nie znaczy, że oni się kochają - powiedział Forest trochę zniecierpliwiony.

Conrad wzruszył ramionami.

- Powinien pan posłuchać, jak oni mówią o sobie, wtedy od razu wiadomo, o co chodzi - wstał gwałtownie i zaczął chodzić tam i z powrotem. - Nie rozumiem, jak, do diabła, tak fajna dziewczyna mogła się zakochać w takim szczurze. To niebywałe! To nie jest dziewczyna dla niego. Ma odrażające znamię. Przez całe życie był zwyczajnym przestępcą. Nie mam pojęcia, jak ona może czuć cokolwiek do takiego faceta. To nie mieści się w głowie.

Forest podniósł brwi. Czyżby Paul interesował się dziewczyną? - pytał sam siebie. Zachowywał się - wypisz, wymaluj - jak odrzucony adorator. Ale z pewnością tak nie jest. Forest widział Janey i jej uroda zrobiła na nim ogromne wrażenie. Był przekonany, że Conrad miał cholerne szczęście żeniąc się z tą energiczną, czarującą kobietą.

- Możliwe, że powodem jest jego przeszłość, a może - właśnie to znamię - powiedział Forest półszepem. - Dziewczęta bywają piekielnie dziwnymi stworzeniami.

- I ja tak myślę.

- W takim razie, co za problem, Paul? To nie nasz interes - czy są zakochani, czy nie...

- Oczywiście, ale czy w takim razie - mogę się zgodzić na ich spotkanie? Frances Coleman pytała, czy może towarzyszyć w ćwiczeniach Weinerowi... dwie godziny dziennie...

- Ja bym się nie zgodził. A ty jak uważasz?

Conrad nieodmiennie wędrował po pokoju tam i z powrotem.

- To nie jest wcale takie proste - odparł po chwili. - Nie wolno nam tracić z oczu naszego celu. Chcemy przekonać dziewczynę, żeby złożyła zeznanie przeciwko Maurerowi. Gdyby pozwoliło się jej porozmawiać z Weinerem, byłaby szansa, że on opowie coś o sobie.

Możliwe, że powiedziałyby jej nawet o Maurerze. Ona na pewno będzie chciała wiedzieć, dlaczego zgodził się ją zabić, on zaś chcąc się usprawiedliwić w jej oczach, kto wie, może wprowadzi ją w sekrety organizacji... Jeśli to od niego wyjdzie, może przynieść całkiem niezłe rezultaty. Jak dotąd, ona nie wierzy w moje słowa. Uważa, że interesuje mnie tylko jako świadek do złożenia zeznań i że rozmyślnie wszystko koloryzuję, żeby wyrzucić na nią presję. Kontakt z Weinerem mógłby jej uświadomić, że spoczywa na niej pewien obowiązek... Nie wiem. Jest to problem, ale ja skłaniam się do tego, by wyrazić zgodę na to spotkanie.

- Hmm, coś w tym jest... Ale przypuśćmy, że on jeszcze bardziej odwiedzie ją od tego zamiaru - tak ją przestraszy, że nigdy nic nie powie. Pomyślałeś o tym?

- Po tym, co już zrobił, to mało prawdopodobne. Ostatecznie on sam jej wszystko opowiedział, zresztą ona wie, że przyznał się, iż miał rozkaz ją zabić. Mówiłem jej o tym.

- W porządku, musimy spróbować. Nie możemy już dłużej jej trzymać. Niech się spotykają, ale muszą pozostać pod nadzorem. Nie powinniście im pozwolić oddalać się razem. Poucz strażników, żeby trzymali się w przyzwoitej odległości, ale niech ich nie spuszczają z oczu.

- Dobra - powiedział Conrad. - Myślę, że to wszystko. Lepiej będzie, jak tam wrócę.

- Ale jest jeszcze jedna rzecz, której nie rozstrzygnęliśmy - zauważył Forest. - Dlaczego dziewczyna nie przyznała się, że widziała Maurera. Musimy do tego dojść, Paul.

- To oczywiste - ona boi się Maurera.

Forest pokręcił głową.

- Wątpię w to. Dziewczyna jej pokroju nie wie zbyt wiele o Maurerze, tylko tyle, ile wyczyta w gazetach. Przysnaję, on ma piekielnie złą reputację, ale ludzie, którzy kształtują swoją opinie o gangsterach na podstawie notatek prasowych, nie za bardzo w nie wierzą. Jest ważniejsza przyczyna, która nie pozwala jej mówić... Czy nie przyszło ci nigdy do głowy, że ona również może mieć coś na sumieniu, co mogłoby wyjść na jaw podczas procesu Maurera?

- Nie uważa pan, że są to niczym nie uzasadnione insynuacje? - zapytał Conrad gwałtownie.

Forest delikatnie strząsnął popiół z cygara.

- Oczywiście, jest to niezwykle odważna teoria, ale skąd my możemy wiedzieć, skoro niczego nie jesteśmy pewni. Możliwe, że chodzi o zupełnie inny powód. Może uciekła z domu albo ma męża, który jej szuka. Chciałbym, abyśmy rozważyli taki problem. Jeśli będzie zeznawać przeciw Maurerowi, to jej fotografia opatrzona nazwiskiem znajdzie się na

pierwszych stronach gazet w całym kraju. Czy przypadkiem nie chce uniknąć rozgłosu, z jakiegoś prywatnego powodu i dlatego milczy? Myślę, że musimy trochę poszperać, a wtedy zobaczymy, czy uda nam się znaleźć tę przyczynę - z góry zakładając, że w ogóle istnieje...- Tak, myślę, że powinniśmy to zrobić - powiedział Conrad - apatycznie.

W tym momencie Forest był już zupełnie pewien, że dziewczyna zrobiła na Conradzie ogromne wrażenie, i to odkrycie wręcz go przeraziło. Czy Conrad mógł się w niej zakochać? - pytał teraz siebie.

- W porządku, poszperajmy... Czy chcesz się tym zająć? Wolisz zostać z nimi, czy może chciałbyś tutaj wrócić i pogrzebać w przeszłości dziewczyny?

Conrad nie wahał się.

- Zostanę tam, najważniejsze jest zapewnić jej bezpieczeństwo. Wziąłem na siebie odpowiedzialność i chcę tego dopilnować. Odeślę Vana. On może to zrobić.

Teraz nie było już żadnej wątpliwości, że Conrad zakochał się we Frances Coleman.

Forest położył ręce na biurku, a jego oczy badały twarz Conrada.

- Co sądzisz o tej dziewczynie, Paul? Chodzi mi o to, jak ona działa na ciebie jako mężczyznę?

Conrad spojrzał na Foresta.

- Czy ma to jakieś znaczenie dla sprawy? Co to ma do rzeczy, co ja o niej sądzę? - zaskoczony szczerym spojrzeniem Paula, Forest podniósł ciężkie ramiona.

- Nie, masz rację. Nie powinienem o to pytać... A teraz muszę zabrać się do roboty. Daj znać, jak sprawa się rozwija...

- Oczywiście - odpowiedział Conrad i skierował się w stronę drzwi.

Kiedy wyszedł, Forest zasepił się nad papierzyskami. Przez chwilę siedział z ponurą twarzą, pogrążony w myślach, potem wzruszył ramionami i sięgnął po plik dokumentów, które na niego czekały.

2.

Sierżant Tom O'Brien stanął w nogach łóżka i popatrzył na syna. Jego twarda niczym granit twarz nieco złagodniała, sprawiając, że wyglądał młodziej, a w jego oczach pojawiły się błyski, jakich nigdy nie miał okazji zobaczyć żaden z jego kolegów ani interesantów.

- Spij - powiedział - bo jak mama wróci, obaj będziemy mieli kłopoty...

Jego syn, niespełna siedmioletni piegusek, uśmiechnął się do ojca rozbrawiająco.

- A może byś mi opowiedział, jak osaczałeś Małego Cezara, i o walce, jaką stoczyliście? - zaproponował z nadzieją w głosie. - To nie potrwa długo, a mamie nie musimy nic mówić...

O'Brien udawał oburzenie. To, że w oczach syna uchodził za bohatera, było dla niego najprzyjemniejszą ze wszystkich rzeczy, jakie spotkały go w życiu. Przez moment zmagał się z pokusą, by jeszcze raz opowiedzieć dziecku ulubioną historyjkę, ale było już po dziewiątej i jak przyrzekł żonie, chłopiec powinien był już spać od godziny.

- Nie mogę, synku - powiedział poważnie. - Musimy dotrzymać umowy. Powiedziałeś, że będziesz zadowolony, gdy opowiem ci historyjkę o Lingle, i długo nam z tym zeszło. O Małym Cezarze opowiem ci następnym razem, gdy będę miał czas...

- Obiecujesz? - zapytał syn.

- Tak, obiecuję. A teraz śpij. Zawołaj mnie, gdybyś czegoś potrzebował, ale - pamiętaj - żadnych fałszywych alarmów...

- Dobrze, tatusiu - rzekł chłopiec zrezygnowany. Dawno już nauczył się, że nie było sensu sprzeczać się z ojcem. - Do zobaczenia jutro rano...

- Niech cię Bóg błogosławi, synu.

- Niech cię Bóg błogosławi, tatusiu.

O'Brien zgasił światło i zszedł po schodach do hallu. Mały domek tonął w głębokiej ciszy. Żona O'Briena wyszła do kina ze swoją matką i nie będzie jej jeszcze przez godzinę, zastanawiał się więc, czy powinien pozmywać po kolacji, czy też lepiej popatrzeć na boks w telewizji. Po krótkich zmaganiach z sumieniem, walki zwyciężyły.

Otworzył drzwi pokoju i zatrzymał się marszcząc brwi. Nie przypominał sobie, żeby wychodząc zostawił zapaloną lampkę. Zwykle pamiętał o zgaszeniu światła. Wszedł dalej i zamknął drzwi. Zrobił zaledwie trzy kroki w kierunku telewizora, gdy nagle znieruchomiał, a wszystkie jego zmysły wyostrzyły się.

O'Brien był twardym i odważnym gliną o stalowych nerwach, a mimo to na widok drobnej postaci w czerni, która siedziała w fotelu, poczuł przyspieszone bicie serca.

Osobnik znajdował się w cieniu, więc w pierwszej chwili O'Brien sądził, że ma do czynienia z dzieckiem, ale później zauważył małe stopy w czarnych, zamszowych butach, które wisiały parę cali nad podłogą, i wrzecionowate nogi o wysuszonych kostkach. Miały dorosły wygląd, więc nie mogły należeć do dziecka.

Wzdrygnął się mając wrażenie, że patrzy na zjawę i poczuł, że włosy jeżą mu się na karku. W końcu wziął się w garść i postąpił krok do przodu.

- Co, do diabła... - burknął i zastygł w bezruchu widząc lśniącą lufę pistoletu, kaliber 38, wycelowaną w jego stronę.

- Dobry wieczór, sierżancie - usłyszał ochryply głos. - Przepraszam, że pana przestraszyłem. Nie radzę popisywać się odwagą, z tej odległości na pewno nie chybię...

O'Brien poczuł, że pot wystąpił mu na twarz. Właścicielem tego koszmarnego, zachrypniętego głosu mógł być tylko jeden jedyny człowiek. Wiele lat temu, gdy O'Brien pracował jako dzielnicowy w Nowym Jorku, zetknął się z Vito Ferrarim. Było to doświadczenie, o którym często rozmyślał, zdarzało się nawet, że powracało we śnie, kiedy kładł się do łóżka po obfitej kolacji.

Spojrzał w dół na fotel, a kiedy Ferrari podniósł wzrok, tak że światło padało mu na twarz, spojrzenia obu mężczyzn spotkały się.

- Widzę, że mnie pan pamięta, sierżancie - zauważył Ferrari.

- Co pan tu robi? - O'Brienowi nie drgnął ani jeden mięsień. Wiedział, że Ferrari jest na wskroś niebezpiecznym człowiekiem, zaraz więc pomyślał, że na pewno przyszedł, żeby go zabić. Nie miał pojęcia dlaczego, ale oprawca syndykatu nigdy nie składał towarzyskich wizyt. Zawsze były to wizyty służbowe.

- Niech pan siada, sierżancie - Ferrari wskazał ręką fotel naprzeciwko siebie. - Chcę z panem porozmawiać...

O'Brien usiadł. Był bardzo zadowolony z tego, że może spocząć, bo nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Pomyślał o synu śpiącym na górze, i żonie, której powrotu oczekiwał za godzinę. Pierwszy raz w swojej karierze uświadomił sobie, że jego praca stwarza zagrożenie dla jego rodziny.

- Co pan robi w Pacific City? - zapytał, starając się nie okazywać strachu. - Przecież to nie pański rejon, prawda?

Ferrari schował pistolet do futerału pod płaszczem. Ale to wcale nie uspokoiło O'Briena, gdyż dobrze wiedział, że Ferrari potrafi wyjąć broń i zabić go, zanim on uniesie się z krzesła na kilka cali.

- Tak, to nie mój rejon, ale jestem tu służbowo. Przyjechałem po Weinerja... - powiedział beznamiętnie. Skrzyżował pałkowate nogi i zahuszał małą stopą.

O'Brien zeszywniał, ale jednocześnie poczuł ulgę. Widząc Ferrariego, od razu powinien był pomyśleć o Weinerze.

- W takim razie ma pan pecha. Weiner jest nieosiągalny...

- Nikt nie jest nieosiągalny - odpowiedział Ferrari. - A ludzie uważają, że to prawda... Chcę, żeby mi pan powiedział, jak się do niego dostać...

O'Brien doskonale zdawał sobie sprawę, jaką opinię ma Ferrari. Wiedział, że nigdy nie obiecuje niczego, jeśli nie jest absolutnie pewien własnych możliwości.

- Na jakiej podstawie pan sądzi, że mu powiem? - zapytał głosem, któremu daleko było do śmiałości.

- A na jakiej podstawie pan sądzi, że nie powie?

O'Brien wpił w niego spojrzenie. Czuł, że mieni się na twarzy, a ręce zaciskają w pięści.

- Jak się ma pański synek, sierzancie? - ciągnął Ferrari. - Widziałem go dziś rano - ładny chłopczyk...

O'Brien nie odpowiedział nic. Zrozumiał, że nagle znalazł się w pułapce. Domyślał się, co będzie dalej.

- No więc jak - porozmawiamy o Weinerze? - zapytał Ferrari po dłuższej przerwie. - Nie chce pan chyba, żebym sam narysował panu plan tego domu, co, sierzancie?

- Tym razem to się panu nie uda - odpowiedział O'Brien ochryple. - Trzeba być szalonym, żeby próbować!

Ferrari wzruszył wychudzonymi ramionami.

- Darujmy sobie tę gadkę - przerwał. - O której wieczorem Weiner bierze kąpiel?

- O dziesiątej. Ale skąd, u diabła, pan wie, że on kąpie się wieczorem?!

- Zawsze zapoznaję się ze zwyczajami swoich klientów. Takie drobiazgi, jak wieczorna kąpiel, bardzo ułatwiają mi pracę... Weiner jest wówczas sam, czy też ma w obstawie strażnika?

O'Brien zawahał się, ale tylko na moment. Grożono mu czymś znacznie gorszym niż jego własna śmierć.

- Jest sam.

- Proszę opisać łazienkę...

- Nie różni się niczym od innych. Znajduje się na drugim piętrze. Ma bardzo małe, zakratowane okienko. Wewnątrz jest prysznic, szafa, wanna i ubikacja.

- Czy prysznic jest za zasłonką?

- Traci pan czas, panie Ferrari. Niech pan się nie oszukuje. Nie dostanie się pan do łazienki. Tam nawet mysz się nie prześliznie nie zauważona. Naprawdę wszystko dobrze zorganizowaliśmy...

Ferrari skrzywił górną wargę w uśmiechu.

- Dostanę się tam. Już zbadałem sytuację. To nic wielkiego. Byłem tam dzisiaj rano...

- Kłamie pan! - wykrzyknął O'Brien wstrząśnięty.

- Tak pan myśli? W porządku, kłamię - Ferrari przejechał kościstym palcem po długim nosie. - Czy przed kąpielą Weinerja łazienka jest sprawdzana?

- Oczywiście.

- Kto to robi?

- Ten kto ma nocną służbę.

- Kiedy pan ma służbę, sierzancie? O'Brien wciągnął głęboki wdech.

- Jutro w nocy.

- Miałem nadzieję, że pan powie. Teraz niech pan słucha uważnie: zrobi pan tak - gdy Weiner będzie przygotowany do kąpeli" przeszuka pan łazienkę jak zwykle, ale niech pan uważa zaglądnąc za zasłonę prysznic. Tam właśnie będę. Zrozumiał pan?

O'Brien starł chusteczką pot z twarzy.

- Pan nie wie, co mówi. Nie uda się panu wejść do łazienki. Niewierze, że pan tam był. Droga jest tak pilnie strzeżona, że nawet kot nie przejdzie.

- Nie przyszedłem drogą - odparł Ferrari. - Wszedłem po skale.

- Kłamię pan, nikt nie wejdzie po skale bez lin i haków! Ferrari uśmiechnął się.

- Zapomina pan, że mam szczególny talent do wspinaczki. O'Brien przypomniał sobie, jak mówiono mu kiedyś, że rodzice Ferrariego byli akrobatami cyrkowymi i Ferrari też przy nich trenował. Wiele lat temu zarobił dużo pieniędzy jako „człowiek-mucha”, dając pokazy niezwykle trudnych i niebezpiecznych wspinaczek.. Kiedyś spowodował zatrzymanie ruchu na Broadwayu, gdy dla reklamy wspinał się na Empire State Building.

- Będę tam, sierzancie - ciągnął Ferrari. - Niech pan nie popełni błędu. Czy mogę na panu polegać?

O'Brien zaczął coś mówić, ale urwał.

- Waha się pan? - kontynuował spokojnie Ferrari. - Dziwię się. W końcu, kim jest Weiner? Nędznym przestępcą i zdrajcą. Nie zamierza pan chyba ryzykować życia pańskiego syna dla takiej marnoty jak Weiner, prawda?

- Zostawmy mojego syna w spokoju - zacharczał O'Brien.

- Chciałbym, żeby tak było, ale muszę mieć pewność, że mogę liczyć na pana. Pan wie - ja nigdy nie blefuję. Proszę wybierać - jego życie albo życie Weinerja, jak pan woli...

O'Brien wpatrywał się bezradnie w tego potwornego, małego człowieczka. Jeśli Ferrari powiedział, że ma wybrać między swoim synem a Weinerem, to na pewno nie żartował. O'Brien wiedział, że nie może nic zrobić, żeby powstrzymać Ferrariego od zabójstwa dziecka czy tego Weinerja. Miał świadomość, że sam Ferrari nie dałby się zabić: dla

O'Briena był zbyt szybki i zręczny. Ferrari zawsze spełniał groźby. Nie było powodu przypuszczać, że tym razem blefuje...

- Postawmy sprawę jasno - ciągnął Ferrari. - Niech pan nie próbuje nawet zastawiać na mnie pułapki. Może się nie udać, ale obiecuję panu, że pański syn nie będzie żył dłużej niż pięć minut po tym, jak mnie pan zdradzi. Od tej chwili każdy jego ruch będzie śledzony. Jeśli coś mi się stanie, on też zginie. Nie chcę dramatyzować, ale sprawa tak właśnie się przedstawia. Pan zagra uczciwie, ja postąpię tak samo. Czy mogę liczyć na pana?

O'Brien skonstatował, że sytuacja jest prosta i klarowna, musiał dokonać wyboru: życie własnego syna albo życie Weinera.

- Tak - powiedział głosem, który nagle zrobił się twardy. - Może pan na mnie liczyć...

3.

Conrad niezupełnie miał rację mówiąc Forestowi, że Frances i Pete pokochali się.

Na pewno odnosiło się to do Pete'a. Miłość była dla niego czymś, czego jeszcze do tej pory nie przeżywał, dlatego poruszyła go do głębi. Ale zdawał sobie sprawę, że to uczucie nie mogło długo trwać i że właściwie nigdy nie będzie spełnione. Nie miał żadnych złudzeń, co do potęgi Maurera. Udało mu się bezpiecznie przeżyć osiem dni i już samo to uważał za prawdziwy cud. Wiedział dobrze, że ma niewiele dni do przeżycia, a i ten wąski margines, jaki mu pozostał, kurczył się wraz z upływem godzin. Jeszcze trochę i Maurer uderzy, a połączone straże policji, szczegółowy plan Conrada i rzekoma niedostępność myśliwskiego domku okażą się osłoną tak kruchą jak cienka tkanina, która ma chronić przed płomieniem lampy lutowniczej.

Pete przeżywał swoją miłość ze zdwojoną siłą, ponieważ miał świadomość, że gwałtownie się skończy, a to doświadczenie będzie jedynie snem na jawne, w którym główną rolę odegra jego wyobraźnia.

Kiedy tylko udawało mu się zobaczyć Frances, siedzącą w ogrodzie otoczonym wysokim murem, podczas gdy on stał w oknie swego pokoju, przywoływał sceny, w których byli razem, rozmyślał jak mogliby żyć, widział wspólny dom i dzieci, które by im się urodziły. To wszystko mogłoby stać się realne, gdyby nie jeden człowiek - Maurer; to z jego powodu takie marzenia stawały się niemożliwe do urzeczywistnienia.

Gdy Conrad powiedział mu, że może zobaczyć się z Frances, poczuł się zupełnie oszołomiony.

- Ona chyba myśli, że uratował jej pan życie - stwierdził Conrad, przechadzając się po pokoju, który zajmował Pete. - Chce z panem rozmawiać. Ja nie mam nic przeciwko temu, a pan?

Patrząc na szczupłego, młodego mężczyznę o poważnych oczach, z twarzą znaczoną wyraźnym znamieniem na policzku, Conrad uznał nagle, że jednak jest możliwe, by dziewczyna pokroju Frances go pokochała.

Podczas tygodniowego pobytu w domku myśliwskim Conrad miał okazję spotykać Frances codziennie i za każdym razem, gdy ją widział, wywoływała w nim coraz większą fascynację. Szczególnie teraz, kiedy złość jej minęła, wydawała się pełnym zaprzeczeniem Janey. Jej głos, ruchy, oczy, nawet sposób poruszania rękami wyrażały życzliwość i prostotę, jakich Conrad podświadomie szukał całe swoje życie.

Janey niesłuchanie go rozczarowała. Brała wszystko, nie dając nic w zamian, ale byłby jeszcze zadowolony i pielęgnował swoje uczucie, gdyby tylko nie żądała coraz większej uwagi, jakby uparła się zbadać rozmiary jego miłości.

A była ona kiedyś wystarczająco głęboka, ale w końcu obróciła się przeciwko niej - jej brakowi rozsądku i permanentnym samolubnym wymaganiom.

Conrad wmówił sobie, że Frances byłaby inna. Życie otworzyło mu oczy. Z całego serca pragnął, by czas się cofnął i przeklinał sam siebie, że był takim głupcem i przekonał Janey, żeby za niego wyszła.

Jego uczucie do Frances zabarwione było podobną goryczą jak miłość Pete'a, ponieważ tak jak i on, Conrad rozumiał, że nigdy nie zaowocuje. Na drodze Pete'a stał Maurer, dla niego przeszkodą była Janey.

Conrad mylił się sądząc, że źródłem zainteresowania Pete'em, wyrażanym przez Frances, jest miłość. Tak naprawdę opierało się ono na współczuciu.

Frances nie była zakochana w Pete'em, raczej litowała się nad nim. Przy jej wrażliwości to uczucie było silniejsze niż miłość. Doskonale wiedziała, że mógł ją zabić. Miał broń i okazję. Otrzymał rozkaz, że ma ją sprzątnąć i działając na własną rękę ryzykował życiem. Ten czyn zrobił na niej przejmujące wrażenie, a to wstrętne znamię, które zniekształcało jego twarz i dostarczyło zapewne niemało przykrości, sprawiało, że Frances miała chęć życzliwością wynagrodzić mu całe lata goryczy, jakiej doświadczał.

Gdy spotkali się w ogrodzie po południu, tego samego dnia, kiedy Conrad widział się z Forestem, Frances starała się być dla Pete'a niezwykle miła i serdeczna. Gawędzili jak wszyscy młodzi ludzie, którzy spotykają się po raz pierwszy. Onieśmieleni i skępowani po omacku szukali wspólnego tematu. Nie było to łatwe spotkanie. Z całą jaskrawością

uświadamiali sobie obecność strażników, którzy patrolowali ogród i spoglądali w stronę Pete'a niechętnym wzrokiem.

Pete z bolesnym zawstydzeniem odniósł się do własnego znamienia. Usiadł po prawej stronie Frances i cały czas odwracał głowę, by nie patrzyła na niego. Kiedy sam usiłował na nią spojrzeć, instynktownie zakrywał twarz ręką.

Frances wyczuła jego zakłopotanie, ale zrozumiała je jako dowód lekceważenia jej własnych uczuć i po chwili rozmowy nagle powiedziała: - Ten ślad na twojej twarzy, to znamię, prawda?

Wzdrygnął się i krew napłynęła mu do głowy, a oczy, które pociemniały z gniewu i urazy, lustrowały jej oblicze, usiłując doszukać się najmniejszej choćby intencji sprawienia mu przykrości.

Ale życzliwe spojrzenie i serdeczny uśmiech, jaki mu posłała, nie myliły go.

- Chcę o tym porozmawiać - powiedziała przyciszonym głosem, - ponieważ tak się tego wstydzisz, a nie powinienes. Zdaje mi się, że jesteś przekonany, iż patrzę na ciebie ze wstrętem. Tak nie jest. Czy wiesz, że rozmawiając z tobą spoglądam nieco wyżej i naprawdę tego nie widzę?

Pete popatrzył na nią i od razu skonstatował, że mówi szczerze. Przy tym doszedł do wniosku, że wypowiedziała słowa, które od dawna chciał od kogoś usłyszeć - wszystko jedno od kogo - ale nie wierzył, że to kiedykolwiek nastąpi. Był więc tak wzruszony, że musiał odwrócić głowę, starając się zapanować nad swoimi uczuciami.

Poczuł jej dłoń na swojej ręce.

- Nie chciałam cię urazić, ale czy nie można coś z tym zrobić? Czytałam gdzieś, jestem tego pewna, że to można usunąć. Nie pomyślałeś o tym?

- Wydaje mi się, że tak - odparł nie patrząc w jej stronę. - Ale to oznacza operację, a ja mam taką krew, że operacja staje się ryzykowna - odwrócił się i spojrzał na nią. - Wolałbym, żebyśmy nie mówili o mnie. Chcę porozmawiać o tobie... Nigdy nie spotkałem dziewczyny podobnej do ciebie. Jesteś naprawdę sympatyczna i uczciwa - zerknął na jej dłoń spoczywającą na jego ręce. - Zechciałaś mnie nawet dotknąć. Ale ja byłem głupi! Gdybym cię spotkał wcześniej, nie zrobiłbym tego, co zrobiłem. Ludzie tak mnie traktowali, posyłali mi takie spojrzenia, że w końcu związałem się z gangiem... - przysunął się do niej nieco bliżej. - Ale to też nieważne. Muszę ci o czymś powiedzieć. Ten Conrad chce, żebyś zeznawała przeciw Maurerowi. Musisz mi uwierzyć, że mówię prawdę. Ja to wiem. Nie słuchaj Conrada ani żadnego z tych glin. Oni niczego nie wiedzą, tylko tak im się wydaje. Są przekonani, że widziałaś Maurera w Dead End... Posłuchaj, nie chcę wiedzieć, czy go widziałaś, czy nie,

ważne jest, żebyś się nie przyznała, niezależnie od tego, jak było w rzeczywistości - ani przede mną, ani przed Conradem, ani kimkolwiek innym. Nawet przed własnym ojcem i matką. Nigdy nie wolno ci się przyznać, że go widziałaś, nawet przed samą sobą. Dopóki nic nie mówisz, masz jakąś szansę przeżycia. Szansa jest niewielka, ale jednak istnieje. Musisz zrozumieć jedno: jeśli Conradowi uda się wymóc na tobie, byś powiedziała, co wiesz - jeśli w ogóle cokolwiek wiesz - to nie będzie na ziemi takiej siły, która mogłaby cię uratować!...

Żarliwość, z jaką wypowiadał te słowa, wstrząsnęła trochę Frances, ale jej nie przestraszyła. Conrad wyraźnie powiedział, że niemożliwe jest, by ktoś się tu do niej dostał, a środki ostrożności, które podjął, zdecydowanie ją podbudowały.

- Wiem, że nie mogę tu zostać na zawsze - odrzekła - ale dopóki tu jestem, nic mi nie grozi, tobie zresztą też.

Pete spojrzał na nią bez wyrazu.

- Nie grozi? Tutaj? Oczywiście, że nie jesteśmy bezpieczni! Czy sądzisz, że Maurer nie osiągnąłby któregoś z nas, gdyby tego chciał? Ilu jest strażników? Dwudziestu? Nawet gdyby była setka, to i tak nie powstrzymałoby to Maurera. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby ktoś, na kogo wydał wyrok, nie zginął. Nikt! Nie znasz tego faceta. Przecież gdy tylko mu się powinie noga, syndykat go sprzątnie. Albo jego życie, albo nasze. Jestem przekonany, że wywinie się z tego...

- Nie sądzisz, że ponosi cię wyobraźnia? - zapytała Frances. - Naprawdę jesteśmy tu bezpieczni. Pan Conrad powiedział mi o wszystkich środkach ostrożności, jakie przedsięwziął. Nikt obcy nie może się tu zbliżyć...

Pete zacisnął pięści i uderzył nimi o kolana.

- Maurer przedrze się przez te straże, jak gorący nóż przez masło. Nie chciałem ci tego mówić, ale powiem, bo musisz wiedzieć, co cię czeka. Kiedy ostrzegłem cię przed Moem, zlekceważyłem rozkaz i Maurer nie pozwolił sobie na to, bym pozostał przy życiu. Gdyby mi darował, straciłby autorytet. Dlatego rozmawiałem z Conradem. Chciałem zyskać na czasie. Nie powiedziałem mu wiele, ale to wystarczyło, żeby mnie zatrzymali. Ale niedługo Maurer się o tym dowie. Mój czas się kończy. Nie mam żadnych złudzeń. Nie pożyję długo. Być może godzinę, może trzy lub cztery dni, ale nie dłużej...

Frances nagle poczuła mdłości. Chociaż Pete mówił o tym wszystkim ze stoickim spokojem, dostrzegła w jego oczach nagły przestraw, co uświadomiło jej, że wierzył we wszystko, co mówił.

- Ależ to niemożliwe, żeby cię tu sprzątnęli - powiedziała, ściskając jego rękę. - Nie powinieneś się bać. W jaki sposób mogą cię dostać?- Oczywiście, że mogą i dostaną. Jak będą gotowi mnie wziąć, to wezmą...

- Ale jak? Przy tej całej policyjnej obstawie? Pete wzniosł w górę ręce w geście rozpaczony.

- Ty myślisz, że wierzę któremukolwiek z nich? Ktoś po prostu mnie sprzeda, jeśli tylko Maurer zaproponuje wystarczająco dużo forsy. Maurer mógłby ich wszystkich kupić, gdyby tylko chciał. Nadejdzie taki moment, że zapłaci im, by znaleźli stosowne wyjście z sytuacji. Do tej pory tak się robiło, teraz nie będzie inaczej...

- Ale Maurerowi nie uda się do nich dostać! - próbowała go uspokoić. - Pan Conrad zapewnił mnie, że policjanci nie dadzą się przekupić.

- Tak, mnie też zapewniał, ale ja nawet jemu nie ufam. Równie dobrze sam mógłby mnie sprzedać.

- Kompletna bzdura - ostro zareagowała Frances. - Nie uwierzę w to ani przez chwilę. Fantazjujesz Pete...

- Gdy zginę - odrzekł Pete cicho - pamiętaj, proszę, co ci powiedziałem. I błagam, nie zapomnij: twoją jedyną szansą przeżycia jest milczenie. Jeśli dasz się przekonać Conradowi i powiesz mu, - co chce wiedzieć, żadna siła na ziemi cię nie uratuje. Proszę cię, pamiętaj o tym! Nikt, rozumiesz? Organizacja nigdy nie pozwoli, abyś znalazła się w sądzie w charakterze świadka. Nie mów więc nic, nie przyznawaj się do niczego, a może wtedy Maurer uwierzy, że nie stanowisz zagrożenia i da ci spokój. To twoja jedyna szansa. Proszę cię, pamiętaj o tym...

- Tak, oczywiście - odpowiedziała Frances łagodnie. - Ale ty także będziesz żył. Nie wolno ci tak myśleć...

Pete poderwał się raptownie.

- Zobaczysz, mój czas się kończy... Jeszcze jedną rzecz chciałbym ci powiedzieć: jesteś jedyną dziewczyną, która była dla mnie miła, jedyną, i kocham cię za to. Byliśmy razem bardzo krótko, ale dałaś mi więcej szczęścia niż doświadczyłem kiedykolwiek w życiu.

Gdy mówił, Conrad przeszedł przez trawnik kierując się w ich stronę, wtedy Pete nagle odwrócił się i pobiegł do domu, a trzech strażników za nim. Kiedy znalazł się u wejścia, niemal deptali mu po piętach.

Frances patrzyła za Pete'em z twarzą nieco pobladłą i wyrazem troski w oczach. Na widok Conrada nawet nie podniosła głowy.

- Co się stało, pani Coleman? - zapytał. - Wygląda pani na zmartwioną...

Nadal nie patrzyła na niego.

- On nie wierzy, że jest bezpieczny...

- Wiem - Conrad usiadł obok niej i zapalił papierosa. - To typowy neurastenik. Posiedzi tu parę tygodni i wreszcie przekona się” że jednak nic mu nie grozi. To wręcz niesamowite, co może działać sugestia. Jest tak przekonany o potędze Maurera, że w żaden sposób nie można zmienić jego myślenia. Proszę się nie martwić o niego. Nic mu się nie stanie...

Popatrzyła na niego z wdzięcznością. Opanowany głos Conrada nappełnił ją ufnością.

- Mnie też nic się nie stanie? Conrad uśmiechnął się.

- Oczywiście, ale z panią mam inny problem. Nie mogę jej tu dłużej trzymać. Niebawem będę musiał rozważyć, co mam z panią zrobić - popatrzył na swoje ręce i zmarszczył brwi. - Jedynym sposobem na rozwiązanie zarówno pani problemu, jak i Weinera, byłoby zaarrestowanie Maurera. Obojgu wam przestanie zagrażać, jeśli tylko uda mi się wsadzić go za kratki. Mógłbym wtedy zatrzymać was w charakterze świadków i chronić do końca procesu. Po skazaniu Maurera mógłbym załatwić pani wyjazd do Europy, gdzie przebywałaby pani do czasu, aż sprawa przycichnie. Później mogłaby pani wrócić i zacząć życie od nowa nie będąc narażona na żadne niebezpieczeństwo. Nie mogę jednak skazać Maurera, dopóki pani nie złoży przeciw niemu zeznań...

Zauważył, że wyprostowała się jak kobra.

- Jestem prawie pewien, że widziała pani Maurera w Dead End - kontynuował, zanim zdążyła odpowiedzieć. - Domyślam się, że ma pani jakieś osobiste powody, aby unikać rozgłosu, jaki niewątpliwie zyska ten proces. Czy mogłaby mi pani zaufać i pozwolić, żebym jej pomógł?

Frances nie odpowiadała. Jeszcze bardziej pobladła, ręce zaczęły jej drżeć.

- Proszę posłuchać - mówił dalej spokojnie - jesteśmy tu sami. Nikt nie będzie słyszał treści rozmowy. Nie ma żadnych świadków. Czy zaufa mi pani? Proszę zapomnieć, że jestem oficerem policji. Porozmawiajmy prywatnie. Niech pani wyłoży karty na stół i pozwoli sobie doradzić. Daję pani moje słowo, że nie zrobię użytku z tego, co pani powie, jeśli pani nie zechce... Czy mogę być bardziej u czci wy?

Zobaczył, że zawahała się i przez krótką chwilę miał wrażenie, że wreszcie się mu uda.

Ale Frances przebiegała myślami to, co powiedział jej Pete: „Tylko jedno jest ważne: nie możesz przyznać się do tego, że widziałas Maurera - ani przede mną, ani przed Conradem, ani kimkolwiek innym. Nawet przed własną matką i ojcem. Nigdy nie wolno ci się przyznać,

że go widziałaś - nawet przed samą sobą. Dopóki nic nie mówisz, masz jakąś szansę przeżycia. Musisz zrozumieć jedno: jeśli Conradowi uda się wymóc na tobie, byś powiedziała, co wiesz - jeśli w ogóle wiesz - to nie będzie na ziemi takiej siły, która mogłaby cię uratować!”

Wstała.

- Nie mam panu nic do powiedzenia. Pójdę już, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Bardzo tu gorąco...

Odwróciła się na pięcie i poszła w kierunku domu, odprowadzana wzrokiem Conrada.

Rozdział VIII

Dolores wyczuwała, że Gollowitz błądzi myślami gdzieś daleko. Nie wyglądał na zadowolonego, że ją widzi, jak by sobie tego życzyła. Wybrała niziutki fotel i usiadła, we właściwym momencie poprawiając spódnicę. Spostrzegła, jak wzrok Gollowitza powędrował w stronę jej kolan, pozwoliła więc chwilę zmierzyć je wzrokiem, po czym przykryła nogi, wygładzając tkaninę ręką.

- A więc nie miałaś wiadomości od Jacka? - zapytała. Gollowitz pokręcił głową.

- Ani słowa. - Potarł tłusty podbródek, zastanawiając się, czy byłoby bezpiecznie podejść i ucałować ją. Nie miał jednak pojęcia, gdzie przebywa Seigel i bał się, że w każdej chwili mógłby wejść. Z żalem zdecydował więc, że nie będzie ruszał się z miejsca. - Wołałbym, żeby mnie zawiadomił, gdzie jest. Nie lubię żyć w nieświadomości...

- Ale przecież doskonale sobie radzisz, prawda, Abe? - zapytała patrząc na niego z wyrazem troski w oczach. - Chyba się nie martwisz, co?

- Pewnie, że się martwię - odpowiedział z zaciętością. - Ale kto by się nie martwił? Nawet Jack byłby zdenerwowany, gdyby musiał zajmować się tą sprawą. Jeśli nie dostaniemy tej dziewczyny...

Dolores pośpiesznie zdecydowała, że nie zamierza słuchać ani o dziewczynie, ani planach Gollowitza. Im mniej wiedziała, tym bardziej była bezpieczna, zwłaszcza gdyby Gollowitz popełnił jakikolwiek błąd.

- W porządku, nie ma to żadnego znaczenia - powiedziała. - Jestem pewna, że sobie poradzisz, kochanie - skrzyżowała zgrabne nogi. - Wpadłam, żeby się dowiedzieć, czy były jakieś wiadomości od Jacka - otworzyła torebkę, spojrzała do wnętrza i ściągnęła brwi. - Zdaje się, że kończą mi się pieniądze. Czy Jack mówił ci, żebyś się mną opiekował?

Gollowitz potrząsnął głową.

- Nie, nic nie mówił. Myślę, że zapomniał. Ale nie ma problemu, Dolly. Ile potrzebujesz?

- Czy to będą twoje pieniądze? - popatrzyła na niego wielkimi uwodzicielskimi oczami. - Uważam, że nie powinnam sobie pozwolić na to, byś...

- Ależ Dolly, nie spierajmy się o takie rzeczy - wyciągnął portfel i położył stertę banknotów na biurku. - Urządza cię pięć setek?

- Oczywiście - wstała i podeszła do niego. - Abe, kochanie, jesteś dla mnie bardzo miły. Nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie.

Zapach jej subtelnych perfum sprawił, że usta spierzchnęły mu z pożądania. Kiedy nachyliła się, zobaczył piersi, które falowały pod miękką tkaniną sukienki.

Właśnie podnosił się z krzesła z przekrwioną twarzą i błyszczącymi oczami, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Seigel z Ferrarim.

Dolores chwyciła pieniądze i wrzuciła do torebki. Nie rozglądała się. Twarz miała spokojną, a wzrok nieco rozbawiony, gdy zobaczyła Gollowitza, usiłującego opanować oszołomienie. - Przepraszam - bąknął Seigel. - Nie wiedziałem, że jest pan zajęty.

- Właśnie wychodzę - Dolores odwróciła się do niego z uśmiechem. Jej wzrok napotkał wpadnięte, błyszczące oczy Ferrariego i uśmiech zamarł jej na ustach - Ja... ja... właśnie odbierałam pieniądze. - Nigdy dotąd nie zdarzyło się, by czuła się zakłopotana, ale ten upiorny karzeł, rozbierający ją wzrokiem, wyraźnie ją przestraszył.

- Wejdźcie, wejdźcie - powiedział Gollowitz, starając się, by zaproszenie brzmiało w miarę serdecznie.

- W porządku, Dolly. Jeśli jeszcze będę mógł coś zrobić dla ciebie pod nieobecność Jacka...

Dolores skinęła głową i podeszła do drzwi. Musiała przejść obok Ferrariego, więc podświadomie okrążyła go dużym półkolem, byleby tylko nie podchodzić zbyt blisko.

Ferrari zmierzył ją wzrokiem, spojrzał na jej długie nogi, potem przejechał kościstym palcem po nosie. Gdy zamknęła za sobą drzwi, zapytał:

- Kim jest ta mała?

- To pani Maurer - odpowiedział Seigel. - Nie wiedział pan? Ferrari uniósł brwi, podszedł do fotela przy biurku i usiadł. Usadowił się tak, że stopy zwisały mu kilka cali nad podłogą.

- Wygląda na to, że Maurer dba o swoje noce nie mniej niż o dnie - powiedział i wykręcił wąskie wargi w chytrym uśmiechu.

- Co nowego? - Gollowitz zapytał ostro, z poczerwieniałą twarzą.

- Nowego? - powtórzył Ferrari, spoglądając na niego. - Cóż, wszystko w porządku, Weiner pójdzie dziś wieczorem - złożył szponiaste palce na podolku. - Dokładnie o dziesiątej. Seigel i Gollowitz popatrzyli na niego.

- Chyba pan żartuje, co? - zapytał zaskoczony Seigel. Ferrari zignorował go.

- To będzie prosta robota - powiedział najwyraźniej z siebie zadowolony - Jedna z łatwiejszych w mojej karierze.

- Jak to będzie zrobione? - zapytał Gollowitz ściszym głosem.

- Musiałem skorzystać z pomocy od wewnątrz - wyjaśnił Ferrari. - Było to konieczne. Przekonałem sierżanta O'Briena, żeby mi pomógł...

- O'Briena? - wrzasnął Gollowitz. - Ależ jemu nie powinien pan ufać. Nam nigdy się z nim nie udało...

Ferrari uśmiechnął się.

- Pewnie nie udało się wam znaleźć jego wyjątkowo słabego punktu. Każdy ma taki... O'Brien ma syna. Tak się składa, że bardzo go lubi. Ja też mam syna i stąd wiem, jaką wartość dla ojców mają ich synowie, czasami są cenniejsi niż żony. Mężczyzna lubi mieć świadomość, że po śmierci jego ród nie wygaśnie. O'Brien nie jest wyjątkiem. Dlatego zgodził się pomóc.

- Niech mnie diabli! - wykrzyknął Seigel z podziwem w głosie. - Nawet nie wiedziałem, że on ma syna.

- Czy to będzie nieszczęśliwy wypadek? - Gollowitz nie krył zaciekawienia.

- Oczywiście. Weiner zasłabnie w wannie. Dostanie się pod wodę i - niestety - utonie. Czy wam to odpowiada?

Twarz i głos Ferrariego były tak beznamienne, że Gollowitz i Seigel wymienili niespokojne spojrzenia.

- To wspaniale - stwierdził Gollowitz. - Na pewno dzisiaj wieczorem?

- O dziesiątej. Weiner bierze wtedy kąpiel. Taki ma zwyczaj.

- Ale jak pan dostanie się do łazienki? - wtrącił się Seigel. - Wydawało mi się, że to miejsce jest dobrze pilnowane.

Ferrari wzruszył ramionami.

- Do łazienki dostać się nie będzie trudno. Okienko jest małe, ale ja też nie jestem duży. Sęk w tym, że łazienka przed wejściem Weinerja jest przeszukiwana. Dlatego właśnie musiałem pozyskać O'Briena do współpracy. On dzisiaj będzie sprawdzał łazienkę...

- No tak, w porządku, oddaję sprawę w pańskie ręce - powiedział Seigel. - Naprawdę uważa pan, że się uda?

- Nigdy nie nawaliłem.

- A co z dziewczyną? - Gollowitz zapytał ochryplym głosem. - Co zamierza pan z nią zrobić?

- Nie bądźmy tacy niecierpliwi. Po kolei. Dla niej muszę opracować specjalny plan. Po śmierci Weinera wzmocnią strażę. To intrygujące zadanie... - jego zapadnięte oczy wnikliwie obserwowały Gollowitza. - Ale z nią też sobie poradzę. Obiecuję wam. Może to potrwać jakiś czas i trzeba się będzie mocno nagłowić, ale też się uda - ześliznął się z krzesła. - Chyba się zdrzemnę, bo muszę zarwać trochę nocy. Zastanę was tutaj o wpół do jedenastej? Będę miał dla was wiadomość.

Gollowitz skinął głową.

Ferrari podszedł do drzwi, otworzył je, po czym odwrócił się i spojrzawszy kolejno na Gollowitza i Seigela wyszedł z pokoju.

2.

Noc była gorąca i duszna, nie czuło się najłżejszego powiewu wiatru. Niebo zawieszane było ciężkimi, czarnymi chmurami. Powietrze, cały dzień gęste i nieruchome, z godziny na godzinę stawało się gorętsze i naładowane elektrycznością.

Conrad, stanął na werandzie domku myśliwskiego i spojrzął w niebo.

- Będę zadowolony, gdy ta burza wreszcie nadciągnie - powiedział do Madge Fielding. - Przez tę pogodę czuję się jak mokra szmata...

Madge, która cały dzień spędziła z Frances, wyszła na werandę, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Pomimo ogólnej duchoty było tu nieco chłodniej niż wewnątrz domu.

- Idę sprawdzić strażników - powiedział Conrad. - Chcesz iść ze mną?

- Pójdę. Jak sądzisz, burza nie zacznie się przed naszym powrotem?

- Chyba nie. Wiatr się jeszcze nie zerwał. W każdym razie do wylotu drogi pojedę samochodem...

Madge wsiadła do auta i rzekła:

- Wiesz, czuję się, jakbym tu przebywała od miesięcy, nie od tygodnia. Jak myślisz, długo jeszcze będziemy musieli tu pozostać?

- Nie mam pojęcia. Też chciałbym wiedzieć. W sobotę przyjeżdża prokurator okręgowy. Chce rozmawiać z panną Coleman. Teraz wszystko zależy od niego. Nie wyszło mi z nią. Jeśli on też jej nie przekona, że powinna mówić, będziemy musieli się zastanowić, co z nią zrobić. Nie możemy jej dłużej tutaj trzymać. Ale jeśli zdecyduje się zeznawać, zostaniemy aż do samego procesu, prawdopodobnie trzy miesiące.

- Co o niej sądzisz, Paul? - zapytała Madge, gdy jechali podjazdem.
- Miła dziewczyna - odpowiedział ostrożnie. - A ty co o niej myślisz?
- Lubię ją i współczuję jej. Wydaje mi się, że ma jakiś kłopot.
- Powiedziała coś?

- Och, nie. Ale obserwowałem ją. Cały czas sprawia wrażenie, jakby zamierzała podjąć jakąś decyzję. Ciągłe jest pogrążona w myślach. Myślę, że się waha. Gdyby jeszcze trochę z nią porozmawiać, to kto wie, może by przeszła na naszą stronę. Bardzo martwi się o Weinera. Nieustannie pyta, czy mu nic nie grozi.

- On jest całkiem bezpieczny - odrzekł niecierpliwie. - Problemy zaczną się dopiero, gdy wezmą go do sądu. Z pewnością będą próbowali odbić go w drodze. To ich jedyna szansa...

Zwolnił, gdyż w świetle reflektorów ukazała się masywna brama.

Przy bramie stało pięciu policjantów zaopatrzonych w pistolety maszynowe. Gdy Conrad zatrzymał się, jeden z nich podszedł do samochodu.

- Wszystko w porządku? - Paul zapytał przez otwarte okno.
- Tak jest, nic nowego.
- Nadchodzi burza. Miejcie oczy otwarte. Wszyscy mają peleryny?
- Tak jest.

- Zostańcie tutaj nawet w razie ulewnego deszczu. Dwóch wystarczy. Trzech pozostałych może się gdzieś schronić. Ale dwaj muszą pozostać tu przez całą noc.

- Tak jest.

- W porządku. Jadę teraz na następny posterunek. Policjant zaszalutował i poszedł otworzyć bramę.

Conrad przejechał wąską drogą, aż dotarł do następnych wartowników. Porozmawiał chwilę, nakazując dalszą czujność, sprawdził działanie reflektora, stwierdził, że wszyscy są na swoich miejscach, po czym skręcił na piaszczystą dróżkę, prowadzącą na szczyt stromej skały. W jej połowie znajdował się kolejny posterunek.

Conrad i Madge wysiedli z samochodu i zaczęli się wspinać ścieżką na skraj pionowego urwiska.

Mieściły się tam trzy budki strażnicze, w odległości około stu jardów jedna od drugiej. Wartownicy patrolowali teren, a kiedy jeden z nich w słabym świetle dostrzegł Conrada, podszedł bliżej.

Conrad zostawił Madge i podążył z nim wzdłuż skały.- Uważajcie dobrze dziś wieczorem - ostrzegł. - To będzie ciężka noc. Bardzo prawdopodobne, że właśnie dziś będą próbowali dostać się do domu, jeśli oczywiście mają taki zamiar.

- Tędy nie przejdą - odpowiedział wartownik. - Sam uprawiałem wspinaczkę. Nikt nie potrafiłby tu wejść. Obejrzałem teren dokładnie. To absolutnie niemożliwe.

- W każdym razie miejcie oczy szeroko otwarte. Wasze latarki działają?

- Sprawdzone. Wszystkie w porządku.

Kiedy Conrad wrócił do Madge, na twarzy poczuł lekki powiew ciepłego wiatru.

- Czujesz? Burza jest chyba niedaleko - popatrzył na zaciągnięte niebo. Ogromne, poczerniałe chmury zbiły się w masę i zaczynały wędrować. - Wracajmy, w przeciwnym razie zmokniemy...

- Na pewno są bezpieczni - pomyślała głośno Madge w drodze powrotnej do domku myśliwskiego. - Nikt nie może się do nich dostać, prawda, Paul?

- Nie martw się - odparł. - Cieszę się, że wszystko w porządku. Nie sądzę, żeby próbowali działać, dopóki oboje są tutaj. Maurer będzie starał się ich odbić, gdy będą na otwartej przestrzeni. Wtedy naprawdę musimy być czujni...

Conrad odstawiwszy samochód do garażu wszedł z Madge do domku i w tym momencie dał się słyszeć daleki grzmot. Co jakiś czas mógł teraz zobaczyć któregoś z wartowników z policyjnym psem krążących między drzewami.

- Jednak burza jest jeszcze daleko - powiedział, gdy minęli schody i znaleźli się na werandzie. - Lepiej wezmę pelerynę...

- Nie będziesz już chyba dzisiaj wychodził.

- Tylko wtedy mogę mieć pewność, że ludzie są na swoich miejscach. Jak dojdą do wniosku, że się nie pojawię, schowają się przed deszczem, gdy tylko zacznie padać.

Conrad spostrzegł niewyraźną postać, siedzącą na werandzie.

- To ty, Tom? - zapytał.

- Tak - odpowiedział O'Brien.

- Pójdę już - rzekła Madge. - Panna Coleman jest już na górze. Widzę światło w jej pokoju. Dobranoc, Paul. Dobranoc, sierżancie.

Conrad podszedł do O'Briena i usiadł obok niego na krześle.

- No, no, ale duszno...

- Będzie burza - odparł O'Brien. Conrada uderzyła niespokojna nuta w jego głosie.

- ... ale nie wcześniej niż za godzinę. Która jest?

- Za piętnaście dziesiąta... Nadciągnie znacznie szybciej niż ci się wydaje. Założę się, że za dziesięć minut dotrze tutaj. Możesz być pewny... - mówił dalej. Nagle uderzył grzmot. - Szybko nadchodzi...

- U ciebie wszystko w porządku, Tom?

- Chyba tak.

Jego matowy, zdenerwowany głos wprowadził Conrada w stan niepokoju.

- Dobrze się czujesz? - zapytał usiłując dojrzeć jego twarz w ciemności.

- Oczywiście - odpowiedział krótko O'Brien i podniósł się z krzesła. - Myślę, że ten łobuz będzie chciał teraz wziąć kąpiel. Dochodzi dziesiąta.

- Pójdę z tobą - stwierdził Conrad w dalszym ciągu zaniepokojony widocznym podenerwowaniem O'Briena. - Chcę zrobić obchód przed wyjściem.

- Pójdiesz jeszcze raz?

- Tak, chyba około trzeciej.

Światło błyskawicy rozświetliło werandę i Conrad z przerażeniem dojrzał bladą twarz O'Briena.

- Na pewno dobrze się czujesz, Tom?

- Do cholery, tak! Możliwe, że z powodu tej burzy boli mnie głowa, ale nic mi nie jest - powiedział O'Brien i wytarł chusteczką spoconą twarz. - Nigdy nie lubiłem burzy...

Grzmot, jaki rozległ się teraz, wstrząsnął całym domem.

- Ho, ho, już jest nad nami... - rzekł Conrad.

O'Brien wszedł do hallu, gdzie siedział strażnik, uzbrojony w automat. Conrad podążył za nim i razem wstępowali po schodach.

- Tak gorąco, że można by usmażyć jajecznicę - zauważył Conrad, wyjmując chusteczkę, żeby wytrzeć twarz.

O'Brien nic nie odpowiedział. Zastanawiał się, czy Ferrari dostał się już do łazienki. Usta miał suche i czuł, jak drżą mu mięśnie nóg, a serce wali o żebra.

Przeszli przez oświetlony korytarz, gdzie następny strażnik siedział zwrócony w kierunku schodów. - Posłuchaj, pada deszcz - zagaił Conrad. - No, miałeś racje, musi tam być potworna wichura.

Wyraźnie słyszeli krople bębniące po dachu. Conrad stanął na chwilę, żeby wyjrzeć przez okno na podeście. Strugi wody spływały po okiennicach i rozpryskując się o pochyły dach tworzyły puchową mgiełkę. Strzępiaste błyski oświetlały przemoczone drzewa i murawę. Nagle grzmot przetoczył się i rozsypał w ogłuszającym crescendo.

O'Brien otworzył drzwi do pokoju Pete'a.

Pete stał w płaszczu kąpielowym, z ręcznikiem przewieszonym, przez ramię, wyglądając przez okno.

Dwaj strażnicy grali przy stole w remika, a trzeci z automatem w rękach wpatrywał się w jego plecy z wyrazem nudy i obojętności.

Na dźwięk otwieranych drzwi Pete obejrzał się. Dwaj strażnicy zastygli w bezruchu, a ich ręce smyknęły do kieszeni. Strażnik z automatem poderwał się z krzesła.

- W porządku, spocznij, - powiedział Conrad wchodząc. Cieszyła go taka czujność. - Ale noc, nie?

- Okropna - odrzekł strażnik z pistoletem maszynowym. Conrad zauważył, że Pete patrzy ponad jego głowę na O'Briena, w jego spojrzeniu dostrzegł nie ukrywaną podejrzliwość. Szybko zerknął na sierżanta i ze zdumieniem skonstatował, że jego twarz zrobiła się kredowobiała, a w oczach pojawił się bezlitosny błysk, jakiego Conrad nigdy dotąd u niego nie widział.

- Chodź - wykrztusił O'Brien przez zaciśnięte zęby. Wyszedł z pokoju, a Pete podążył za nim.

Dwaj strażnicy podjęli przerwana grę, a trzeci - z automatem sięgnął po papierosa.

Conrad wahał się przez chwilę, po czym wyszedł w ślad za Pete'em, który krocząc tuż za O'Brienem, skierował się do łazienki usytuowanej za zakrętem korytarza, parę stopni poniżej. Po drodze mijali pokój Frances, który sąsiadował z łazienką.

Conrad dogonił Pete'a w momencie, gdy O'Brien nacisnął klamkę i otwierał drzwi.

- Zostań tu - O'Brien zwrócił się do Pete'a. Zaświecił światło i wszedł.

Conrad minął Pete'a i stanął w progu, patrząc na O'Briena, który obejrzał się przez ramię. Z największym wysiłkiem udało mu się zachować spokój.

O'Brien otworzył ogromną szafę, zajrzał, potem podszedł do zasłonki z prysznicem. Serce biło mu z taką gwałtownością, że z trudem łapał powietrze.

Odwrócił się plecami do drzwi, częściowo zasłaniając szerokimi ramionami wnętrze. Rozsunął zasłonę i zajrzał.

Mimo, iż spodziewał się zobaczyć tam Ferrariego, na widok głęboko osadzonych, jadowitych oczu, serce podeszło mu do gardła.

Ferrari, znieruchomiały jak posąg, stał z pistoletem automatycznym w prawej ręce, celując prosto w brzuch O'Briena. Przez ułamek sekundy mężczyźni mierzyli się wzrokiem, po czym O'Brien opuścił zasłonę i wciąż uciekając przed spojrzeniem Conrada podszedł do umywalki i zaczął myć ręce.

Usłyszeli bliski grzmot, niebawem błyskawica przez małe okienko rozświetliła łazienkę jaskrawym blaskiem.

Conrad wszedł do środka.

- Też muszę się umyć - rzekł. - Do licha! Leje się ze mnie. O'Brien cofnął się i nie wzbudzając podejrzeń odciągnął Conrada od zasłonki.

- Myślisz, że tak będzie całą noc? - zapytał wycierając ręce. Ogromnie się starał, żeby wypaść naturalnie, ale Conrad ponownie uchwycił nutki niepokoju w jego głosie.

- Nie byłbym wcale zaskoczony - wziął ręcznik od O'Briena, spojrzał w górę i utkwiał wzrok w oknie. - Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie powinienem dołożyć tutaj jeszcze jednej kraty.

O'Brien całym wysiłkiem woli powstrzymywał się od spoglądania w kierunku prysznicza.

- Sądziysz, że ktoś mógłby się tędy przecisnąć? - zapytał starając się, by zabrzmiało to pogardliwie. - Przecież to niemożliwe.

Conrad podszedł do drzwi.

- Chyba tak - wyszedł na korytarz. - W porządku, Weiner, wejdz...

Pete wszedł do łazienki.

Kiedy O'Brien go mijał, ich oczy spotkały się i Pete doznał szoku. Co stało się temu facetowi? - myślał gorączkowo. Wyglądał, jakby zobaczył ducha.

Nagle poczuł, że oblała go zimna fala strachu. Jakiś wewnętrzny głos wyraźnie go ostrzegał. Zamarł, przerażony jak nigdy dotąd. O'Brien podszedł do drzwi. - Chwileczkę - wyjąkał z trudem Pete. - Ja... ja chyba... Jego słowa utonęły w ogłuszającym grzmocie, ale O'Brien widząc nagłą trwogę na jego twarzy, domyślił się, że Pete chciał powiedzieć, że zmienił zdanie i rezygnuje z kąpieli.

- Pośpiesz się - warknął i wyszedł na korytarz. - Nie mam zamiaru sterczeć tu przez całą noc.

Zanim Pete zdążył cokolwiek powiedzieć, O'Brien zatrzasnął za sobą drzwi.

- Tym cholernym łobuzom wydaje się, że cały świat się kręci wokół nich, jeśli tylko traktuje się ich jak ludzi...

O'Brien podszedł do Conrada i kontynuował podniesionym głosem:

- Każdego wieczora kąpiel... Kto, do diabła, to wymyślił? - mówiąc to oparł się plecami o drzwi, rękę trzymając na klamce. Czuł, że klamka poruszyła się, co znaczyło, że Pete usiłuje otworzyć.

- Może byłoby lepiej, żebyś poszedł zobaczyć, czy z dziewczyną wszystko w porządku? - zwrócił się do Conrada. - Przez tę burzę pewnie trochę jest zdenerwowana.

Pete gwałtownie szarpnął za klamkę, ale O'Brienowi siłą udało się przytrzymać drzwi.

- Tam jest Madge - odrzekł Conrad, zapalając papierosa. Nie dostrzegł pobladłej, nateżonej twarzy O'Briena. - Za chwilę tam pójde.

Kolejny grzmot przetoczył się nad domem i O'Brien usłyszał przez drzwi zduszony krzyk Pete'a.

- Co to było? - Conrad podniósł głowę.

- Grzmot - odrzekł O'Brien. - A myślałeś, że co? Mówiąc to poczuł, że nacisk na drzwi nagle ustał.

- Wydawało mi się, że ktoś krzyczał - odparł Conrad i poszedł korytarzem. Zatrzymał się przed drzwiami Frances i nasłuchiwał.

O'Brien stał bez ruchu, z bijącym sercem.

Potężny grzmot znowu rozległ się nad ich głowami. Szum deszczu, spływającego po szybach i bulgotanie wody w rynnach zagłuszały wszelkie inne odgłosy.

O'Brien usłyszał słaby jęk, dochodzący zza drzwi. Od tego dźwięku włosy zjeżyły mu się na karku. Odszedł od framugi, wyjął chusteczkę i wytarł nią twarz.

3.

Conrad wracał korytarzem.

- Wszystko w porządku. Gadają jak dwie papugi - powiedział, a widząc pobladłą, napiętą twarz O'Briena dodał: - Marnie wyglądasz, Tom. Idź się położyć. Ja zaczekam na Weinera.

- Nic mi nie jest - warknął O'Brien. - Na miłość boską, daj mi wreszcie spokój, dobrze? Położę się, jak ten drań skończy.

Conrad podsunął mu paczkę papierosów, ale O'Brien odmówił. Przez dłuższą chwilę obaj mężczyźni stali wsłuchując się w odgłosy burzy, potem Conrad zapytał:

- Jak tam twój chłopak, Tom?

- W porządku - O'Brien odwrócił się, rzucając na Conrada pośpieszne, nerwowe spojrzenie.

- Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad swoim cholernym szczęściem?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To co mówię. Zawsze chciałem mieć syna, ale Janey nie chce o tym słyszeć. Uważa, że to zniekształciłoby jej figurę.

- Z pewnością - O'Brien nie bardzo wiedział, co mówi. - Dziewczyny pokroju twojej żony nie lubią sobie zawracać głowy dzieciakami.

Conrad wzruszył ramionami.

- No, nie ma o czym mówić. W każdym razie chciałbym mieć syna, córkę zresztą też, jeśli chodzi o ścisłość.

O'Brien wytarł twarz chusteczką.

- Dlaczego nie idziesz się położyć? - zapytał, rozmyślając, jak długo jeszcze Conrad ma zamiar stać pod drzwiami łazienki - Jeśli chcesz o trzeciej znowu robić obchód, to powinieneś się przespać.

- Nie zasnąłbym przy tej burzy... Jak długo on tam będzie?

- Około dwudziestu minut... Ale grzmot...

- Tak chciałbym, żeby ta Coleman zdecydowała się mówić - stwierdził Conrad, gdy grzmot przetoczył się nad domem i zamarł w oddali. - Jestem pewien, że widziała Maurera.

- Nie wygląda na to, żeby chciała mówić. Co masz zamiar z nią zrobić?

- O tym będzie musiał zdecydować prokurator okręgowy... O'Brienowi serce gwałtownie zabiło, gdyż usłyszał plusk wody, dochodzący zza drzwi łazienki.

- Wiesz, ten Weiner mnie zastanawia - powiedział Conrad. - Wydaje mi się, że powodem jego wykolejenia się jest to znamię. Nie wygląda na urodzonego przestępcę, w każdym razie - nie jest taki, jak pozostali. Co on ma na sumieniu? Nie mamy żadnych dowodów, że kiedykolwiek popełnił jakieś przestępstwo. O ile mi wiadomo, specjalizuje się w kradzieżach samochodów dla gangu. Rozmawiałem z nim i sądzę, że będzie można sprowadzić go na uczciwą drogę.

- Do diabła z nim! - wrzasnął O'Brien z wściekłością. - Nie mam czasu na takich drani, a on nim jest. To, że facetowi przytrafiło się mieć znamię, nie usprawiedliwia złodziejstwa.

- Czy on nie powinien już wyjść? - zapytał Conrad, spoglądając na zegarek. - Jest tam ponad dwadzieścia minut.

- Nie śpieszy się. Conrad zastukał do drzwi.

- Pośpiesz się, Weiner! - zawołał.

O'Brien kłął w duchu na Conrada. Zastanawiał się, czy Ferrari zdążył już wyjść. Drżącą ręką zapalił papierosa.

Burza powoli ustawała. Od czasu do czasu rozlegał się jeszcze grzmot, ale te odgłosy dobiegały już z oddali. Deszcz ciągle bębnił o dach i bulgotał w rynnach.

O'Brien spostrzegł, jak Conrad nacisnął klamkę i zmarszczył brwi.

- On się zamknął! W tych drzwiach nie powinno być zamka, Tom.

- I co z tego!?! - odburknął O'Brien. Conrad ponownie zastukał.

- Jesteś gotów, Weiner? Cisza zaniepokoiła go.

- Hej, Weiner!

- Czym się tak gorączkujesz? - przerwał O'Brien.

- Dlaczego nie odpowiada?

- Może jest urażony... Już mu to wybiję z głowy, gdy wyjdzie.

- Hej, Weiner!

Conrad walił pięścią w drzwi, jednak ciągle nie było odpowiedzi, odsunął się więc parę kroków, a twarz mu zmartwiała.

- Chodź, Tom! Wywalimy drzwi!

- Spokojnie - odrzekł O'Brien. - Pozwól, że ja się zajmę tym chłystkiem.

- Tracimy czas...

Conrad sprężył się i całą stopą walnął w zamek. Drzwi zaskrzypiały, ale pozostały zamknięte.

- Ja to zrobię - rzekł O'Brien, przekonany, że Ferrari już wyszedł.

Zrobił krok do tyłu i całym ciałem uderzył, starając się wyważyć drzwi ramieniem.

Otworzyły się z trzaskiem i O'Brien z impetem wpadł do łazienki.

- Do diabła! - wykrzyknął Conrad, który wbiegł za nim. - Szybko, Tom, pomóż mi go wyjąć!

Pete leżał bezwładnie w wannie. Małe pomieszczenie pełne było pary. Głowę miał pod wodą, która w tym miejscu miała kolor lekko różowy.

O'Brien zbliżył się i wyciągnął korek. Chwycił Pete'a za włosy i unióśł jego głowę nad powierzchnię wody.

- Musiał chyba oszaleć, że wszedł do takiego wrzątku - mruknął. Położył rękę na piersi Pete'a, starając się wyczuć bicie serca, ale po chwili pokręcił głową. - On nie żyje, Paul.

- Ruszaj się! - ponaglił Conrad. - Ja wezmę go za nogi. Szybko! Wyciągnijmy go i spróbujmy uratować.

Wspólnymi siłami wyciągnęli Pete'a z wanny.

- Wynieśmy go na korytarz. Tutaj nie ma miejsca - powiedział. Przenieśli go na zewnątrz i położyli twarzą do ziemi. Conrad uklęknął i zaczął robić sztuczne oddychanie.

Strażnicy Pete'a opuścili jego sypialnię i stanęli obok, patrząc co się dzieje.

O'Brien oparł się o ścianę. Nogi miał jak z gumy i wiele wysiłku kosztowało go utrzymanie się w pozycji wyprostowanej.

Conrad kontynuował sztuczne oddychanie, wykonując miarowe ruchy. Nikt nie poruszył się, ani nie odezwał słowem. W oddali słychać było przetaczające się grzmoty. Deszcz nieco ustał.

Po kwadransie Conrad przycupnął na piętach i palcem dotknął tętnicy na szyi Pete'a. Potrzęsął głową.

- Niestety, chyba nie żyje. Wilson, chodź tu i zastąp mnie. Rób to dalej. Wy dwaj potem go zmienicie.

Strażnik podszedł i uklęknął obok martwego ciała. Zaczął rytmicznie uciskać plecy Pete'a.

Tymczasem Conrad wszedł do łazienki. O'Brien zbliżył się do drzwi i obserwował go. Conrad przystąpił do dokładnej rewizji.

- Na kurkach jest krew - powiedział. - Musiał pośliznąć się i uderzyć głową, potem stracił przytomność i wpadł pod wodę.

- Tak - odparł O'Brien. - Woda była zbyt gorąca.

Conrad wyprostował się i popatrzył na okienko. Jego badawcze, zdumione spojrzenie przyprawiło O'Briena o lodowaty dreszcz.

- Na co patrzysz? - zapytał

- Zastanawiam się, czy rzeczywiście zemdlął w wannie. Mógł mu ktoś w tym pomóc...

- Na litość boską! Jak?

- No właśnie, jak? - odparł Conrad i przeczesał włosy palcami. - Przecież nikt się tu nie schował, a gdyby ktoś usiłował wejść przez okienko, Weiner miałby dość czasu, żeby wezwać pomoc. - Odwrócił się gwałtownie i spojrzał na O'Briena. - Wydawało mi się, że słyszałem krzyk.

- Ja nie... a poza tym - nikt nie potrafiłby wejść przez to okno. Jest za małe. Nawet karzeł miałby trudności z dostaniem się, a wtedy Weiner miałby dość czasu, żeby uciec.

- Tak, wydaje mi się, że masz rację - skonstatował Conrad po chwili zastanowienia.

Wyszedł na korytarz.

- Żadnych oznak życia? - zapytał Wilsona, który przecząco pokręcił głową.

- Nie żyje, proszę pana. Gorąca woda, która dostała się do płuc, szybko go wykończyła...

Jeden ze strażników przyniósł koc i nakrył nim ciało.

- Do diabła! - rzekł Conrad z goryczą. - Tak staraliśmy się zapewnić mu bezpieczeństwo ze strony Maurera, a on musiał umrzeć przypadkiem.

Usłyszał jakiś hałas za sobą i obejrzał się przez ramię. Drzwi do pokoju Frances były otwarte na oścież, a ona sama stała na progu, wpatrując się w ciało Pete'a.

- Czy on nie żyje? - zapytała Conrada, który błyskawicznie do niej podszedł.

- Tak, nie żyje. Proszę wrócić do swojego pokoju. Nic już tu pani nie może zrobić.

Wyraz przerażenia, jaki pojawił się w oczach dziewczyny, wstrząsnął Conradem.

- Jak to się stało?

- Zemdlął podczas kąpieli. Woda była zbyt gorąca...

- Zemdlął podczas kąpieli? - powtórzyła z wolna. - Czy chce mi pan wmówić, że to był wypadek?

- Oczywiście, że wypadek... A teraz proszę wejść do pokoju.

Madge podeszła do drzwi i położyła dłoń na jej ramieniu, ale dziewczyna odsunęła się. Nadal wpatrywała się w Conrada błyszczącymi oczyma.

- Ten człowiek go zamordował! Pete powiedział, że on to zrobi, i zrobił! Pete wiedział, że umrze! Powiedział, że jeden z was da się przekupić i go wyda! Właśnie tak to się stało! On wiedział, że tak będzie! Wiedział! - Zaczęła płakać, a łzy spływały jej po bladej twarzy. - Powiedział, że nawet pana udałoby się im przekupić!

- Nie wolno pani tak mówić! - zareagował ostro Conrad. - To był przypadek. Nikt nie mógłby się tam dostać. Sierżant O'Brien i ja staliśmy cały czas pod drzwiami. Nikt nie mógłby wejść przez okno... Zemdlął, bo woda była za gorąca, i uderzył głową o kurek.

Patrzyła na niego z drżącymi ustami.

- Pan naprawdę w to wierzy?

- Tak właśnie było.

- Ale to nieprawda! Zamordowano go! Nie pozwoli pan chyba, żeby to uszło płazem, prawda? Nie pozwoli pan na to!?

- O kim pani mówi?

- O Maurerze! To Maurer zrobił! Pete wiedział, że tak będzie.

- Maurer nie zabił Weinera - odparł Conrad cierpliwie. - To są tylko pani domysły. To czysty przypadek.

- Ależ to on go zabił!

- Proszę mnie teraz posłuchać i pójść się położyć. Jest pani zdenerwowana, i ja to rozumiem. Musi to pani zostawić nam... Nie jest możliwe, żeby ktoś dostał się do Weinera. Jestem tego pewien.

Frances stała jeszcze długą chwilę patrząc na Conrada z rękami zaciśniętymi w pięści. Kiedy patrzył na nią, wydawało mu się, że na jego oczach znacznie się postarzała i z trudem rozpoznawał jej rysy.

- Powiem panu coś - powiedziała szeptem, ale z zawziętością w głosie. - Maurer musi za to zapłacić. Nie zależy mi, co się ze mną stanie. Powiem to, co chcecie wiedzieć. Widziałam Maurera w Dead End. To on zabił June Arnot. Widziałam go!

4.

Charles Forest i kapitan McCann wysiedli z policyjnego samo - chodu i zakrywając ramionami głowy przed deszczem wbiegli po schodach na werandę domku myśliwskiego. Conrad wyszedł im na spotkanie.

Trzej mężczyźni weszli do przestronnego przedpokoju, Kiedy McCann zdejmował płaszcz deszczowy, Conrad rzekł:

- Ona chce mówić! Wreszcie dostaniemy Maurera! Była świadkiem morderstwa!

McCann znieruchomiał i z ręką na w pół wyciągniętą z rękawa wpatrywał się w Conrada. Jego tłusta twarz spurpurowiała, a oczy błysnęły czerwienią.

- W takim razie, do diabła, dlaczego wcześniej nic nie powiedziała? - warknął.

- To cała historia - odrzekł Conrad. - Opowiem ją wam, a potem pójdziemy na górę.

McCann rzucił płaszcz na fotel i powolnym, ociężałym krokiem podszedł do kominka. Jeśli to prawda, myślał, Maurer jest skończony. Kapitan nie miał złudzeń, że Maurer idąc na krzesło elektryczne wsypie całą organizację, a przy okazji nie przemilczy faktu, że płacił kiedyś McCannowi.

Myśl o tym przeraziła McCanna, ale całym wysiłkiem woli starał się tego nie okazywać.

- Jesteś pewien, że nie kłamie? - spytał zaciskając pięści za plecami.

- Tak, jestem tego pewien - stwierdził Conrad - ale osądzisz sam, gdy usłyszysz, co ma do powiedzenia.

Forest usiadł i wyjął cygarniczkę.

- Powiedz mi w pierw o Weinerze - odezwał się.

- Nie ma co opowiadać - powiedział Conrad. - To był cholerny pech. Weiner kąpał się dziś wieczorem. O'Brien i ja zaprowadziliśmy go do łazienki. Zanim wszedł Weiner, O'Brien dokładnie przeszukał pomieszczenie. Czekaliśmy pod drzwiami. Po dwudziestu minutach kazałem Weinerowi wychodzić, ale nie odpowiadał. Okazało się, że drzwi były zamknięte. Wyważyliśmy je i znaleźliśmy go w wannie. Lekarz stwierdził powierzchowne skaleczenie z

tyłu głowy. Uważa, że Weiner wszedł do wanny, zemdlał, przewrócił się i uderzył tyłem głowy o kurek.

- Zazwyczaj wchodzi się twarzą do kurków... - zareagował Forest.

- Tak, ale widocznie Weiner nie... Tak czy inaczej - kiedy wyciągnęliśmy go z wody, już nie żył i nic nie mogliśmy zrobić...

- Jesteś całkiem pewien, że nikt nie mógł się do niego dostać, Paul? Wydaje mi się dziwne, że drzwi były zamknięte...

- Mnie też to dziwi, ale jestem przekonany, że nikt nie mógł wejść do łazienki. Okno jest stanowczo za małe. Karzeł, żeby się tam precyzyjnie, musiałby poświęcić na to dobre dziesięć minut, a w tym czasie Weiner mógłby wszcząć alarm. Nie, jestem zupełnie pewien, że to przypadek.

- Hmm, to nam bardzo komplikuje sprawę - kontynuował Forest. - Potrzebne nam były zeznania, a Weiner mógł ich dostarczyć...

- Zaczekaj, aż usłyszysz co panna Coleman ma do powiedzenia. Sądzę, że zgodzi się pan ze mną, iż jej zeznania zupełnie wystarczą.

- Więc na co czekamy? - burknął McCann.

- Chciałeś mi o czymś powiedzieć, Paul? - wtrącił się Forest, ignorując McCanna.

- Tak - Conrad zapalił papierosa i mówił dalej:

- Pamięta pan jak sugerował, że ona milczy z jakichś osobistych powodów? Miał pan rację. Ma bardzo osobisty powód, by milczeć i nie przyznawać się, że widziała Maurera. Teraz gdy znam tę historię, nie mogę jej całkowicie potępiać. Chciała uniknąć rozgłosu, Nie nazywa się Coleman. Ma nazwisko znane na całym świecie. Jej ojcem był David Taleteller.

Forest i McCann spojrzeli na Conrada.

- Masz na myśli wampira z Bostonu? - zapytał Forest i Conrad zauważył, że jest zaskoczony.

- Tak, to ten sam człowiek. Nie wydaje mi się, by znalazł się ktoś czytający gazety, kto nie słyszał o Taletellerze i nie był zbulwersowany jego okrutnymi mordami na dzieciach... Przypomina pan chyba sobie: w końcu tłum przyłapał go na gorącym uczynku i zlinczował, zdemolowano mu dom, zabito żonę i o mało nie dobrano się do jego córki. Tą córką jest Frances Coleman... Czy teraz pan rozumie dlaczego tak panicznie bała się rozgłosu? Udało jej się ukryć własną tożsamość i samotnie rozpoczęła nowe życie. Przez ostatnie sześć lat żyła jako Frances Coleman i do czasu, gdy odwiedziła June Arnot, wierzyła, że tak będzie nadal. Potem June Arnot zamordowano, a Frances przypadkowo stała się świadkiem tej zbrodni. Zdawała sobie sprawę, że jeśli złoży zeznania, dziennikarze dowiedzą się kim jest naprawdę i

jeszcze raz spadnie na nią straszliwe piętno pokrewieństwa z najohydniejszym zabójcą stulecia. Nie potrafiłaby stawić temu czoła, dlatego nie chciała się przyznać, że widziała Maurera. Nie mogę mieć chyba o to pretensji?

- Właściwie nie - odparł Forest powoli. - To rzeczywiście bardzo szczególny przypadek. Dlaczego zmieniła zdanie? Mówisz, że jest skłonna złożyć zeznania?...

- Tak, złoży zeznania. Uważa, że Maurer zabił Weinera i nie chce, żeby mu to uszło płazem.

- A jednak zgodziła się, żeby uszło mu płazem morderstwo June Arnot - rozgniewał się McCann. - To nie trzyma się kupy...

- June Arnot nic dla niej nie znaczyła, a Weiner tak. Uratował jej życie, jego śmierć nią wstrząsnęła. Osobiście uważam, że łamała się już od kilku dni, a jego śmierć przypieczętowała tylko decyzję. To reakcja psychologiczna.

- Na jakiej podstawie ona uważa, że Maurer zabił Weinera? - zapytał ostro Forest.

Conrad wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Weiner powiedział jej, że Maurer go wykończy i chyba mu uwierzyła. W żaden sposób nie uda mi się zmienić jej zdania. Nie sądzę, żeby wiedziała, jak Maurer go załatwił, ale jest absolutnie przekonana, że on tego dokonał.

- A ty dałbyś sobie głowę uciąć, że nie, Paul?

- Skąd mogę mieć pewność - odparł Conrad ze zniecierpliwieniem - ale, niech mnie diabli, jeśli zrozumie, jak to zrobił, pod warunkiem, że to w ogóle jego sprawka.

- Obydwoje robicie z niego jakiegoś diabła... - burknął McCann. - Kiedy zamierza pan zobaczyć się z dziewczyną?

- Niech pan posłucha, kapitanie - Conrad odwrócił się, urażony zaczepnym tonem McCanna. - Chcę, żeby pan pamiętał, że ona jest ważnym świadkiem i jako taka pozostaje pod ochroną prawa. Nie zamierzam tolerować żadnych policyjnych metod podczas przesłuchiwania. Został pan tutaj zaproszony, gdyż jest pan jedną z zainteresowanych stron, ale to nie uprawnia pana do brutalności, a - wydaje mi się - że do czegoś takiego pan się szykuje. Proszę więc uważać!

McCann zamrugnął oczami, a jego twarz nabrzmiała od powstrzymanej wściekłości.

- Nie ma pan prawa mówić do mnie w ten sposób... - zaczął, ale przerwał mu Forest:

- Mamy, mamy, kapitanie... Podpisuję się pod tym, co Conrad powiedział przed chwilą. Ta dziewczyna jest ważnym świadkiem i życzę sobie, żeby ją należycie traktowano.

- Jest współwinna zbrodni! - powiedział McCann, ledwie panując nad swym wzburzeniem. - I cokolwiek powiecie, niczym innym nie będzie!

- Dajmy już spokój... - rzekł Conrad zniecierpliwiony. - Chodźmy na górę i porozmawiajmy z nią. Chcemy dostać Maurera, a ta dziewczyna może nam w tym pomóc. O to tylko chodzi. Niech więc pan weźmie się w garść i przestanie się żołądkować...

Przez moment wydawało mu się, że McCann rzuci się na niego, ale kapitanowi udało się zapanować nad sobą.

- O.K. - powiedział cedząc słowa. - Bierzmy się za nią... Mężczyźni skierowali się po schodach do pokoju Frances.

Kiedy weszli, Frances stała przy oknie z pobladłą twarzą i podkrążonymi oczami. Towarzyszyła jej Madge Fielding.

- Panno Coleman, przedstawiam pani prokuratora okręgowego - zagaił Conrad - a to jest McCann, kapitan policji. Panowie przyszli posłuchać, co pani ma do powiedzenia... Panowie, to panna Coleman...

Forest zbliżył się do Frances i uśmiechnął się.

- Proszę usiąść, pani Coleman - rzekł. - Cieszę się, że chce nam pani pomóc. Chciałbym panią zapewnić, iż w pełni rozumiem powody, dla których wahała się ze złożeniem zeznań, jak również i to, że dołożymy wszelkich starań, by uchronić panią przed rozgłosem i wszelkimi innymi niezbyt przyjemnymi konsekwencjami, jakie mogą wynikać z procesu.

Frances uciekła ze spojrzeniem.

- Dziękuję - powiedziała i usiadła.

- Nie będzie pani miała nic przeciwko temu, byśmy zaprotokołowali jej zeznania? - zapytał Forest.

- Och, nie. Ja... ja... chcę, żeby to zostało zapisane.

Conrad skinął na Madge, która podeszła do stołu, usiadła i otworzyła przygotowany notatnik.- Zaczynaj - zwrócił się Forest do Conrada. - Ty prowadź przesłuchanie...

Conrad podszedł do Frances.

- ... Żeby wszystko było zgodne z procedurą - nazywa się pani Frances Coleman, i nie ma stałego adresu, tak?

Frances podniosła na niego wzrok.

- Tak.

- Czy dziewiątego tego miesiąca była pani u June Arnot?

- Tak.

- Po co pani tam poszła?

- Nie miałam pracy - odparła Frances, wykręcając dłonie złożone na kolanach. - Nie miałam pieniędzy. Kiedyś pracowałam z panią Arnot. Miałam niewielką rolę w jednym z jej filmów. Przygotowywała nowy, więc poszłam poprosić, czy nie mogłaby pomóc mi w znalezieniu jakiegoś zajęcia...

- Przyjęła panią?

- Tak.

- O której godzinie znalazła się pani w Dead End?

- Dochodziła siódma, chyba za dziesięć...

- Czy strażnik wpuścił panią do domu?

- Nie. Zadzwoił do mieszkania i tam powiedzieli mu, że pani Arnot kąpie się. Po rozmowie telefonicznej z panią Arnot, strażnik powiedział mi, że zgodziła się, bym przyszła prosto na basen...

- I poszła pani?

- Tak. Wieczór był bardzo ciepły, a od bramy daleko, więc kiedy pani Arnot zobaczyła, że się zgrzałam, kazała mi najpierw pójść sobie popływać. Była w wodzie i gdy mnie zobaczyła, podплыnęła do brzegu. Powiedziała, że w przebieralni znajdę kostium, a potem miałam przyjść na basen.

- I przyszła pani?

- Nie, nie zdążyłam dojść do basenu. Zaledwie weszłam do przebieralni i zaczęłam się rozbierać, gdy usłyszałam, że pani Arnot wita się z kimś.

- Co pani zrobiła?

- Nic. Byłam rozebrana. Znajdowałam się w przebieralni i szukałam kostiumu, który miał być w jednej z szaf.

- Czy szukając kostiumu słyszała pani coś?

- Tak, usłyszałam strzał, zabrzmiał w oddali. Mniej więcej w minutę - pięć lub sześć dalszych strzałów...

- Co pani zrobiła?

- Stałam i nasłuchiwałam. Później usłyszałam krzyk pani Arnot. To był potworny krzyk. Pozbierałam swoje rzeczy i podbiegłam do drzwi.

- Widziała pani coś?

Frances skinęła głową. Twarz miała pobladłą, napiętą.

- Co pani zobaczyła?

- Pani Arnot leżała na ziemi, obok basenu, a niski, krępy mężczyzna w czarnym garniturze pochylał się nad nią i zdzierał z niej kostium kąpielowy. W prawej ręce trzymał

nóż, który miał szerokie ostrze i lśnił w słońcu. Pani Arnot wydawała się trochę oszołomiona. Próbowała odepchnąć jego rękę. Zanim zdążyłam zareagować, on... on... ją pchnął tym nożem.

- Nie krzyknęła pani? Nie zdradziła swojej obecności? Frances przecząco potrząsnęła głową.

- Och, nie. Zdawałam sobie sprawę, że ją zabił. Nikt nie przeżyłby po takim ciosie. To było straszne! - odwróciła wzrok,- usta jej; drżały. - Stałam sparaliżowana ze strachu. Nie mogłam się ani ruszyć ani krzyknąć. Potem on wstał i kopał ją, kiedy umierała leżąc na ziemi. Widziałam jego twarz i nigdy jej nie zapomnę. Wyglądał jak dzika bestia.

Conrad wyjął plik zdjęć z kieszeni.

- Proszę przejrzeć te fotografie - może pani rozpozna wśród nich mężczyznę, który zabił panią Arnot...

Frances drżącymi rękami wzięła zdjęcia. Obejrzała zaledwie dwa gdy natknęła się na fotografię Maurera. Podała ją Conradowi. „- To on.

- Dobrze - Conrad odłożył zdjęcia. - Co było dalej?

- Potem przyszedł jeszcze jeden mężczyzna i obydwaj stali nad ciałem pani Arnot. Byłam przerażona. Schowałam się w jednej z kabin z prysznicem.

- Chciałbym ustalić tożsamość tego drugiego mężczyzny - rzekł Conrad. - Czy mogłaby pani jeszcze raz przejrzeć te zdjęcia?

Frances przeglądała fotografie, a kiedy doszła do Paretiego, przyjrzała się zdjęciu i podała je Conradowi.

- To ten.- No, świetnie... A co działo się, gdy pani przebywała w kabinie?

- Obaj mężczyźni pozostali kilka minut pod przebieralnią, a potem usłyszałam plusk wody, tak jakby wrzucili ciało pani Arnot do basenu. Następnie ten niski, krępy wszedł do przebieralni. Ręce miał całe we krwi. Widziałam przez szczelinę w zasłonie. Mył ręce i cały czas nucił coś pod nosem - usiłowała zapanować nad drżeniem głosu. - Był to najbardziej bezlitosny głos, jaki kiedykolwiek słyszałam.

McCann nie był już w stanie zapanować nad sobą. W duchu pienił się ze złości, zdając sobie sprawę, że dziewczyna mówi prawdę. Wybuchnął.

- Co za wspaniałe obmyślona opowiadka! Wiecie, co o tym myślę? Że cała ta historia to wierutne kłamstwo! Nie wierzę, że widziałeś Maurera! - pochylił się do przodu, a jego mocny kark nabrzmiał od gniewu. - Opętał cię ten Weiner, co? Zakochałeś się w nim, prawda? Dlatego, że ma gębę, którą może straszyć, zadurzyłaś się w nim. Wymyśliłaś sobie,

że Maurer zabił Weinerja. Dobra, chcesz to zwalić na Maurera, więc wyssałaś sobie z palca taką historyjkę. Tak było, prawda?

Twarz Conrada poczerwieniała z wściekłości, oczy zwęziły się. Zaczął coś mówić, ale na znak Foresta urwał. Forest wpatrywał się we Frances i wzrok Conrada powędrował w jej kierunku.

Podniesiony głos McCanna nie przstraszył jej ani trochę i teraz z gniewem spoglądała na niego.

- Mówię prawdę! - powiedziała stanowczo.

- Tak? A więc dlaczego do tej pory nie wyszłaś z tą opowieścią? Nie oszukasz mnie i nie oszukasz ławy przysięgłych! Zadurzyłaś się w Weinerze, a teraz próbujesz zdrzeć z Maurerem!

Conrad miał ochotę wziąć Frances w obronę, ale Forest znowu go powstrzymał.

- Jak pan śmie mówić do mnie w ten sposób! - wybuchnęła Frances. - Wygląda, że bardzo panu zależy na tym, żeby ochronić Maurera! Pete powiedział, że są policjanci, którzy go sprzedadzą. Może to pan dał się kupić?

Nawet gdyby uderzyła go w twarz, McCann nie mógłby zareagować gwałtowniej.

- Na Boga! - wykrzyknął, a na twarz wystąpiły mu plamy. - „Nie wolno ci do mnie tak mówić, ty suko!

- Dość tego - przerwał Forest. - Niech się pan liczy ze słowami kapitanie! Jestem pewien, że pani Coleman nie chciała tego powiedzieć!

McCann zacisnął pięści, nie mogąc wydusić ni słowa. Był potwornie przerażony. Ta dziewczyna była niebezpiecznie blisko prawdy, zdał sobie też sprawę, że usiłował bronić Maurera.

- Mogę udowodnić to, co mówię - kontynuowała Frances, zwracając się do Foresta. - Mogę dowieść każdego słowa!

- Jak pani to zrobi, pani Coleman?

- Maurer wyjął z kieszeni na piersi chusteczkę i wytarł nią twarz

- mówiła półgłosem Frances. - Wtedy wypadł mu złoty ołówek. Upadł na jego but, potem potoczył się po podłodze i wpadł do kanału. Maurer próbował go wyciągnąć, ale nie dał rady. Wtedy ten drugi mężczyzna stwierdził, że nikt go tam nie zauważy i że trudno go stamtąd wyjąć. W końcu Maurer zgodził się tam go zostawić - odwróciła się, żeby spojrzeć na McCanna, który stał jak wrośnięty w ziemię i zmartwiały. - Na bucie Maurera była krew - ciągnęła

- i ołówek zabrudził się nią. Musicie tylko wydostać ołówek i udowodnić, że to krew pani Arnot, a może wtedy uwierzycie, że mówię prawdę!

Conrad popatrzył na Foresta.

- No, czy o taką współpracę panu chodziło? - odwrócił się i uśmiechnął się do McCanna... - Sama sobie wymyśliła. Dobry z mej detektyw prawda, panie kapitanie?

Rozdział IX

Ferrari pchnął drzwi i wszedł do gabinetu Seigela. Zbliżył się do biurka i usiadł, zagłębiając się w fotelu.

- Nie żyje? - Gollowitz zapytał zdławionym głosem. Ferrari spojrzał na niego.

- Czy słońce świeci, a trawa jest zielona? Dlaczego traci pan czas na sprawy oczywiste? Ma się rozumieć, że nie żyje. Kiedy mówię, że coś zrobię, to po prostu robię... Gollowitz opadł na fotel. Wyjął chusteczkę i wytarł twarz.

- I uznają to za wypadek?

- Tak, uznają to za wypadek - potwierdził Ferrari. - Poszło tak, jak było zaplanowane - splótł palce w kształcie szponów na płaskim brzuchu i zerknął na Gollowitza oczyma nieruchomymi i bezbarwnymi, jak oczy lalki. - Jeśli zaplanuje się właściwie, to musi się udać. No, on nie żyje, teraz musimy pomyśleć o dziewczynie...

- Cieszę się, że posłałem po pana - rzekł Gollowitz, który rzeczywiście tak myślał. - Nie przypuszczałem, że to można tak prosto załatwić...

- Było to łatwe tylko dlatego, że mam wieloletnie doświadczenie - zareagował Ferrari.
- Bez doświadczenia i bez planu nic by z tego nie wyszło...

- Pomówmy teraz o dziewczynie - wtrącił się Seigel. - Co zamierza pan z nią zrobić?

- Jeszcze jeden wypadek? - zapytał Ferrari, spoglądając na Gollowitza.

- Tak, to bardzo ważne. Może będziemy musieli tydzień odczekać. Gdyby umarła zaraz po Weinerze, wyglądałoby to podejrzanie, prawda?

- Jeśli mamy czas, to tak byłoby znacznie lepiej - zgodził się Ferrari.

W tej chwili zadzwonił telefon i Seigel podniósł słuchawkę. Przez moment słuchał, po czym jego twarz ściągnęła się. Przekazał słuchawkę Gollowitzowi.

- McCann. Jest chyba porządnie zdenerwowany.

- Słucham, kapitanie - powiedział Gollowitz.

- Dlaczego, do diabła, nie powiedzieliście mi, że macie zamiar sprzątnąć Weinerja? - warknął McCann, niewyraźnym głosem. - Dopiero teraz się ruszyło. Proszę posłuchać, ta dziewczyna zaczęła mówić!

Gollowitz uniósł brwi. Z Ferrarim, którego miał w zasięgu ręki czuł się dostatecznie bezpieczny.

- Niech mówi, kapitanie - powiedział. - Nie zależy mi na tym. Panu też nie powinno zależeć...

Nastąpiła krótka przerwa, po czym McCann warknął ze złością:

- Czy pan oszalał? Mówię panu, że zaczęła gadać! Widziała, jak Maurer mordował tę kobietę. Jest gotowa wystąpić w charakterze świadka i zeznać pod przysięgą!

- Niech sobie przysięga. Może tylko słowem świadczyć przeciw Maurerowi, bo nie ma na to żadnego potwierdzenia. Czym mielibyśmy się przejmować?

- Nie potrzebuje potwierdzenia - wrzasnął McCann. - Ma dowód!

Gollowitz zamarł.

- Co pan mówi?

- Mówię, że ona ma dowód! Powiedziała, że po zamordowaniu June Arnot Maurer wyciągnął chusteczkę i wtedy wypadł mu z kieszeni ołówek, który upadł na but pochlapany krwią. Później potoczył się po podłodze i spadł do kanału. Maurer usiłował go wydostać, ale nie mógł go dosięgnąć. Ten dureń tam go zostawił! Dziewczyna to widziała! Wystarczy, że prokurator okręgowy będzie miał ten ołówek i Maurer przepadł. Są tam wygrawerowane jego inicjały, jego odciski palców i krew June Arnot. W przebieralni nie znaleziono śladów krwi, więc musiała być na nim. To dowód, z którego sędziowie będą bardzo zadowoleni. Czy nadal uważa pan, że powinienem przestać się martwić?

Twarz Gollowitza raptem nabrała odcienia zielonego.

- Czy to prawda?

- Skąd, do diabła, mam wiedzieć? To właśnie powiedziała Forestowi. Niedługo przekonają się, czy to prawda, czy nie.

Umysł Gollowitza pracował w przyspieszonym tempie. Jeśli tak było, to Maurer już siedzi na krześle elektrycznym.

- Gdzie jest ten kanał? - zapytał.

- W przebieralni w Dead End. Przy basenie...

- Co prokurator ma zamiar z tym zrobić?

- Conrad i O'Brien jadą tam z fotografem.

- Są już w drodze?

- Wyjadą za pięć minut.

- Dziękuję, kapitanie, zajmę się tym - powiedział Gollowitz i odłożył słuchawkę.

Popatrzył na Seigela.

- Maurerowi wpadł złoty ołówek do kanału w przebieralni na basenie, gdyby go znaleziono, mogłoby to wskazywać na jego powiązania z morderstwem June Arnot. Trzech policjantów właśnie jedzie go szukać. Chcę mieć ten ołówek. Idź i wydostań go stamtąd!

Było to coś dla Seigela. Martwiło go, że nie udało mu się zabić Weinera, denerwował się także, że Goilo witz wezwał Ferrari ego. Ale teraz czuł, że jeśli ta robota mu wyjdzie, będzie mógł się zrehabilitować.

- Załatwię to - rzekł i pędem wybiegł z pokoju.

Ferrari wygramolił się z fotela i wyciągnął szczupłe, karle ręce.

- Pójdę się chyba położyć. W łóżku lepiej mi się myśli - urwał i przesunął palcem po kościstym nosie.

- Czy Maurer zabił tę kobietę? Gollowitz wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie mój interes.

Ferrari podszedł do okna, dłonie splótł za plecami.

- Syndykat nie lubi zabójstw z powodów osobistych. Gollowitz nie powiedział nic.

- Syndykat nie jest zadowolony z Maurera - wyszeptał Ferrari. - Staje się zbyt niezależny...

Gollowitz poczuł, jak zimny prąd przebiegł mu po plecach, ale dalej nie reagował.

- No, nieważne - ciągnął Ferrari. - Tym wszystkim też można się zająć - popatrzył raptownie na Gollowitza. - Czy Seigel jest dobry do takiej roboty?

- Dobry - powiedział ostrożnie Gollowitz. - Z Weinerem mu się nie udało, ale przedtem nie miałem z nim żadnych kłopotów.

Ferrari skinął głową.

- Tam, skąd przychodzę, jedno małe potknięcie mogłoby zniszczyć nawet bardzo dobrego faceta - rzekł i z wolna podszedł do drzwi. - Ale to pańska sprawa...

Skierował się do baru. Miał ochotę na drinka. Rzadko pił, ale po udanej akcji zwykle pozwalał sobie na małą whisky.

Kiedy wszedł, ujrzał Dolores, która pojawiła się w drzwiach po przeciwnej stronie. Zatrzymał się na chwilę, a jego oczy zarejestrowały jej zmysłowe piękno. Podszedł bliżej.

Oparta o barek czekała teraz na barmana i nie zauważyła, że Ferrari stanął za jej plecami. Ale jego obecność wyczuwało się jak obecność węża. Domyśliła się go niczym niebezpieczeństwa i odwróciła gwałtownie głowę.

Patrząc w jego nieruchome, martwe oczy, oniemiała z trwogi.

- Czego się pani napije? - zapytał Ferrari. Jego głowa sięgała nieco ponad barek. - Pani pozwoli, że się przyłączę. Piękne kobiety nigdy nie powinny być same.

Wyczuwała w nim nie tylko niebezpieczeństwo, ale też jakąś nieuchwytną siłę. Każdego innego mężczyznę o jego wyglądzie zniszczyłaby w mgnieniu oka, jednak w przypadku tego człowieka wiedziała, że to niemożliwe.

- Napiłabym się martini - odrzekła odwracając wzrok. - Pan nie jest stąd, prawda?

- Jestem Vito Ferrari.

Spostrzegł, że krew odpłynęła jej z twarzy i na ten widok uśmiechnął się zadowolony, że zna jego nazwisko.

- Słyszała pani o mnie?

- Tak, słyszałam - powiedziała, dopiero teraz uświadomiwszy sobie, dlaczego tak się przestraszyła.

- To dobrze - zastukał o blat i barman odwrócił się. Kiedy go ujrzał, ze zmienioną twarzą podbiegł, żeby go obsłużyć.

Ferrari wspiał się na stołek. Teraz Dolores nie czuła się tak całkiem ośmieszona towarzystwem tego małego człowieczka, którego ramiona ledwo wystawały nad barem.

Ferrari machnął szklanką w jej kierunku, wychylił, potem odstawił ją, wyjął papierośnicę i poczęstował Dolores.

Sięgnęła po papierosa i wtedy jej ręka zawisła bez ruchu. Zobaczyła papierośnicę, jakiej nigdy dotąd nie widziała, szczególnie zafascynowały ją przepiękne zdobienia.

Wykonana była ze szczerzego złota. Jej wnętrze wyłożone było ogromną ilością błyszczących diamentów, nieco większych niż główka szpilki i umiejscowionych tak blisko jeden od drugiego, że tworzyły białą mozaikę płomieni. Widząc jej zafascynowanie, zamknął papierośnicę i podał Dolores. W centralnej części tkwił ogromny rubin wielkości dużego paznokcia, a z tyłu - inicjały ze szmaragdów.

- Podoba się pani? - zapytał na widok jej zdumionej twarzy.

- Myślę, że jest to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek w życiu widziałam.

- Otrzymałem ją od Rajaha za pewną małą robótkę, którą wykonywałem dla niego - powiedział Ferrari niedbale. Wziął papierośnicę z jej rąk, wytarł o rękaw i przez chwilę przyglądał się z próżną satysfakcją. - Mam mnóstwo takich drobiazgów... Interesuje się pani diamentami?- A kto się nie interesuje? - spojrzała na niego z wyraźnym szacunkiem. Ani Maurer ani Gollowitz z ich całą forszą nie mają nic takiego, co mogłoby się nawet równać z tym pudełeczkiem. Ten mały potwór może jest karłem, ale ma za to siłę i pieniądze. Byłoby interesujące, gdyby okazało się, że jego władza jest większa niż władza Gollowitza.

- Mam naszyjnik z diamentów, który mógłby panią zaciekawić

- rzekł Ferrari. - Powinna pani go zobaczyć - popijał whisky nie odrywając od niej wzroku. - Jest pani zaprzyjaźniona z Gollowitzem, prawda?

Dolores zeszywniała, przeraziło ją to zaskakujące pytanie.

- Jest przyjacielem Jacka - zareagowała lodowatym głosem. -

- Przyjaciele Jacka są moimi przyjaciółmi.

- To bardzo miłe - pochylił się do przodu, trupa twarzą niemal dotykając jej twarzy. - Ale nie powinna pani zbyt na nim polegać...

- Wcale na niego nie liczę... - powiedziała ostro. Ferrari uśmiechnął się.

- W takim razie - to może on na panią liczy? Miałem wrażenie, że jedno z was, a może obydwoje - ufacie sobie, a moje wrażenia nigdy mnie nie mylą.

Dolores oniemiała ze strachu. Czyżby ona i Gollowitz dali coś po sobie poznać? A może Seigel także ich podejrzewał?

- Naprawdę nie wiem, o czym pan mówi - rzekła i odwróciła się.

- A robi pani na mnie wrażenie wyjątkowo sprytnej kobiety... Nieważne. Tak długo, jak długo nie będzie pani ufała Gollowitzowi, nie stanie się pani żadna krzywda...

Przeszył ją dreszcz. Czyżby ją ostrzegał?

- Nie lubię zgadywanek - odparła kierując twarz w jego stronę. - Przypuśćmy, że wierzę w Gollowitza, jak pan to powiedział, chociaż tak nie jest, co wtedy?

- Rozczaruje się pani, to wszystko - skończył whisky. - Czy potrafi pani dochować tajemnicy?

Miała świadomość, że nie pyta bez przyczyny.

- Tak, potrafię dochować tajemnicy.

- Gollowitz myśli, że jeśli pani mężowi przytrafi się nieszczęście to przejmie organizację. Wiem że nie ma powodu do obaw, ale nikt nie zna swojej godziny. Jednak Gollowitz rozczaruje się. Jest dobrym prawnikiem, ale fatalnym szefem. Niech więc pani nie wierzy w gasnące gwiazdy...

Dolores patrzyła na niego. A więc odgadł, że przygotowywała sobie furtkę. Jednak to, co przed chwilą powiedział, jest nie mniej cenne. W jednej chwili zapomniała o strachu.

- Będzie pan wiedział, kiedy to nastąpi? Ferrari uśmiechnął się.

- Tak, będę wiedział.

- A o tym, kto przejmie organizację, też będzie pan wiedział? Ferrari przytaknął.

- Powinienem wiedzieć - stuknął się w pierś, spojrzał na Dolores i znowu uśmiechnął się. - Nie mówię, że pani mężowi coś się stanie, ale gdyby... czy sprawiłoby 10 pani dużą przykrość?

Uświadomiła sobie, że nie czas na owijanie w bawełnę.

- Niezbyt wielką.

Ferrari kiwnął głową.

- Najwyższa pora, żebym miał kogoś, kto zająłby się moim wolnym czasem. Rozglądałem się trochę... W tym mieście jest dużo pięknych kobiet, ale mnie interesują najpiękniejsze. Nie zależy mi na pośpiechu, mogę poczekać - zjechał ze stołka. - Ma pani ochotę zobaczyć diamentowy naszyjnik? Mam go w pokoju na górze. Może chciałaby go pani przymierzyć? Któregoś dnia mogłaby pani otrzymać go nawet na własność...

Siedziała bez poruszenia, wpatrując się w niego. Zdawała sobie sprawę, że chodzi mu nie tylko o przymierzanie naszyjnika z diamentów.

- Jednocześnie chciałbym się przekonać, że to, na co patrzę, wykonane jest z najdroższego surowca, to znaczy ze złota, a nie mosiądzu - ciągnął Ferrari, potwierdzając jej podejrzenia. - Nie musi pani iść, jeśli nie chce. Rozumie pani, co mam na myśli, czy nadal mówię zagadkami?

Dolores walczyła z obrzydzeniem. Czy ma pozwolić, żeby ten potworek dotykał jej ciała, ale czy z drugiej strony jest gorszy od tego tłustego, pokracznego Gollowitza?

Nie walczyła długo.

- Nie jestem dzieckiem - odpowiedziała i rzuciła mu długie spojrzenie swych ekscytujących oczu. - Nie rozczaruje się pan... Gdzie znajduje się pański pokój? Muszę być ostrożna. Przyjdę za parę minut.

2.

Conrad pchnął drzwi do przebieralni, po omacku szukając wyłącznika. Zza pleców dobiegał go ciężki oddech O'Briena.

- Gdzie, do diabła, ten wyłącznik?

O'Brien zaświecił latarkę i szeroki łuk światła zatoczył się po pokoju.

- Bardziej na lewo...

Conrad zapalił światło i wszedł do luksusowo umeblowanego pokoju. Naprzeciw niego stał rząd kabin wyposażonych w zabudowane szafy, krzesła i prysznice. W jednej z nich, myślał, ukryła się Frances, skąd obserwowała Maurera, jak mył umazane krwią ręce.

Mallery, fotograf policyjny, wszedł i nastawił aparat. Patrzył wyczekująco na O'Briena, który właśnie lustrował podłogę.

- Chyba chodzi o tę... - O'Brien wskazał na mosiężną kratkę w kształcie kwadratu o bokach długości sześciu cali, która przykrywała wylot do kanału.

Conrad podszedł i O'Brien skierował strumień światła latarki na kratkę odpływu, ukazując ogromną ilość suchych liści, które leżały na dnie.

- Ciekawe, skąd się tu wzięły... - rzekł Conrad. - Musiały dostać się z zewnątrz... Nie wygląda, żeby ostatnio przepływała tędy woda. Jeśli ołówek wpadł tutaj, powinien być suchy, ze śladami krwi...

O'Brien oglądał wnikliwie kratkę.

- Zacementowana... Nic dziwnego, że Maurer nie mógł wyciągnąć ołówka. Mallory, zabrałeś narzędzia?

- Zostawiłem je na zewnątrz. Zaraz przyniosę... Conrad kucnął i zapalił papierosa.

- Jeśli ołówek tam jest, to już go mamy - powiedział cicho. - Nie mogę w to uwierzyć... Od lat poluję na tego bandytę...

- Jeszcze go nie złapałeś - przypomniał O'Brien. - Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei...

- Sierzancie...!

Ostra nuta w głosie Mallory'ego postawiła obydwoh mężczyzn na nogi.

- Tam ktoś jest...

Mallory stał u wejścia do przebieralni, jego sylwetka wyraźnie rysowała się w świetle latarki. W chwili gdy to mówił trzasnął pistolet, a Mallory zachwiał się i złapał za ramię. O'Brien wymamrotał jakieś przekleństwo i rzucił się do wyłącznika. Pomieszczenie pogrążyło się w ciemności.

- Jesteś ranny? - zapytał Mallory'ego, odciągając go od drzwi.

- Dostałem w ramię - powiedział tamten i usiadł na podłodze. Conrad ostrożnie podszedł do drzwi i starając się nie wystawiać na strzały wpatrywał się w mrok. Nie widział niczego. Zbliżył się O'Brien.

- To robota Maurera - rzekł Conrad i sięgnął do kabury pistoletu. - Tom, tu gdzieś jest telefon. Lepiej wezwij paru chłopaków...

O'Brien chrząknął i zamknął drzwi.

- Bądź ostrożny z tym światłem - przestrzegwał Conrad. - Zdaje mi się, że widziałem telefon na stole po lewej stronie...

O'Brien włączył latarkę. W momencie, gdy znalazł telefon, rozległ się strzał. Nocną czerń przecięły żółtawe błyski. Ołów pogruchotał okno, a obok pochylonych głów Conrada i O'Briena sypnęło gradem szklanych odłamków. Z przeciwległej ściany odpadł tynk, wypełniając pokój szarym pyłem.

- Do diabła! - warknął O'Brien. Rzucił się na podłogę i zaczął czołgać w stronę aparatu telefonicznego.

Conrad wycelował w kierunku, skąd padł strzał i rąbnął w ciemność.

Zaterkotały automaty. Wąskie języki ognia błyskały półkolistnie, a pociski ze świstem wpadały przez strzaskane okno i uderzały o ściany po przeciwnej stronie.

- Jest ich tam niezła gromada - stwierdził Conrad. - Ruszaj się, Tom!

O'Brien ściągnął aparat na podłogę i Conrad usłyszał, jak wybiera numer.

- Jeśli nie ma samochodu pod ręką, to będą tu najwcześniej za kwadrans... Jeśli oni dalej będą strzelać...

Conrad doczołgał się do Mallory'ego.

- Krwawisz?- Trochę. Jest O.K. Tylko mnie drasnęli. Szkoda, że nie mam rewolweru.

Conrad zauważył przy oknie jakiś ruch. Odwrócił się i podniósł rękę. Kiedy tylko mglisty cień przesunął się, Conrad strzelił. Usłyszał jak kula roztrzaskiwała kości, a potem dobiegł go odgłos ciała, padającego na ziemię.

- Dobra, jednego mamy z głowy - powiedział ponuro.

Nocną ciszę znowu przerwał ogień pistoletu maszynowego. Gips z sufitu posypał się na Conrada, gdy ten instynktownie rzucił się na podłogę. Pociski ponownie uderzyły w przeciwległą ścianę rozpryskując odłamki szkła i drewna.

- Zupełnie jak w Tunezji - mruknął Mallory, który leżał plackiem obok Conrada. Nigdy nie przepuszczał okazji, żeby przypomnieć - o swojej służbie wojennej.

- Połączyłeś się już z centralą? - zawołał Conrad do O'Briena.

- Prawie. Ten przeklęty telefon zepsuł się, ale jeszcze zdążyłem się połączyć.

- Podejźmy do drzwi. Nie możemy dopuścić, żeby nam uciekli. Conrad podpełznął do strzaskanych drzwi i wyjrzał ostrożnie w ciemność. Po drugiej stronie basenu zauważył mężczyznę, który biegł ścieżką. O'Brien strzelił do niego i mężczyzna zniknął w mroku, jęcząc z bólu.

- Nie jest źle, co? - powiedział Conrad i uśmiechnął się. - To już drugi...

- Zamierzam dostać się do narzędzi - stwierdził O'Brien. - Musimy wydobyć ten ołówek...

- Ale uważaj - ostrzegł Conrad. - Zaczekaj moment... O'Brien czołgał się, ignorując słowa Conrada. Schował za framugę głowę i ramiona, a ręką sięgnął po torbę z narzędziami. Nagle odezwał się automat, musiał więc pochylić się nisko. Pociski zaświszczały mu nad głową, więc zaczął wycofywać się ostrożnie.

- Mam ją - odwrócił się w ciemność pokoju. - Chodź tutaj, Mallory, zobacz, czy potrafisz zdjąć kratę z kanału.

Kilka pistoletów maszynowych zaterkotało i trzech mężczyźni na długą chwilę przywarli do podłogi, podczas gdy grad ołowiu siekał gips i na proch zamieniał ściany.

- Uważaj! - krzyknął Conrad i podniósł głowę. Zobaczył dwóch mężczyzn przebiegających z pistoletami w rękach po wybrukowanej ścieżce.

Obaj - O'Brien i Conrad - wystrzelili. Jeden napastnik zachwiał się i zniknął w basenie, drugi rzucił pistolet wysoko w powietrze, zrobił dwa chwiejne kroki i runął na twarz.

- To już trzech - zauważył Conrad. - Mam jeszcze tylko cztery pociski, a ty?

- ... dwa magazynki - odrzekł O'Brien. - Przestań strzelać" ja się tym zajmę...

Podczołgał się w poblizę wejścia. Mallory tymczasem krzyknął:

- Mam ją! Ta cholerna kratka nie chciała puścić, ale już!

- Zobacz, czy jest tam ołówek. Ostrożnie go wyjmuj! - polecił Conrad i zwrócił się do O'Briena: - Uważaj, żeby cię nie widzieli, Tom...

O'Brien wystrzelił w ciemność. Klnąc pod nosem, strzelił znowu.

Odpowiedziały mu dwa pistolety maszynowe. W jasnym błyskach ognia Conrad zobaczył, jak O'Brien nagle podnosi się z podłogi po czym upada w tył wykonując ruchy, jakby pokonywał wielką falę.

- Weź jego broń i nie spuszczaaj oczu z drzwi - rzekł Conrad do Mallory'ego i podpełznął do O'Briena. Pochylił się nad nim, usiłując ocenić sytuację.

- Tom, jesteś ranny? - zapytał, ale wiedział, że zabrzmiało to bezsensownie. O'Brien musiał dostać całą serię z pistoletu maszynowego.

Conrad wyjął latarkę i osłaniając ją swoim płaszczem, skierował na niego światło.

O'Brien popatrzył na Conrada, jego twarz wykrzywiona była w agonii.

- Paul, to nie był wypadek - łapał oddech starając się coś powiedzieć, a wtedy usta wypełniły się krwią.

Conrad podniósł mu głowę.

- Spokojnie, Tom. Nic nie mów.

O'Brien walczył z sobą, wpijając palce w ramię Conrada.

- Ferrari... moje dziecko... - zdołał wykrztusić, a potem jego oczy poleciały w tył głowy i osunął się w ręce Paula.

Conrad dotknął tętnicy na szyi, pokręcił głową i opuścił ciało na podłogę. Kiedy Mallory zaczął strzelać, błyskawicznie odwrócił się.

W tym momencie zobaczył trzech mężczyzn, którzy biegli zgięci w pół. Mallory trafił jednego. Pozostali dwaj otworzyli ogień.

Paul strzelił ponad głowę Mallory'ego i zobaczył, że drugi z nich wpadł do basenu. Ostatni ruszył przed siebie, strzelając raz po raz do otwartych drzwi.

Conrad odskoczył, ciągnąc za sobą Mallory'ego. Na dłuższą chwilę przywarł do ściany, bo pociski ze świstem przelatywały przez pokój.

Po drugiej stronie basenu dało się słyszeć więcej pistoletów: najpierw ostra seria z rewolwerów, a potem łagodny dźwięk thompsona. Mężczyzna ostrzeliwujący przebiegł natychmiast przerwał ogień a później Conrad zobaczył go, jak cofa się na drogę, którą przybiegł.

Teraz strzelanie było słychać z oddali.

- Chyba nasi chłopcy przejechali - zauważył Conrad niezbyt pewnie. Podszedł ostrożnie do drzwi. Wyjrzał w mrok. Strzały nagle zamilkły, a wokół basenu zapanowała cisza, która aż dźwięczała w uszach.

W cieniu pojawiła się zwalista sylwetka Sama Bardina.

- Paul?

- Tutaj, tutaj... - Conrad wyszedł z ukrycia. - Phi! To dopiero była pukanina!

- Masz ołówek?

- Nawet nie miałem czasu zapytać. Biedny Tom za to zapłacił...

- Tak? To okropne! - Bardin zapalił swoją latarkę i przejechał światłem po zrujnowanym pokoju. Rzeczywiście zrobili z tego siekaninę... Na zewnątrz jest pięciu z bandy Maurera - bardziej nieżywi niż śnięte ryby. Dwóch uciekło.

- Znalazłeś ołówek? - zapytał Conrad Mallory'ego.

- Jasne - odpowiedział. - Mam tego skurwysyna... - i pomachał ołówkiem nad głową.

3.

Czarny cadillac skręcił w wąską uliczkę, biegnącą wzdłuż wschodniej ściany Paradise Club i znalazł się przy bramie, która prowadziła do wejścia do klubu.

Kierowca zwolnił, zamrugał światłami, dwa razy szybko, dwa razy powoli i wjechał, gdy strażnik otworzył bramę.

Wartownik stanął przy samochodzie i przyjrzał się kierowcy. Zaskoczony wstrzymał oddech, stanął na baczność i zsalutował.

Cadillac ruszył kolistym podjazdem i stanął u wejścia do klubu.

Z samochodu wyszedł niski, krępy mężczyzna. Rozejrzył się niespokojnie w obie strony, a potem wszedł na schody i energicznie zastukał do drzwi.

Strażnik, który się w nich pojawił, otworzył usta szeroko, a jego rumiana twarz nagle zmieniła barwę.

- O, pan Maurer - wykrztusił.

- Stul gębę! - warknął Maurer. - Gdzie Gollowitz?

- W biurze pana Seigela... - odpowiedział strażnik cofając się pośpiesznie. Śniada twarz Maurera zionęła gniewem, w jego oczach można było dostrzec niepokonaną wściekłość.

Poszedł korytarzem i zatrzymał się na chwilę pod biurkiem Seigela. Z pochyloną głową nasłuchiwał. Słabe odgłosy, dochodzące zza drzwi, sprawiły, że twarz mu stężała. Nacisnął klamkę i wszedł.

Pokój spowity był chmurą dymu papierosowego. Seigel, McCann i Ferrari siedzieli w półkolu. Naprzeciw nich za biurkiem znajdował się Gollowitz, w tłustych, białych palcach trzymał cygaro.

Kiedy Maurer wszedł, czterej mężczyźni odwrócili się gwałtownie. Jedynym, który nie zareagował na to nagłe wtargnięcie, był Ferrari. Pozostali trzej wpatrywali się w przybysza, jakby zobaczyli ducha.

- Och, Jack... - wyjąkał Gollowitz z pobladłą twarzą. - Na miłość boską, Jack...!

Maurer zamknął drzwi za sobą. Prawą rękę trzymał głęboko w kieszeni płaszcza. Stał patrząc na czterech mężczyzn, oczyma oszalałymi z gniewu.

- Co on tu robi? - warknął wskazując na Ferrariego.

- Jack! Ty... ty... nie możesz tu wracać! - zareagował Gollowitz unosząc się niezbyt pewnie na nogach. - Nikt cię nie widział? Nie wiesz, że wydano nakaz twojego aresztowania?

- Co on tu robi? - powtórzył martwym głosem.

- On... on... przyjechał, żeby zająć się tą dziewczyną... tą Coleman - wykrztusił Gollowitz.

- Ty wysłałeś po niego? - zapytał Maurer.

- Syndykat uważał...

- Syndykat! Ty wysłałeś po niego?

- A co miałem zrobić? - jęknął Gollowitz. Miał wrażenie, że Maurer zamierza go zastrzelić. - Musieliśmy dostać Weinera i tę dziewczynę, był jedyny, któremu mogło się to udać.

Maurer rzucał dzikie spojrzenia, usta drżały mu z gniewu.

- Ty przeklęty głupcze! Nie potrafisz sam zająć się takim drobiazgiem, tylko musisz wzywać pomocy z zewnątrz?

- To było niemożliwe.

- Spokojnie, panie Maurer - wtrącił McCann. - Nie powinien pan być wracać. Każdy glina w tym mieście pana poszukuje. Forest ma przeciwko panu niezbita dowody...

- Taak - warknął Maurer - dziękuję wam trzem za spartaczenie roboty - mówiąc to wykonał gest ręką, który pomijał Ferrariego. - Wróciłem, żeby samemu się tym zająć! Pierwszy raz od piętnastu lat rozsyłają za mną listy gończe! Pierwszy raz od piętnastu lat! Oto co się dzieje, kiedy nie trzymam ręki na pulsie!

- Robiliśmy, co się dało - powiedział Gollowitz. Czuł, że zagrożenie minęło. - Sprzątnęliśmy Weinerja, teraz zajmujemy się dziewczyną. Będzie dobrze, Jack, tylko ty musisz się trzymać z dala od tego...

- Nie mam takiego zamiaru! - rzekł Maurer i podszedł do biurka. Gollowitz prędko zwolnił fotel, na którym Maurer usiadł.

Gollowitz przyciągnął krzesło i zajął miejsce obok innych. Jego czoło pokrywały kropelki potu. Z gniewu i strachu zrobiło mu się niedobrze. Nagle został odsunięty, utracił autorytet w ciągu paru sekund, został pozbawiony pozycji, w którą uwierzył, że będzie zajmował przez dłuższy czas, to wszystko uraziło jego dumę.

Ferrari napotkał spojrzenie Maurera. Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Seigel obserwując ich z zainteresowaniem przeraził się, widząc, że Maurer się boi. Ferrari patrzył obojętnie i bez cienia zmieszania.

- Witaj, Maurer - powiedział miękko. Maurer uciekł wzrokiem.

- Witaj, Ferrari.

- Wielki Joe przesyła ci pozdrowienia... - rzekł Ferrari i uśmiechnął się.

Maurer kiwnął głową. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak niebezpiecznym człowiekiem był Ferrari i z przerażeniem przyjmował jego obecność tutaj. Musiał zrobić wysiłek, żeby się opanować.

- W co, do diabła, się bawicie? - zapytał. - Dlaczego nie pozbyliście się dziewczyny? Nie było mnie trzy tygodnie. Już dawno powinna być sprzątnięta...

- To nie takie łatwe - powiedział Seigel. - Przede wszystkim nie wiemy, gdzie jest...

- Ale wiedzieliście, gdzie była! - burknął Maurer. - Dlaczego wówczas jej nie wykończyliście?

- Najpierw załatwiliśmy Weinerja - powiedział pośpiesznie Gollowitz. - Z nim było łatwiej...

- Łatwiej? Czy masz świadomość, jak bardzo jest dla nas niebezpieczna? Gdyby jej nie było, dowody Weinerja nie miałyby żadnego znaczenia! Trzeba było najpierw nią się zająć!

Gollowitz już wcześniej zrozumiał, że popełnił błąd, zaczynając od Weinerja, a nie od Frances i zmartwił się, że Maurer tak szybko odkrył słabość jego strategii.

- Pan wie, że ona zaczęła mówić? - wtrącił się McCann. - Twierdzi, że widziała pana, jak zabijał tę Arnot. Dlatego pana poszukują...

Twarz Maurera nabrała ciemnoczerwonego koloru.

- Ależ ona kłamie! Nawet nie dotknąłem June!

- Mają niezbite dowody - kontynuował McCann powoli. - Wystarczą, żeby przekonać sędziów...

Maurer spojrział na Gollowitza.

- Jakie dowody?

Gollowitz opowiedział o oświadczeniu Frances i złotym ołówku. - Próbowaliśmy wydostać ten ołówek - zakończył, - ale oni byli szybsi.

Maurer zeszywniał.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Seigel poszedł tam z chłopakami, zaskoczyli Conrada i dwu innych gliniarzy, którzy chcieli wydobyć ten ołówek. Wywiązała się strzelanina i Seigel byłby wygrał, gdyby gliny nie zaszyły ich od tyłu. Straciliśmy pięciu naszych chłopaków.

Maurer popatrzył, jakby miał zamiar wybuchnąć.

- Czy to wasza nowa sztuczka? - pochylił się przez biurko wpatrując się w Gollowitza.
- Ty durniu! - warknął gniewnie. - Powinieneś być go zostawić! Dobrze wiem o tym ołówku i potrafię to wytłumaczyć. Pięciu naszych zginęło! Zapłacisz za to głową!

Gollowitz opadł na krzesło, jego twarz zrobiła się popielata. Czuł na sobie oczy Ferrariego. W nagłej rozpaczycy uświadomił sobie, że o jego porażce natychmiast dowie się syndykat.

- Nie tylko pozwoliłeś, żeby zginęło pięciu chłopaków, ale też przesadziłeś z tym ołówkiem! - kontynuował Maurer. - Ten ołówek wpadł mi do kanału dwa dni przed śmiercią June...

- Ale na ołówku jest jej krew - wtrącił ostro McCann. Oczy Maurera błysnęły.

- To moja krew. Skaleczyłem rękę butelką. Ołówek pobrudził się i kiedy go czyściłem, wypadł mi i potoczył się do kanału.

- Nic z tego nie będzie - odparł McCann. - Przykro mi, panie Maurer, ale to nie chwyci. Krew na ołówku należy do pani Arnot, a to dość rzadka grupa...

Maurer skubał podbródek.

- Co to za grupa?

- Grupa B.

- Czy byłby pan zdziwiony, gdybym powiedział, że mam taką samą? Robiłem badania kilka lat temu i wtedy powiedziano mi, że mam grupę B. No i, jak się to panu podoba? - obejrzał się i popatrzył na Gollowitza. - Jakbyś się tak głupio nie spieszył, bez problemu by się to załatwiło, nawet gdyby doszło do procesu.

Gollowitz wytarł twarz. Nagle postarzał się i wyglądał na potwornie zmęczonego.

- Nie wiedziałem.

Maurer spojrział na niego z pogardą, potem odwrócił się i wzruszył ramionami.

- Gdzie jest dziewczyna? - zapytał McCanna.

- Sam chciałbym wiedzieć. Forest gdzieś ją ukrył i nikt nie wie gdzie.

- Pan nie wie? - ryknął Maurer. - Do diabła! I dalej jest pan kapitanem policji?

- Nikt nie wie z wyjątkiem prokuratora okręgowego, Conrada i dwudziestki najlepszych ludzi, którzy jej pilnują. Conrad wywiózł ją w nocy, gdy zginął Weiner. Forest mówi, że nikt prócz jego pracowników aż do procesu nie będzie wiedział, gdzie ona jest.

Maurer ścisnął pięści i uderzył w biurko.

- Musimy znaleźć tę dziewczynę i pozbyć się jej! - popatrzył na Seigela. - To zajęcie dla ciebie! Pojutrze chcę wiedzieć, gdzie jest dziewczyna. Rozumiesz? Jeśli się na tym poślisz, to ja już dopilnuję, żebyś więcej nie miał takich okazji!

Seigel miał zamiar zaprotestować, ale jadowite błyski w oczach Maurera powstrzymały go. Poblądł i spojrział na Gollowitza, licząc na wstawiennictwo, ale Gollowitz pogrążony we własnych kłopotach nie patrzył na niego.

- W porządku - powiedział Maurer i wstał. - Dopóki Seigel nie dowie się, gdzie ona jest, nie możemy nic zrobić. Spotkamy się tutaj pojutrze o jedenastej i zdecydujemy jak ją dostać.

- Nie znajdzie jej pan... - zauważył McCann wstając. - Wiedziałem, że nie powinno się tracić jej z oczu i pilnowałem tego. Ale zniknęła. Moim zdaniem, wywieźli ją z miasta.

- Seigel ją znajdzie - rzekł Maurer ponuro. - To znaczy - lepiej by było dla niego, żeby ją znalazł!

McCann wzruszył ramionami i ruszył do drzwi.

- Niech pan uważa na siebie, panie Maurer. W tym mieście jest cieplej niż w rozpalonym piecu i jeśli któryś z moich ludzi wpadnie na pana, nie będę mógł już nic zrobić.

- Niech się pan o mnie nie boi - odparł Maurer oschle. - Sam się zajmę sobą.

Blady i wstrząśnięty Seigel wyszedł za McCannem z pokoju. Ferrari nadal siedział w fotelu. Gładził swój kościsty nos i przyglądał się Maurerowi z czujnym zainteresowaniem.

- W porządku, Ferrari - powiedział Maurer nieco łagodniejszym tonem. - Jestem panu wielce zobowiązany, że zajął się pan Weinerem, dziewczyną zajmę się sam. Może pan wracać do Nowego Jorku - popatrzył na Gollowitza. - Zapłaciłeś mu?

Gollowitz przytaknął.

- Dobrze, do zobaczenia, Ferrari. Proszę pozdrowić ode mnie Wielkiego Joe...

Ferrari wstał z fotela, wyciągnął krótkie ręce, postąpił parę kroków w stronę drzwi i zatrzymał się.

- Prawdopodobnie zostanę w pobliżu parę dni - powiedział. - Może pan mnie potrzebować. Nigdy nic nie wiadomo.

- Nie będę już pana potrzebował - odrzekł Maurer, starając się mówić spokojnie.

- Nigdy nic nie wiadomo - powtórzył Ferrari. - Wielki Joe powiedział, że mam tę sprawę śledzić do końca. Jeśli pan chce, żebym wyjechał, to może lepiej będzie, jak porozmawia wpierw z Wielkim Joe...

Maurer spojrzał na Ferrariego. Ich oczy spotkały się, ale Maurer nie wytrzymał i pierwszy spuścił wzrok.

- Cóż, dobrze. Jeśli chce pan tracić czas... - Maurer starał się by jego głos brzmiał obojętnie. - Mnie pan nie jest potrzebny. - Niech pan robi, co chce.

- Zostanę - powiedział Ferrari i uśmiechając się wszedł bezszelestnie z pokoju.

Maurer obejrzał się i popatrzył na Gollowitza.

- Abe, jesteś zadowolony z siebie? - zapytał cicho. - Cieszy się, że mamy tego węża na naszym terytorium? Jak ci się podobało sprawowanie władzy? Myślę, że dobrze sobie radziłeś?

Gollowitz nic nie odpowiedział. Siedział wpatrując się z napięta; twarzą w dywan i przebierał palcami.

- Myślisz, że syndykat ma o tobie dobre zdanie? - Maurer mówił dalej tym samym martwym, przyciszonym głosem. - Tyłka idiota mógł postąpić gorzej. Wszystko, czego dotknąłeś, zostało spartaczone. Wszystko! Wiem, miałeś nadzieję, że przejmiesz organizację w swoje ręce. Planowałeś też przejąć Dolores. Sądzisz, że nic o tobie nie wiem? Nie mógłbyś prowadzić pchlego cyrku, a co dopiero mówić o czymś takim, jak organizacja. Jeśli chodzi o

Dolores - możesz ją sobie zabrać, kiedy tylko chcesz. Mam jej dość - pochylił się i nagle podniósł głos. - Ty głupi, parszywy tchórze! Niedobrze mi się robi, kiedy na ciebie patrzę! Zejdź mi z oczu!

Gollowitz wstał i wolnym krokiem podszedł do drzwi. Idąc powłóczył nogami. Jego ramiona obwisły niczym człowiekowi, który dźwiga ciężar ponad swoje siły.

Wyszedł i zamknął drzwi.

Maurer opadł na krzesło. Wiedział, że grozi mu niebezpieczeństwo. Jeśli nie będzie umiał tego właściwie załatwić, syndykat mer? zadecydować, że powinien odejść, a do tego nie był jeszcze przygotowany. Dobrze wiedział dlaczego Ferrari został w mieście. Czekał na rozkazy.

Maurer po raz pierwszy w swojej przestępczej karierze bał się.

4.

Dopiero po południu następnego dnia Seigel pomyślał o Janey Conrad.

Zorganizował gorączkowe poszukiwania Frances, gdyż uzmysłowił sobie, że jeśli nie uda mu się znaleźć miejsca jej pobytu, Maurer rozprawi się z nim bez litości. Rozesłał wszystkich możliwych ludzi, wysługując się całym światkiem przestępczym, by zdobyli o niej jakieś wiadomości, ale - jak dotąd - nie przyniosło to żadnych rezultatów.

Kiedy zaczął już wpadać w rozpacz, przypomniał sobie o Janey Conrad. Natychmiast sklął się w duchu za własną głupotę: że też nie pomyślał o niej wcześniej.

Nie widział Janey od dwóch tygodni. Jej wdzięki nieco go rozczarowały. To ciało więcej obiecywało niż naprawdę mogło dać. Seigel miał wysokie wymagania, poza tym zawsze kręciło się mnóstwo ładnych dziewcząt, które chętnie poszłyby z nim. Mógł sobie pozwolić na to, żeby być wybrednym. Kiedy więc zrozumiał, że Janey nie ma zamiaru zgodzić się na niektóre z jego bardziej wyrafinowanych pomysłów seksualnych, doszedł do wniosku, że nie warto poświęcać jej ani czasu, ani pieniędzy.

Niewykluczone - rozumował teraz - że Conrad powiedział jej, gdzie jest Frances, albo przynajmniej zostawił jej informację, jak się się ma z nim skontaktować. Już żałował, że tak szybko ją rzucił.

Zdecydował że przed zapadnięciem zmroku byłoby ryzykiem pojawić się u niej, ale też zastanawiał się czy wieczorem będzie w domu. Myślał, czy przypadkiem nie lepiej byłoby zatelefonować, ale wtedy mogłaby go odprawić z kwitkiem. Dlatego wołał jej nie uprzedzać, że chce ją odwiedzić.

Żeby być pewnym, że nie idzie na darmo, kazał jednemu ze swoich ludzi obserwować dom i wyraźnie ulżyło mu, gdy o zmroku otrzymał wiadomość, że nie wyszła z domu.

Zostawił samochód u wylotu uliczki i dalej poszedł piechotą. Nastąpiła ciemna noc, w powietrzu czuć było kropelki deszczu. Na drodze nie było żywego ducha.

W jednym z pokoiów na górze świeciło się światło, reszta domu tonęła w mroku.

Jego człowiek zameldował, że kolorowa służąca wyszła jakieś pół godziny temu, więc teraz Seigel był zadowolony że Janey jest sama. Nacisnął dzwonek i czekał.

Po chwili usłyszał, jak biegnie w dół po schodach, potem frontowe drzwi otworzyły się i Janey stanęła w progu.

Ubrana była w żółtą, jedwabną podomkę, rozpuszczone włosy zakrywały ramiona. Wyglądała ładnie i pociągająco, ale na Seigelu nie zrobiło to żadnego wrażenia.

- Cześć, kotku - powiedział robiąc krok do przodu, przez co musiała cofnąć się do hallu, a wtedy on zamknął nogą drzwi.

Na jego widok oczy Janey błysnęły wściekłością.

- Nie możesz tu przychodzić! Oszalałeś?

- Dlaczego nie? Jesteś przecież sama, nie? Stęskniłem się za tobą, kotku...

- Musisz natychmiast wyjść!

- Jak ty ładnie do mnie mówisz - powiedział uśmiechając się. Uruchomił cały swój męski wdzięk, który jak dotąd nigdy go nie zawiódł. - Nie bądź taka, wszystko w porządku. Nikt mnie nie widział...

- To wcale nie jest w porządku...

Minał ją i wszedł do pokoju. Zaświecił światło.

- Ej, jak tu ładnie... Lubisz siedzieć sama w domu? Nie tęskniłaś za mną?

Janey była wzburzona.

- Jeżeli Paul wróci...

- Dlaczego miałby wrócić? - usiadł w fotelu i znowu uśmiechnął się do niej. - Uspokój się... Wyjechał, co?

- Tak, ale może wrócić. Nie możesz tu zostać, Louis. Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni.

- W takim razie gdzie jest? - zapytał, przyciągając ją do siebie. Walczyła z sobą przez moment, a potem niechętnie pozwoliła posadzić się na kolanach. - No, teraz lepiej... - zaczął - Stęskniłem się za tobą. A ty?

- No cóż, ja też. Mogłeś... Dlaczego nie widziałam cię tak długo? - zapytała ze złością.

Seigel roześmiał się.

- Założę się, że myślałaś, iż cię rzuciłem. Mam rację, prawda?

- A gdyby nawet... to co z tego? - warknęła i usiadła sztywno na jego kolanach. - Myślisz, że mi zależy? Przecież w morzu jest pełno ryb...

- Rzeczywiście, jest ich dużo - przebiegł dłonią po jej plecach i zaśmiał się, kiedy zadrżała z podniecenia, odsuwając się od niego.

- Nie rób tego!

- Za chwilę zrobię jeszcze więcej...

- Nie zrobisz! - zsiadła z jego kolan. - Musisz iść...

- Dobrze, ale pójdziesz ze mną. Mam samochód przy końcu ulicy. Pojedziemy do Baru Hanka na obiad z morskim żarciem i szampanem.

- Nie. - odparła, ale brzmiało to niezbyt przekonująco.

- Idź i włóż swoją najładniejszą sukienkę. Zaczekam tutaj.

- Myślę, że nie powinnam. Seigel wstał.

- Chcesz, żebym cię zaniósł na górę?

- Nie zrobisz tego!

- To tylko przekora, kotku!

Poderwał ją w górę i trzymał mocno, gdyż zaczęła się wrywać i kopać.

- Natychmiast mnie postaw!

- Idziemy na górę.

Niósł ją przez hall i zaczął powoli wstępować na schody.

- Louis, nie rób tego, bo się wścieknę. Postaw mnie na podłodze!

- Wszystko we właściwym czasie.

Doszedł do szczytu schodów i widząc światło kopnięciem otworzył drzwi. Znajdował się w dużej, przestronnej sypialni z podwójnym łóżkiem. Na jednym z nich leżały porzucane sukienki, płaszcze i bielizna.

Seigel postawił ją, ciągle otaczając ramieniem i przyciskając do siebie.

- Wynos się! - powiedziała z wściekłością. - Nie zniosę tego dłużej!

Seigel z trudem się opanował. Nie lubił, żeby kobiety mówiły do niego w ten sposób, ale zdecydował, że jeszcze za wcześnie, by być wobec niej brutalnym.

- Zawsze będę się starał, żebyś była zagniewana - powiedział miękko. - Wyglądasz o wiele ładniej, kiedy ci oczy tak błyszczą...

Janey trochę się udobruchała. Nigdy nie umiała oprzeć się komplementom.

- Louis, idź teraz na dół, proszę cię... Gdyby Paul wrócił...Seigel usiadł na łóżku.

- Gdzie on jest?

- Nie twój interes. Wynoś się i czekaj na mnie na dole.

- A więc nie wiesz?

- Oczywiście, że wiem, ale to nie twoja sprawa, Seigel uśmiechnął się

- A teraz poważnie... Czy on może wrócić dzisiaj wieczorem?

- Nie sądzę, ale nie mam zamiaru ryzykować... Proszę cię, zjedź na dół...

Podniósł się i stanął przed Janey ogarniając ją ramieniem. - Janey... pocałuj mnie.

Zawahała się, wreszcie podniosła twarz. Wgniółł wargi w jej usta, i stali tak przez dłuższą chwilę. Swoim ciałem mocno przywarł do niej, rękami obejmując ją w pasie.

Usiłowała się wyrwać, ale trzymał ją z całych sił i po chwili wyczuł, że jej opór słabnie.

- Och, Louis - westchnęła, opierając się na nim.

Kiedy położył ją na łóżku, potrząsnęła głową, ale opór uszedł z niej zupełnie. Leżąc na plecach patrzyła na niego zamglonymi oczyma, jej twarz nabrała rumieńców. - Nie powinniśmy...

- Gdzie on jest? - zapytał pochylając się nad nią.

- Kto? - zmarszczyła brwi. - Twój mąż. Gdzie on jest? Janey nagle oprzytomniała.

- Dlaczego tak cię to interesuje? - usiadła, odpychając go od siebie. - No tak, ale ja jestem głupia. Rozumiem...

Patrzył na nią uważnie.

- Co rozumiesz?

- To dlatego nagle sobie o mnie przypomniałeś - stwierdziła z furją w oczach. - Chcesz wiedzieć, gdzie jest panna Coleman, prawda? Oczywiście! Paul powiedział, że jesteś jednym ze zbirów Maurera Jaka ja byłam głupia! - skoczyła na nogi. - Wynoś się! Wynoś się, zanim zadzwonię na policję!

Seigel uśmiechnął się drwiąco. W sekundę przestał być układny. Na widok zimnych, okrutnych oczu ogarnęło ją przerażenie.

- Spokojnie, kotku - powiedział półgłosem. - Nie zaczynaj czegoś, czego nie możesz skończyć. Wiesz, gdzie on jest i powiesz roi, albo wyduszę to z ciebie! Gdzie on jest?

Janey cała roztrzęsiona cofnęła się.

- Nie wiem, wynoś się! Seigel wstał.

Janey złożyła usta do krzyku, a wtedy on dwoma dużymi krokami podskoczył do niej i uderzył w twarz otwartą ręką, tak mocno, że ogłuszona padła na kolana.

Teraz pochylił się, podniósł ją i trzymając za łokcie potrząsał gwałtownie aż głowa latała jej tam i z powrotem. Następnie pchnął ją z taką siłą, że przeleciała przez pokój i upadła na łóżko. Leżała łapiąc powietrze. Miała uczucie, że została zmieciona przez wybuch bomby.

Podszedł do niej, uklęknął i złapał za przegub. Przewrócił ją na twarz i wykręcił rękę do góry.

Wrzeszczała szalejąc z bólu, ale on tłumiał krzyk, lewą ręką przyciskając jej twarz do ubrań, zalegających łóżko.

- Gdzie on jest?

Nie była stworzona do bohaterstwa. Ból ręki sprawił, że o mało ale zemdląca. Zaczęła płakać.

Gwałtownym ruchem ponownie wykręcił jej rękę.

- Nie! Już nie! Powiem ci! - krzyczała Janey.

- Do diabła z tobą! Mów gdzie on jest?

- Nie wiem, gdzie jest, ale mam numer jego telefonu - Janey łkała.

Odwrócił ją i spojrzał na bladą, przerażoną twarz.

- Jaki?

- Barwood 99780.

- Jeśli kłamiesz, będzie to ostatnie kłamstwo w twoim życiu, kotku!

- Zostaw mnie - opanowała się. - Sprawileś mi ból, jesteś bydlę!

- Pójdziemy na dół i zadzwonisz pod ten numer. Porozmawiasz z nim. Powiedz mu, że czujesz się samotna, mów cokolwiek, ale tak długo, żebym się upewnił, że on tam jest.

- Zrobię to - Janey łapała powietrze. Był już pewien, że mówi prawdę.

- Chodź - warknął szarpiąc ją, żeby stanęła na nogi.

Szła chwiejnym krokiem w kierunku drzwi i trzymała za obolałe ramię. Minęli krótki korytarzyk, aż znaleźli się u szczytu stromych schodów. Kiedy położyła rękę na poręczy, był tuż za nią. Już miała zrobić pierwszy krok, gdy on zebrał się w sobie, podniósł nogę i z całej siły kopnął ją w plecy.

Twarda podeszwa uderzyła jak taran, wyrzucając ją gwałtownie w powietrze. Krzyknęła rozdzierająco, gdy spadała na dół, aż się wzdrygnął.

Jej ciało odwróciło się w locie i Seigel ujrzał przerażone oczy i szeroko otwarte usta. Rąbnęła na wznak z głuchym łoskotem, który wstrząsnął całym domem.

Rozdział X

Dziesięć dni minęło od śmierci Janey i Conrad nieco otrząsnął się szoku. Z początku wydawało mu się niemożliwe, że ona nie żyje, i dopiero na pogrzebie ostatecznie uświadomił sobie, że jego nieudany związek się skończył.

Koroner w akcie zgonu stwierdził, że był to nieszczęśliwy wypadek. Napisano, że wysokim obcasem zahaczyła o rąbek podomki. Zdaniem koronera było oczywiste, że Janey schodząc po stopniach potknęła się i upadła, łamiąc sobie kark.

Załatwienie wszystkich spraw Conrad zostawił ojcu Janey, a sama pojechała do nowej kryjówki Frances. Dla Janey nie mógł już nic zrobić, a odpowiedzialność za bezpieczeństwo dziewczyny głęboko leżała mu na sercu.

Zastanawiał się teraz nad ostatnimi, tajemniczymi słowami O'Briena: „*To nie był wypadek... Ferrari... moje dziecko...*”

Conrad, jak każdy oficer policji w kraju, znał Vito Ferrariego. Czyżby miało to znaczyć, że Weiner został zamordowany i że zrobił to Ferrari? Conrad ostrzegł McCanna, że Ferrari może przebywać w mieście i prosił go o uczulenie ludzi, ale McCann odpowiedział, że nie stwierdzono nawet śladu po oprawcy syndykatu.

Dla Conrada był to powód, żeby się zadreć. Jeśli Ferrari był rzeczywiście odpowiedzialny za śmierć Weinerja, to Frances była w autentycznym niebezpieczeństwie. Dlatego podjął wszelkie środki ostrożności związane z jej ochroną.

Przewiózł ją do Ocean Hotel, który znajdował się w Barwood, małym miasteczku, położonym około piętnastu mil od Pacific City. Dziesięciopiętrowy hotel zbudowany został na brzegu urwiska, skąd rozciągał się widok na morze.

Forest zajął najwyższe piętro hotelu, do którego dostępu broniły specjalne drzwi ze stali oraz dwudziestu uzbrojonych ludzi McCanna, którzy stale patrolowali półpiętro i parter.

Conrad wzmógł ochronę i dopiero wtedy poczuł się usatysfakcjonowany, że na pewno nikomu nie uda się dosięgnąć Frances. Madge Fielding i dwie policjantki ani na chwilę nie spuszczały jej z oka, ponadto ustalono, że Frances nie będzie wychodziła z pokoju aż do samego procesu.

W ostatnich dniach Conrad stale spotykał Frances. Im częściej ją widywał, tym bardziej czuł się zakochany. Otuchy dodawał mu fakt, że ona czekała na te wizyty i była wyraźnie rozczarowana, kiedy zaabsorbowany innymi obowiązkami spóźniał się lub nie przychodził w ogóle.

Chociaż dobrze czuli się w swoim towarzystwie, umieli długo i bez specjalnego wysiłku z sobą rozmawiać, to jednak Conrad był świadom bariery, która wykluczała jakąkolwiek wzajemną poufałość. Pomiedzy nimi stanęła potworna przeszłość jej ojca i

Conrad doskonale zdawał sobie sprawę, że chcąc zmienić charakter ich kontaktów, będzie musiał skruszyć tę przeszkodę.

Madge powiedziała jej o śmierci Janey i kilka słów Frances, wyrażających współczucie, starczyło, by Conrad poczuł się dziwnie nieswojo.

- Był to dla mnie straszliwy szok - stwierdził poważnie. - Ale Janey i ja od dawna nie byliśmy razem. Nasze małżeństwo skończyło by się prędzej czy później. To nie jest to samo, kiedy traci się kogoś, kogo naprawdę się kochało... Przykro mi z jej powodu. Tak bardzo kochała życie... Ale sobie wcale nie współczuję...

Dziesiątego dnia od śmierci Janey, wieczorem, Conradowi nadarzyła się okazja, żeby wykonać pierwszy ruch, który miał prowadzić do zmiany ich wzajemnych stosunków.

Pojechał do Pacific City, by złożyć raport w sprawie, którą prowadził jeszcze przed śmiercią June Arnot, i nie było go w Barwood dzień i noc. Zostawił ją pod opieką Van Roche'a, całkowicie przekonany, że Van zajmie się Frances tak, jak on sam.

Wrócił do hotelu krótko po siódmej i natychmiast pojechał na ostatnie piętro.

Madge skończyła właśnie służbę i weszła do jego pokoju.

- Żadnych niepokojących sygnałów? - zapytał rozpakowując neseser.

- Żadnych - odrzekła Madge. - Ale martwię się o nią. Jest w bardzo złym stanie, to chyba strach.

Odłożył torbę i spojrzał na nią zaskoczony.

- Strach? Madge przytaknęła.

- Tak, ona nic nie mówi, ale kiedy cię tu nie było - wyglądała na przygnębioną i zdenerwowaną. Wystarczy, że ktoś zapuka do drzwi, a ona niemal wyskakuje ze skóry. Cały czas siedzi pogrążona w myślach i nie wydaje mi się, żeby miała ochotę zająć się czymś konkretnym. Zauważyłam to już wcześniej, ale teraz widzę, że jej stan znacznie się pogorszył...

Conrad zapalił papierosa.

- I tak niezwykle, że dotąd była spokojna. Czas mija, a ona ma przed sobą nowe, straszne przeżycia...

- Tak, to prawda, ale myślę, że chodzi tu o coś więcej. Przypuszczam, że ciągle rozmyśla o Weinerze. Chyba nigdy nie przyjęła do wiadomości, że to był wypadek...

- Sądziłem, że już jej przeszło...

- Chyba nie.

- Kto z nią teraz jest?

- Van.

- Pójdę porozmawiać z nią - stwierdził Conrad, dochodząc do wniosku, że właśnie nadarza się okazja, na którą czekał. Żeby tylko mógł pokonać tę barierę. Gdyby tylko udało mu się przekonać ją do siebie i zatrzymać...

Wchodząc do pokoju zwrócił uwagę na czterech strażników, którzy wykazywali się wzmożoną czujnością. Na moment zatrzymał się przed drzwiami, po czym lekko zastukał i otworzył.

Van i dwie policjantki zajęci byli lekturą. Frances stała przy otwartym oknie z widokiem na morze.

Kiedy Conrad wszedł, nawet się nie odwróciła. Dał znak, by opuścili pokój, następnie zamknął drzwi i podszedł do Frances.

Poniżej rozciągał się brzeg skalistej plaży. Przyplływ się skończył i teraz plama piasku złociła się w promieniach słońca.

- Idę o zakład, że miałyby pani ochotę popływać - rzekł cicho. - Jestem zmartwiony, że musimy panią tutaj więzić. Niecierpliwi się pani?

Potrząsnęła głową.

- Nie, nie zależy mi na tym - powiedziała obojętnie.

- Myślałem o pani, Frankie - rzekł po dłuższej chwili. - Czy zastanawiała się pani, co zamierza robić po procesie?

- Nie ma najmniejszego sensu, żeby o tym myśleć - zareagowała bezbarwnym, zmęczonym głosem.

- Dlaczego pani tak mówi?

- A nie jest to oczywiste? Pete powiedział, że oni nigdy nie pozwolą mi złożyć zeznań, więc po co mam myśleć o przyszłości?

Spojrzał na nią

- Na litość boską! Frankie! Nie wolno pani tak mówić! Jest pani tutaj zupełnie bezpieczna! Nikt nie może się zbliżyć do pani, na procesie także nic pani nie grozi...

- Jestem bezpieczna? - zapytała wychylając się przez okno i spoglądając w dół na złocisty piasek. - Powiedział pan, że Pete jest bezpieczny, a jednak nie żyje...

- Przecież nie mógłbym tego powiedzieć, gdybym chociaż przez sekundę wątpił, że jest inaczej - odrzekł półszeptem.

Obejrzała się pospiesznie i popatrzyła na niego badawczo.

- Nie rozumiem...

- Wiem, domyślam się... - odszedł parę kroków. - Przysięgam, że nikt pani nie dotknie. Daję pani na to moje słowo...

Odwróciła się plecami do okna i patrzyła, jak powolnym krokiem błądzi po pokoju. W jej oczach widać było zaciekawienie, ale też nagłą konsternację.

- Musi pani wreszcie pozbyć się myśli, że Maurer jest jakimś nadczłowiekiem - mówił Conrad. - Nie powiem, że nie będzie próbował pani dosięgnąć, ale zapewniam, że nic z tego nie wyjdzie. To miejsce jest zbyt dobrze strzeżone. Nie ma niczego, o czym bym nie pomyślał. - Stał i popatrzył na nią. - Czy pani wie, ile zdrowia mnie to kosztowało? A pani mówi, że nie czuje się bezpieczni - Nie czuję się bezpieczna...

- Proszę więc powiedzieć dlaczego...

- Nie mogę zapomnieć, co mówił Pete - usiadła gwałtownie. - Żałuję teraz, że powiedziałam panu, jak było... Pete mówił, że nie będzie na ziemi takiej siły, która mogłaby mnie uratować, jeśli się wygadam. Mówił też, że nie ma siły na ziemi, która ochroniłaby jego i teraz nie żyje - histeryczna nuta wkradła się do jej głosu. - Pete stwierdził, że jego czas się skończył. Mój także mija. Powiedział, że Maurer może kupić każdego policjanta, który go pilnuje. Skąd ja mogę wiedzieć, czy on nie przekupił tych kobiet, które są tutaj ze mną?

Conrada zaskoczył sposób jej rozumowania.

- Proszę przestać tak mówić - podszedł do niej i chwycił ją za ramiona. - Popatrz na mnie, Frankie. Kocham cię. Nie widzisz, że cię kocham? Przysięgam ci, że jesteś bezpieczna. Przysięgam, że nie ma cienia powodu, którym należałoby się niepokoić...

Spojrzała na niego.

- Pan mnie kocha? Nie spodziewałam się... Do głowy by mi nie przyszło...

- Nie dziwi mnie to - odrzekł cicho. - Nie zamierzałem ci tego mówić, ale nie mogę się zgodzić, żebyś myślała, że ci coś grozi. Jesteś dla mnie cenniejsza niż moje własne życie. Nie musisz bać się Madge, czy tamtych dwóch kobiet. One są w porządku. Wierz mi, bez mojej wiedzy nikogo nie wolno im wpuścić do ciebie...

Odsunęła się.

- Ależ jak pan mnie może kochać! - powiedziała jakby do siebie. - Przecież pan wie o mnie wszystko. Pan nie może mnie kochać...

- Posłuchaj, Frankie, przestań gadać głupstwa. Nie możesz odpowiadać za winy swojego ojca. Musisz przestać o tym myśleć.

Spojrzała z goryczą.

- Łatwo tak mówić... Bardzo łatwo... Nawet nie ma pan pojęcia, jak to jest, kiedy ludzie na ciebie patrzą, jak szeptają po kątach, nie pozwalają swoim dzieciom zbliżyć się do ciebie, nie wie pan jak to jest, gdy ściga cię rozwrzeszczany, oszalały tłum, tak jak ścigał

mnie tej nocy, kiedy zabili mi ojca. I teraz wszystko zaczyna się od początku... Ach, jaka ja byłam głupia, że cokolwiek powiedziałam panu! Tak, potwornie głupia!

Ukląkł przy niej.

- Frankie, zajmę się tobą, jeśli się zgodzisz. Wszystko przemyślałem. Po procesie zabiorę cię z sobą. Możemy razem zacząć nowe życie. Chcę, żebyś została moją żoną. Tam, gdzie pojedziemy, nikt nie będzie wiedział, kim jesteś. Pojedziemy do Anglii. Mam przyjaciela, który zaproponował, żebyśmy prowadzili jego farmę. Chcę, żebym, został jego współnikiem. Tam jest dla nas dom... Nikt nie będzie cię znał... Czy pozwolisz zaopiekować się sobą? Pozwól mi zająć się twoją przyszłością, dobrze?

Zerwała się nagle i nie patrząc na niego podeszła do okna.

- Przyszłością? Dla mnie nie ma przyszłości! Wiem, że tak jest... Patrzyła na czerwoną kulę zachodzącego słońca, które leniwie staczało się za horyzont, ścieląc jaskrawoczerwoną łunę na wodzie.

- Mój czas się kończy, Paul. Dla mnie nie ma przyszłości, pozostała mi jedynie teraźniejszość...

2.

- To musi wyglądać na wypadek, Jack - rzekł Gollowitz.

- Musi... Jeśli zrodzi się jakiegokolwiek podejrzenie morderstwa, jesteśmy skończeni. Szczegółowe śledztwo wykończy nas. Ktoś w końcu zacznie sypać. To musi wyglądać na wypadek...

Maurer usiadł przygarbiony za biurkiem, jego małe oczka błyszczały z wściekłości. Przez dziesięć dni głowił się, jak dostać Frances, ale ciągle na przeszkodzie stał potężny mur obronny, jaki wznosił Conrad.

- Ona musi umrzeć - warknął. - Jest tylko jeden sposób, żeby ją dorwać: podłożyć ogień pod hotel. Jak się będą ewakuować, okrążymy ich...

Gollowitz rozłożył pulchne dłonie w błagalnym geście:

- Trzeba znaleźć inny sposób, tak nie możemy... To by nas wykończyło...

Maurer wstał i zaczął przemierzać pokój.

- Co za sposób? Do diabła! Nie ma innego sposobu! Jak możemy ją dostać, jeśli jej stamtąd nie wykurzymy! Jak, do diabła, możemy to zrobić, żeby wyglądało na wypadek?

Gollowitz wytarł spoconą twarz. Ostatnie dziesięć dni były dla niego ogromnie niebezpieczne i niezwykle trudne. Odczuł wielką ulgę, kiedy Maurer posłał po niego i

powiedział, żeby zapomniał, co mówił podczas ostatniego spotkania. Zrozumiał teraz, że Maurer nie może się bez niego obejść. Problem był zbyt poważny i przerastał jego siły.

- Mógłby to zrobić Ferrari - stwierdził Gollowitz. - Jestem tego pewien...

Maurer stanął i popatrzył na Gollowitza.

- Jeszcze jest w mieście?

Gollowitz, który spodziewał się wybuchu ze strony Maurera, - przytaknął gorliwie.

- W tej chwili jest w barze.

- Wynajmując go przyznajemy się do porażki, Abe... - rzekł Maurer. - Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Nie wyszło nam. Nie sprowadziłbym go, gdybyśmy sami umieli dostać Weinerja. Wiem, że masz mi to za złe, ale teraz też nie ma wyboru... Jedyne Ferrariemu może udać się dotrzeć do dziewczyny...

Maurer wrócił do biurka i usiadł. Wpatrywał się w pusty blok papieru, zmarszczył czoło i przymrużył oczy. Siedział tak przez parę minut. Potem podniósł słuchawkę.

- Louis, poproś Ferrariego, żeby przyszedł do mnie do biura. Jest w barze.

Gollowitz oparł się wygodnie. Triumfował. Poczul się zrehabilitowany. Maurer zrobił to, co musiał zrobić.

- Dobrze to rozgrywasz, Jack - powiedział. - To jedyne wyjście..

Maurer spojrzał na niego badawczo.

- Mylisz się, Abe - rzekł łagodnie. - Myślisz, że robię tak, jak mi każesz. Otóż mylisz się. Ferrari zajmie się dziewczyną, potem ja wezmę się za niego. Jest różnica między kierowaniem organizacją a wykonywaniem cudzych poleceń!

Gollowitz zeszywniał.

- Zajmiesz się Ferrarim? Co masz na myśli?

Maurer wyszczerzył zęby w uśmiechu, przypominając wilka.

- Poczekaj, a sam zobaczysz, Abe.

Siedzieli kilka długich minut nie odrywając od siebie wzroku, wreszcie drzwi otworzyły się i wszedł Ferrari. Przeszedł cicho przez pokój, wspiął się na fotel i usadowił wygodnie. Czujnymi ślepkami zerknął na Maurera.

- Chodzi o tę dziewczynę - zagaił Maurer. - Nie potrafię sobie z tym poradzić. Abe mówi, że pan mógłby się nią zająć... Może pan?

Ferrari podniósł brwi.

- Oczywiście, to robota dla mnie.

Maurer przymknął oczy, ale jego twarz była niewzruszona.

- Zapłacę dziesięć kawałków... Ferrari pokręcił głową.

- Dwadzieścia... Dziesięć byłoby warte wtedy, gdyby pan sam miał się tym zająć...

Maurer wzruszył ramionami.

- W porządku, nie będę się targował. Dwadzieścia... Na jakiej podstawie sądzi pan, że to mu się uda?

- Zawsze mi się udaje. Tym razem też tak będzie - odrzekł. - Pan szuka trudności, ja sposobów wyjścia.

- To musi wyglądać na wypadek. Ferrari skinął głową.

- To będzie wypadek. Twarz Maurera spurpurowiała.

- Nawet nie wie pan, gdzie ona jest! Nic pan nie wie w tej sprawie! Jak, do diabła, może pan tak mówić?

Ferrari rzucił w jego stronę szyderczy uśmiezek.

- Jest w Ocean Hotel w Barwood. Na najwyższym piętrze od strony morza. Jest tam dwudziestu strażników: pięciu na dole, pięciu na najwyższym piętrze, pięciu w trzech pokojach pod jej oknem i tyleż samo bez przydzielonych obowiązków. Każdy, kto wchodzi do hotelu, jest sprawdzany. Nikt nie może pojawić się w pobliżu górnego piętra. Windy kursują wyłącznie do dziesiątego piętra. Dzień i noc towarzyszą jej trzy policjantki, które ani na moment nie spuszczają z niej oka. Gdy bierze kąpiel, drzwi są otwarte a pod nimi siedzi strażniczka. Dziewczynie nie wolno opuszczać pokoju. Nie można dostać się przez okno, gdyż jest strzeżone przez tych z niższego piętra. Dach jest prawie prostopadły, a jedyne wejście jest pilnowane dwadzieścia cztery godziny na dobę... Dlaczego sądzi pan, że nie znam sprawy?

Maurer poczuł, że zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Patrzył na Ferrariego, jakby nagle zmienił się w jadowitego węża.

- Kłamie pan! Skąd, do cholery, wie pan wszystko? Moi ludzie obserwowali to miejsce przez wiele dni i nawet jej pokoju nie znaleźli!

Ferrari uśmiechnął się.

- W takim razie jest pan amatorem. Bo ja uważam się za profesjonalistę.

Maurer przełknął obelgę, ponieważ czuł, że Ferrari ma rację.

- Ale skąd pan to wie?

- Dotarłem do dziesiątego piętra. Patrzyłem i słuchałem. Nawet ją widziałem.

Maurer wlepił w niego wzrok.

- Był pan tam...! Jak się pan tam dostał?

- To moja tajemnica - odparł Ferrari. Po dłuższej przerwie Maurer powiedział:

- W porządku, w takim razie proszę mi powiedzieć, na czym będzie polegał ten wypadek?

Ferrari skrzyżował krótkie nogi. Ziewnął, wyciągnął się, potem splótł ręce na kolanach.

- To interesujący problem. Zadanie jest trudne do wykonania, ale nie niemożliwe... Uważam, że jestem jedynym człowiekiem na świecie, który może to zrobić.

- Naprawdę? Może pan to zrobić?

- Stawiam na moją reputację. Jeśli pana zawiodę, nie zapłaci mi pan centa. To w miarę uczciwa propozycja, nie? Ale jestem pewien, że mi pan zapłaci. Nie zamierzam popełnić błędu...

- Ale jak to się odbędzie?

- Musi pan zostawić to mnie, nie mam zwyczaju dyskutować - o moich planach... Potrzebuję dwóch rzeczy: sam nie mam czasu tym się zajmować. Wzięłyby pan to na siebie?

- O co chodzi?

- Będę potrzebował samolotu i kaskadera. Oczywiście Maurera zaokrągliły się ze zdumienia.

- Kaskadera? Chyba nie chce pan powiedzieć, że samolot ma lądować na dachu?

Ferrari uśmiechnął się

- Jasne, że nie. Chcę po prostu, żeby odwrócił ich uwagę. Pomysł jest wyjątkowo prosty. Widział pan dobrego magika? Zanim wykona trik, najpierw upewnia się, że publika patrzy w inny punkt, a nie na to, co on robi... Kaskader ma do spełnienia taką właśnie rolę, wtedy ja będę mógł wykonać swój plan...

- Będzie pan miał samolot i kaskadera... Na kiedy pan chce? - zapytał Maurer.

- Dzisiaj mamy środek, dajmy na to - w piątek. Muszę z nim porozmawiać i wyjaśnić parę rzeczy...

- A kiedy zajmie się pan dziewczyną? - dopytywał się Maurer.

- W sobotę wieczorem. To dobra pora. W sobotę wieczorem dostarczają do hotelu bieliznę z pralni. - Ferrari ześliznął się z krzesła. - To jeszcze jedna pożyteczna informacja, jaką zdobyłem.

- Bielizna? Jaki to ma związek z naszą sprawą? - Maurer był zaskoczony.

- O, bardzo duży... - odrzekł Ferrari i podszedł do drzwi. - Będę tutaj w sobotę rano. Niech przyjdzie kaskader, muszę z nim pogadać.

Wyszedł i zamknął drzwi.

Maurer wciągnął głęboko powietrze.

- Co o tym sądzisz, Abe?

- On to zrobi... - odparł Gollowitz. Maurer skinął głową.

- Też tak sądzę. Sprytny, mały wąż, nie? - wstał. - Mam jeszcze coś do załatwienia, Abe. Poproś Louisa, żeby do mnie przyszedł, dobrze?

Gollowitz rzucił w jego stronę mroczne, badawcze spojrzenie, ale z nieprzeniknionej twarzy Maurera nic nie wyczytał. Wyszedł.

Maurer przemierzał pokój tam i z powrotem. Po kilku minutach pojawił się Seigel.

- Pan mnie wzywał, szefie? - Tak... Usiądź, Louis.

Seigel usiadł i nerwowo patrzył na Maurera.

- Mam dla ciebie robotę, Louis - powiedział. - Ferrari wyjeżdża do Barwood w sobotę wieczorem. Do Ocean Hotel. Ty też tam pojedziesz. Kiedy będzie wracał, załatwisz go i uwolnisz mnie od niego.

Seigel wlepił oczy w Maurera

- Ferrariego?

- Tak.

- Pan chce, żebym go wykończył?

- Tak właśnie powiedziałem

- Na miłość boską, panie Maurer.

- Tak właśnie powiedziałem - powtórzył Maurer. - Ty albo on, Louis. Wybieraj!

3.

W weekendy Ocean Hotel zazwyczaj pękał w szwach. Tej soboty po południu basen kąpielowy i rozległy trawnik w całości były wypełnione ludźmi, którzy zjechali z San Francisco i Los Angeles, żeby popływać i poleżeć na słońcu.

Conrad usiadł w beczułkowatym krześle pod drzewem i spoglądał na tłumek, który bawił się, wylegiwał i plotkował wokół basenu. Później utkwił wzrok na długim podejździe do hotelu, wypatrując samochodu Foresta.

Około wpół do piątej zauważył auto. Samochód zwolnił i zatrzymał się. Forest wysiadł, porozmawiał z kierowcą, po czym przeszedł przez trawnik i skierował się w stronę Conrada. W tym czasie samochód stanął pod hotelem.

Forest przedarł się przez kłębowisko ciał, które leżały w słońcu i podszedł do Conrada, siedzącego w cieniu drzewa.

- Jak się masz, Paul... - rzekł. - Dobre miejsce wybrałeś: mnóstwo ładnych dziewczyn, jest na co popatrzeć...

- Aż za dużo - Conrad przyciągnął jeszcze jedno krzesło. - Nie miałem pojęcia, że podczas weekendu przyjeżdżają tu takie tłumy. Moi chłopcy gonią w piątkę, żeby każdego sprawdzić...

- Naprawdę to robią?

- Tutaj jest to niewykonalne, ale szczegółowo sprawdzają każdego, kto wchodzi do hotelu.

Forest usiadł.

- No i jak idzie? Conrad skrzywił się.

- Jest bezpieczna, a mimo to denerwuje się coraz bardziej. Niestety, Weiner zasiał w niej sporo wątpliwości. Teraz, gdy minął już szok po jego śmierci, żałuje, że powiedziała cokolwiek. Kłopoty mogą przyjść później. Może nawet odmówić podpisania zeznań...

- To jeszcze ich nie podpisała? Conrad pokręcił głową.

- Nie, i nie podpisze. Uważa, że dopóki tego nie zrobi, Maurer da jej spokój. To oczywiście bardzo naiwne rozumowanie. Jest bardziej prawdopodobne, że Maurer będzie usiłował ją sprzątnąć przed podpisaniem oświadczenia, a nie po... Płuca sobie wyplułem, żeby jej to wyperswadować, ale wygląda na to, że jest w nastroju, kiedy rozsądek nie ma nic do gadania. Natomiast faktem jest, że coraz bardziej się boi. Mówi, że czeka na śmierć. Chciałbym, żeby pan się z nią zobaczył, może potrafi jej to sensownie wytłumaczyć...

Forest szybko popatrzył na Conrada, potem pochylił się i poklepał go w kolano.

- Czy ta dziewczyna, Paul, coś dla ciebie znaczy?

- Jest pan bardzo spostrzegawczy - odpowiedział z wymuszonym uśmiechem. - Właściwie mogę panu powiedzieć. Dla mnie ona bardzo wiele znaczy. Poprosiłem ją o rękę. Oszalałem na jej punkcie.

- A ona - też szaleje za tobą?

Forest skinął głową, zdjął kapelusz i wytarł twarz chusteczką.

- Myślę, że nie. Nie ma nastroju, żeby zastanawiać się nad tym. Twierdzi, że nie ma dla niej przyszłości.

Forest popatrzył na szczupłą, wysoką dziewczynę w białym opalaczu, która wylegiwała się na plecach z zamkniętymi oczami.

- Paul, jest tyle wspaniałych dziewcząt do wyboru... Nie chciałbym, żebyś spał sobie życie. Panna Coleman to nie jest najszcześniejszy wybór...

- Uważa pan tak z powodu jej ojca?

- Tak, z powodu jej ojca... Ja mam o tobie bardzo dobre zdanie, Paul. Któregoś dnia zostaniesz prokuratorem okręgowym, ale jeśli zwiążesz się z osobą, która ma zszarganą przeszłość, nie zrobisz błyskotliwej kariery...

Conrad poruszył się niespokojnie.

- Wiem dobrze, że dba pan o moje sprawy i doceniam to, ale owa kariera nie wydaje mi się wcale tak istotna, kiedy chodzi o dziewczynę, z którą chcę spędzić resztę moich dni. Trzeba zrezygnować z kariery. Takie jest moje zdanie.

Forest wybrał cygaro, przyciął je i zapalił.

- W porządku, to twoja sprawa, Paul... Jakie więc masz plany?

- W tej chwili żadnych. Po procesie miałem zamiar zabrać ją do Anglii. Rozmawiałem z nią o wyjeździe, ale ona nie chce nawet myśleć o przyszłości. Mówi, że wszystko, co jej zostało, to teraźniejszość. Prześladowuje ją obsesyjna myśl o śmierci.

- Nie można się jej dziwić - odparł Forest cicho. - Zadarli z najbardziej niebezpieczną organizacją w kraju. Jej zeznania zniszczą miliardowy, nielegalny biznes. Maurer, jeśli tylko będzie mógł temu zapobiec, nie pozwoli sobie wydrzeć takiego królestwa... Szczerze mówiąc, Paul, ja też nie daję jej zbyt wielkich szans przeżycia... Conrad zacisnął pięści.

- Ależ oni nie mogą jej tu osiągnąć! Prawdziwe niebezpieczeństwo może jej grozić dopiero w drodze do sądu...

- Jesteś zupełnie pewien, że ona jest tutaj bezpieczna? Conrad kiwnął głową.

- Tak, jestem pewien. Przede wszystkim oni nie wiedzą, że jest tutaj...

- Tego też jesteś pewien?

Conrad zaskoczony spojrzał na Foresta.

- Co pan chce przez to powiedzieć? Sądzi pan, że mogą już wiedzieć, gdzie ona jest?

Forest wzruszył ramionami.

- Nie wiem, ale Maurer nie jest głupcem... Czy Janey wiedziała o tym hotelu?

- Janey? Dlaczego pan pyta?

- Wiedziała o hotelu?

- Musiałem dać jej numer telefonu. Była zupełnie sama. Nie chciałem, żeby myślała, że jest ode mnie całkowicie odizolowana. Ale ostrzegłem ją, że to wielka tajemnica...

- A więc - wystarczyłoby, żeby zadzwoniła, a dowiedziałyby się, że chodzi o Ocean Hotel - powiedział Forest, wydmuchując dym w nagrzane, znieruchomiałe powietrze.

- Nie wiem, do czego pan zmierza - Conrad rozgniewał się. - Mimo wszystkich wad, Janey nigdy nie rozmawiała na tematy związane z moją pracą.

- Ja cię tylko ostrzegam, Paul. Jeśli chcemy uratować tę dziewczynę, musimy myśleć o wszystkim... Twoją żonę widziano w Paradise Club, który jest główną kwaterą Maurera. Wiedziała, gdzie znajduje się Frances Coleman, a teraz nie żyje. Może mówię głupstwa, ale na litość boską, nie daj się uśpić własnej czujności. Sytuacja jest groźna tak długo, jak długo Maurer rządzi organizacją...

- Znam rozmiary ryzyka - powiedział Conrad. - Ale Janey można z tego wykluczyć. Jej śmierć była absolutnie przypadkowa. Tysiące razy zwracałem jej uwagę na ten szlafrok. Ciągłe nadeptywała na obrębek, ale nie chciało jej się go przyszyć. Jestem też całkowicie przekonany, że ona nigdy nie zdradziłaby tego miejsca. Dla ratowania Frances nie mogę już zrobić nic więcej niż zrobiłem. Po prostu - więcej się nie da... Zresztą zobaczy pan sam, gdy pójdziemy na górę. Jeśli będzie pan uważał, że coś przeoczyłem, dokonam zmian...

Forest chrząknął. Patrzył, jak ogromna furgonetka zbliża się do podjazdu. Z boku furgonetki wypisano dużymi, chromowanymi literami: *HIGIENICZNA PRALNIA BARWOODA*.

- Skoro jesteś zadowolony, to i ja na pewno też będę - powiedział. - Ale czasami niepokoi mnie, że tak wiele zależy od zeznań tej dziewczyny. Po raz pierwszy od początku rządów Maurera mamy choćby nikłą szansę doprowadzenia go przed sąd...

Conrad i Forest bezmyślnie wpatrywali się w furgonetkę, która zniknęła za hotelem.

- Cholernie długo go ścigamy, co? - stwierdził. - Dopóki on jest na wolności, Frances musi pozostać tutaj...

- Wszystkie statki, jakie są na morzu szukają go - zareagował Forest. - Morze to ogromna przestrzeń, która bez trudu pozwala się ukryć. Ale prędzej czy później będzie musiał zawinąć do jakiegoś portu, żeby uzupełnić zapasy, a wtedy już jest nasz... - wstał. - Dobra, obejrzymy twoją twierdzę, Paul. Niech zobaczę, czy nie znajdę w niej jakiejś wyrwy...

Conrad podniósł się i obaj mężczyźni podążyli w stronę hotelu.

4.

Około wpół do siódmej wieczorem korytarze, kuchnie i spizarnie Ocean Hotel rozbrzmiewały hałasem wywołanym przez krzątający się personel, który przygotowywał obiad dla z górą pół tysiąca gości.

W odróżnieniu od błyszczącej, luksusowej sali restauracyjnej, część przeznaczona dla personelu była ponura, wilgotna i ciasna. Dlatego personel kuchenny, mokry od żaru pieców, kłął na czym świat stoi z powodu rzędu koszy z bielizną, które ustawiono wzdłuż ściany,

pomniejszając znacznie przejście z kuchni do pomieszczenia, w którym przygotowywano posiłki.

Kosze miały zostać usunięte dopiero następnego ranka, po rozpakowaniu bieliznę miano posegregować i wnieść na górę, na razie jednak stanowiła niepożądaną przeszkodę.

Vito Ferrari leżał zwinięty w kłębek w jednym z koszy. Wsłuchiwał się w odgłosy dobiegające ze wszystkich stron i obserwował przez szczelinę w pleciance, jak ludzie gonią tam i z powrotem.

Za pół godziny cała bieganina przeniesie się do kuchni i restauracji. Tymczasem czekał.

Oczekiwanie nie sprawiało Ferrariemu żadnego kłopotu. Cierpliwość była najbardziej wartościową cechą profesjonalnego zabójcy a cierpliwość Ferrariego nie miała granic.

Dwadzieścia dolarów zapłacił za przeszmugłowanie go z praniem do hotelu. Facet dowożący bieliznę bez trudu uwierzył w historyjkę o tajemnym romansie Ferrariego z żoną szefa kuchni. Pomyślał, że to dość zabawne, gdy zakochany karzeł gotów jest płacić duże pieniądze po to tylko, by swoją ukochaną oglądać przez dziurę w koszu.

Z łatwością zniósł kosz z Ferrarim do sutereny. Ferrari ważył nie więcej niż 90 funtów, a ów mężczyzna dźwigał o wiele większe ciężary.

Ferrari czekał teraz w koszu i co chwilę spoglądał na wolno przesuujące się wskazówki zegarka. Dziesięć po siódmej bieganina zaczęła słabnąć. O wpół do ósmej długi korytarz między kuchnią a przygotowalnią posiłków ogarnęła cisza i spokój.

Ferrari ostrożnie podniósł wieko, rozejrzał się w obie strony, nasłuchiwał. Ponieważ dobiegał go wyłącznie zgiełk od strony kuchni, wysliznął się z kosza, zamknął pokrywę i trzymając się najciemniejszej strony korytarza poszedł szybko i bezgłośnie w kierunku przeciwnym, tam gdzie znajdowała się spiżarnia i winda dla personelu. Dotarł do ogromnego przedsiionka, zastawionego skrzynkami z piwem.

Kiedy usłyszał, że winda rusza, ukrył się za skrzynkami.

Winda zatrzymała się z hukiem i trzasnęły drzwi. Dwaj kelnerzy manewrując wózkiem, odjechali korytarzem, pozostawiając drzwi otwarte.

W ułamku sekundy Ferrari znalazł się w środku i nacisnął guzik dziewiątego piętra. Winda szybko i sprawnie powiozła go w górę.

Oparł się o ścianę dłubiąc z zębach kawałkiem drzazgi. Był skupiony i opanowany jak ksiądz biskup na herbatce.

Winda zatrzymała się.

Ferrari zdawał sobie sprawę, że ma przed sobą pierwszy groźny moment. Jeśli otworzy windę i okaże się, że na korytarzu ktoś jest, jego plany zostaną bez trudu udaremnione. Ale było to ryzyko, jakie musiał podjąć. W każdym planie, niezależnie od tego, jak szczegółowo zostałyby obmyślone, zawsze mogły zdarzyć się dwie lub trzy sytuacje niemożliwe do przewidzenia. Ferrari postawił na jedną kartę. Do tej pory szczęście go nie opuszczało. Nie widział więc powodu, żeby miało się to stać akurat w tej chwili.

Nie wahał się. Nacisnął guzik z zamiarem otwarcia drzwi, a drugą rękę wsunął pod płaszcz i zacisnął na kolbie pistoletu.

Korytarz był pusty.

Wyszedł z windy, prześliznął się przez korytarz i stanął za kotarą, która zasłaniała jedno z wielkich okien, wychodzących na morze. Kotara ledwie opadła na miejsce, gdy usłyszał czyjeś kroki. Uśmiechnął się do siebie. Los mu sprzyjał.

Wyjrzał przez szparę i pokiwał głową.

Potężny krzepki mężczyzna, od którego na odległość zalatywało policją, przeszedł powoli przez korytarz. Minął kryjówkę Ferrariego i poszedł dalej, znikając za zakrętem.

Ferrari pośpiesznie opuścił kryjówkę i bezszelestnie przemknął w przeciwną stronę.

Przed nim ciągnął się długi korytarz. Po przejściu pięćdziesięciu, jardów znowu schował się za kotarę. Stał tam ciągle nasłuchując.

Nagle kilka jardów przed nim otworzyły się drzwi, w których pojawiła się dziewczyna. Była ubrana w suknię wieczorową z odkrytymi ramionami i dużym dekoltem. Ferrari z uznaniem popatrzył na jej gładkie plecy i ramiona. Zamknęła za sobą drzwi, ale klucz pozostawiła w zamku. Patrzył jak powoli idzie do windy. Nacisnęła guzik i czekała, nucąc pod nosem.

Potężny glina pojawił się znowu. Na widok dziewczyny dotknął kapelusza, na co tamta odpowiedziała uśmiechem, i poszedł dalej nie oglądając się za siebie.

Drzwi windy otworzyły się i dziewczyna zniknęła wewnątrz. Ferrari dalej czekał. Po chwili policjant wrócił. Przeszedł tuż obok kryjówki Ferrariego i ponownie zniknął za zakrętem.

Teraz Ferrari wyszedł zza kotary zbliżył się do drzwi pokoju który przed momentem opuściła dziewczyna, uchylił je ostrożnie i zajrzał.

Wnętrze nikięło w mroku. Wyjął klucz, wszedł do środka, zamknął drzwi i przekręcił zamek. Następnie zapalił światło.

Pokój był wysprzątny, łóżko zasłane. Ferrari doszedł do wniosku, że pokojowa już była, a więc przy odrobinie szczęścia przynajmniej godzinę nikt nie powinien go niepokoić. Wyłączył światło i podszedł do okna, odsuwając zasłonę.

Okno wychodziło na basen i trawnik. Widział jasne światła i tłumy ludzi, pływających lub wylegujących się wokół basenu, podczas gdy kelnerzy w śnieżnobiałych marynarkach biegali tam i z powrotem, donosząc tace z drinkami.

Ferrari wiedział, że pokój Frances znajdował się na tyłach hotelu, w części wychodzącej na morze. Wiedział też, że wszystkie okna dziesiątego piętra były po tej stronie pilnie strzeżone. Żeby dostać się do jej okna, będzie musiał wejść na dach i przejść na drugą stronę.

Czeka go trudna i niebezpieczna wspinaczka, właściwie jedna z bardziej niebezpiecznych w jego karierze, ale wcale go to nie martwiło. Obserwował dach dłuższą chwilę przez polową, silną lornetkę. W końcu zdecydował, którą drogą będzie się wspinał.

Odsunął kotarę i usiadł na parapecie, przyglądając się tłumowi na dole. Było jeszcze zbyt widno, żeby próbować. Za pół godziny ciemność ukryje go przed każdym, komu przysłoby do głowy spojrzeć na dach.

Siedział ze wzrokiem utkwionym w oświetlony basen. O niczym nie myślał, mięśnie miał rozluźnione. Tymczasem niebo z wolna okrywało się mrokiem. Wskazówki jego zegarka posuwały się mozolnie. Gdy było kilka minut po dziewiątej zdecydował, że nadszedł czas.

Wyjął spod płaszcza długi, jedwabny sznur, który owinął wokół szczupłego ciała. Na końcu sznura znajdował się hak pokryty gumą, a z drugiej strony - wyściełany pierścień.

Wyszedł na parapet i spojrzał w górę. Ponad nim znajdował się balkon jednego z pokoiów dziesiątego piętra. Cisnął hak, który utkwiał w kamiennym występie.

Ze zręcznością małpy wspinającej się na drzewo, wdrapał się po linie, docierając do balkonu. Przeskoczył przez balustradę i upadł na kolana.

Zajrzał przez okno do pokoju. Był pusty. Następnie zerknął przez balustradę i obserwował krzątanicę, dopóki nie upewnił się, że nikt z dołu go nie zauważył.

Ponownie wspinał się na balustradę i spojrzał na pionowy dach, znajdujący się dwadzieścia stóp nad nim. Przez całą jego długość biegła mocna rynna. Ponownie zarzucił hak. Kiedy utkwiał w niej, pociągnął linę, by sprawdzić, czy trzyma. Rynna nawet nie drgnęła. Bez większego wysiłku oderwał się teraz od balkonu i wdrapywał po linie, aż szponiastymi palcami uchwycił się blachy.

Wspiął się jeszcze wyżej. Pas miał w tej chwili na wysokości okapu, zmienił więc uchwyt dłoni, następnie uniósł nogę równoległe do rynny i włożył do niej stopę. Pozostawał w takiej pozycji do momentu, aż przestał się chwiać.

Powyżej wznosił się stromy dach. Daleko w dole jaskrawe światła reflektorów, błękitna woda basenu i bezustannie podjeżdżające samochody wyglądały jak dziecięce zabawki na zielonym dywanie.

Ferrari zaczął wolno posuwać się do przodu, zarazem podciągał drugą nogę. Teraz wisiał jedynie na rękach. Wystarczyłaby niewielka pomyłka, aby spadł na wznak w mroczną czeluść zatoki. Był całkowicie spokojny, choć zdawał sobie sprawę, w jakiej sytuacji się znajduje.

Kiedy powiedział Maurerowi, że jest jedynym człowiekiem na świecie, który może wykonać taką robotę, wierzył w to. Chwila podczas której usiłował odzyskać równowagę, była najtrudniejszym zadaniem, jakiego się dotąd podjął. Nie bał się, ale i zastanawiał, czy przypadkiem nie przecenił swoich umiejętności.

Pochylił się nieco do przodu, podkurczył nogi. Gdy zgiął kolana, na ułamek sekundy jego ciało przeważało na zewnątrz i poczuł nagle, że znowu niepokojąco się chwieje.

Palcami wpił się w chłodny, twarde okap, głowę opuścił na piersi, co pozwoliło mu odzyskać właściwą pozycję. Przesunął się jeszcze odrobinę do przodu.

Ponad minutę pozostawał w bezruchu. Pot spływał mu po twarzy, a z wychudzonej piersi dobywał się chrapliwy oddech. Znajdował się o krok od śmierci i ta myśl obezwładniała go.

Kiedy przyszedł trochę do siebie, znowu pochylił się ku przodowi, z głową w dół. Tym razem udało mu się podkurzyć nogi tak, że kolana miał tuż pod brodą. Wyglądał jak mała czarna piłka, która ni stąd ni zowąd utknęła na krawędzi dachu. Ciągłe zgięty w pół powoli wyprostował nogi i równocześnie wyrzucił ciało w górę. W tej chwili musiał puścić okap i wyciągnąć ręce, by chwycić się dachówki.

Stał teraz prosto, palcami nóg wsparty o rynnę, z głową wciąż pochyloną. Całym ciałem przywarł do spadzistego dachu. Utrzymywał się w tej pozycji, aż oddech wrócił do normy. Wtedy ostrożnie zwolnił sznur, który przedtem owinął wokół karku i cisnął hak w stronę szczytu.

Musiał wykonać cztery rzuty, zanim hak utknął we właściwym miejscu. Gdy chciał poprawić jeden z nich, o mały włos znowu nie stracił równowagi.

Kiedy tylko upewnił się, że hak dobrze trzyma, wróciła mu pewność siebie. Trzymając sznur oburącz i wychylając się pod znacznym kątem, dotarł po stromym dachu do wierzchołka.

Mógł teraz spojrzeć na morze, leniwie obmywające skały, znajdujące się dwieście stóp poniżej. Gdzieś pod krawędzią dachu był pokój Frances.

Widział światło w pokojach na dole i słyszał muzykę dobiegającą z radia. Wsunął stopę w pierścień przyczepiony do drugiego końca liny, umocował go na kostce i trzymając mocno sznur opuścił się do brzegu rynny, który wyczuł piętami. Po tej stronie dach był zdecydowanie mniej spadzisty, dlatego bez kłopotu udało mu się usiąść na dachówkach.

Teraz bezszelestnie opuścił się poniżej krawędzi dachu, Zwolnił sznur i zawisł głową w dół na linie owiniętej wokół kostki. Głową i ramionami sięgał otwartego okna. Zajrzał do przestronnej sypialni. Przez moment nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu. Za pierwszym razem trafił na pokój Frances!

Znajdowały się tam trzy osoby: dwie policjantki i dziewczyna.

Policjantki siedziały z dala od okna. Jedna zajęta była lekturą, druga robiła na drutach.

Frances czesała włosy przed toaletką.

Ferrari wisiał tak głową w dół w ciemności i patrzył na nią. Po minucie odłożyła szczotkę do włosów i wstała. Bładoniebieska jedwabna podomka, jaką miała na sobie, wyraźnie podkreślała bladość jej twarzy. Podeszła do fotela w pobliżu okna i usiadła.

Ferrari zakołysał się na linie, podciągnął w górę i znowu dotarł do rynny. Spojrzał na zegarek; było wpół do dziesiątej. Musiał jeszcze czekać pół godziny. Czekał.

5.

Conrad spojrział na Foresta, który wszedł do jego pokoju.

Prokurator zjadł obiad i poszedł się przejść, teraz wrócił i zagłębił się w przestronnym fotelu z miną człowieka wypoczętego i zadowolonego.

- Obiad nie był zły - zagadnął. - Dobrze tu gotują, prawda?

- Chyba tak - rzekł Conrad obojętnie; nawet nie zauważył, co jadł. - Co pan o niej myśli?

- Miła dziewczyna, i cholernie ładna - powiedział Forest, prostując nogi. - Dość długo z nią rozmawiałem i wydaje mi się, że przekonałem ją, by podpisała zeznanie. To oczywiste, że boi się Maurera. Weiner zrobił kawał roboty, wywołując w niej strach przed Maurerem, niemniej przyrzekła, że jutro rano powie mi, co ostatecznie zadecydowała - spojrział na Conrada. - Paul, wtrąciłem słówko o tobie...

- Tak? I jak zareagowała? - spytał Conrad, pochylając się w fotelu.

- Wygląda na to, że trochę ją zaskoczyłeś mówiąc, że chcesz się z nią ożenić. Ma mnóstwo kompleksów, ale nie ma się co dziwić. Będziesz musiał być cierpliwy, Paul. To może długo potrwać. Powiedziałem jej, że zaraz po procesie sfinansujemy twoją, jej i Madge Fielding podróż do Europy, na parę miesięcy... Mam wrażenie, że spodobał się jej ten pomysł...

- Naprawdę? To bardzo miło z pańskiej strony, szefie... A co właściwie z tymi finansami? Przecież ministerstwo skarbu nie będzie za nią płaciło, prawda?

- Nie sądzę - rzekł Forest i roześmiał się. - To już należy do ciebie, Paul. Dam ci urlop na parę miesięcy, ale będziesz musiał sam za to zapłacić.

- Dam sobie radę... Czy ona powiedziała, dokąd chciałaby pojechać?

- Podsunąłem jej pomysł... - Forest pocierał nos i spoglądał chytrym wzrokiem. - Powiedziałem jej, że powinna zobaczyć Wenecję. Jeśli nie potrafisz wysmażyć w gondoli jakiejś małej romantycznej przygody, nie jesteś mężczyzną, za jakiego cię miałem. Byłeś już w Wenecji? Spędziłem tam z moją żoną miodowy miesiąc. Nie ma takiego drugiego miejsca na ziemi.

- Wierzę na słowo - Conrad uśmiechnął się. - O tym można pomyśleć potem, na razie trzeba się zastanowić, jak zapewnić jej bezpieczeństwo do czasu procesu. Co sądzi pan o moich środkach ostrożności?

- Doskonale - rzekł Forest. - Jestem jak i ty zadowolony, na pewno nie uda im się tu dostać... Jak zamierzasz przewieźć ją do gmachu sądu? - spojrział nagle ostro. - Ojej, ale ten samolot cholernie buczy...

Niespodziewany świst powietrza i ryk silnika samolotu poraził ich obu.

- O tej porze leci samolot z Pacific City do Los Angeles - stwierdził Conrad, spoglądając na zegarek. Była dokładnie dziesiąta. - Myślę, że najlepiej zabrać ją stąd w opancerzonym samochodzie z eskortą na motocyklach. Będziemy ją trzymać w gmachu sądu. Jest tam parę pokoi w suterenie. Nie są specjalnie przytulne, ale to przecież nie potrwa dłużej niż tydzień. Nie ma tam okien i jest jedno wejście.

- To prawda - przytaknął Forest - ale najpierw musimy złapać Maurera.

- Nadal żadnych wiadomości?

- Jakies dziesięć minut temu dzwonił Bardin. Mówił, że pojawiły się pogłoski o jego powrocie. Teraz je sprawdzają...

Conrad wyprostował się w fotelu.

- Wrócił? Kto pierwszy o tym powiedział?

- To znowu ten samolot - rzekł Forest, kiedy nisko lecąca awionetka zawarczała tuż za oknem. Wstał i podszedł do okna. - Do licha, Paul, popatrz na to!

Conrad podszedł do niego.

W stronę pełnego morza leciał mały samolot, rozjarzony jaskrawoczerwonymi światłami. Kiedy wykonał zgrabne koło i zawrócił w kierunku hotelu, wyglądał jak niezwykle, rajski ptak.

- To jakiś popis reklamowy - stwierdził Conrad, spoglądając w jego stronę bez specjalnego zainteresowania. Myślał o Frances. Serce zabiło mu szybciej, gdy wyobraził sobie, że mogliby razem pojechać do Wenecji. Podróż dałaby mu szansę wyjaśnienia pewnych rzeczy i z pewnością poprawiłaby jej samopoczucie.

- Wygląda nieźle - rzekł Forest, wychylając się z okna, aby lepiej zobaczyć maszynę, która właśnie okrążyła hotel i spłynęła w dół, prosto w wodę. - Ciekawe, co on reklamuje? Hej, patrz, Paul!

Nieco zirytowany dziecinnym zainteresowaniem Foresta, Conrad zbliżył się do otwartego okna.

Teraz samolot leciał poniżej urwiska i praktycznie znajdował się na wysokości hotelowych ogrodów. Na jednym ze skrzydeł widać było jakąś postać, oświetlały ją czerwone i niebieskie lampki. Sceneria jak z bajki. Postać pomachała ręką, kiedy z hukiem przelatywali obok hotelu.

- Lekkomysłny głupiec - skrzywił się Conrad - Ludzie wszystko zrobią dla pieniędzy...

- Jak byłem dzieckiem - wtrącił Forest - chciałem robić to samo. Ten facet rzeczywiście jest odważny. Popatrz na niego!

Awionetka wracała nie zmieniając wysokości. Akrobata stał na rękach i balansował niebezpiecznie na brzegu skrzydła.

Poprzez ryk silnika Conrad usłyszał wyraźnie podniecone krzyki ludzi, którzy w ogrodzie wymachiwali rękami.

- Tutaj leci.. - informował Forest, jeszcze dalej wychylając się z okna. - Trzyma się tylko jedną ręką...

Nagle Conrad poczuł, że dywanik, na którym stoją, przasunął się trochę, gdyż Forest zbyt mocno wychylił się przez okno. Zobaczył, jak skulił się i kurczowo złapał parapetu. Widząc to Conrad chwycił Foresta z całych sił za połą marynarki, ponieważ uświadomił sobie, że tamten traci równowagę. Przez chwilę bał się, że marynarka wyśliznie mu się z rąk. Jednak prokuratorowi udało się przytrzymać framugi i cofnąć do pokoju.

- Do diabła! - wysapał Conrad. Forest był błady i roztrzęsiony.

- Dziękuję, Paul - powiedział ochryplym głosem. - Cholera! Mało brakowało, a byłbym wypadł. A na dół daleka droga. Prawdopodobnie pośliznąłem się na dywanie...

Conrad stanął jak wryty, gwałtownie zbladł. Poprzez powracający ryk samolotu, do obu mężczyzn doszedł dziki, przeraźliwy krzyk, który mroził krew w żyłach.

- Co to było? - wykrzyknął Forest.

Conrad rzucił się przez pokój, szarpnął drzwi i pobiegł na oślep korytarzem wprost do pokoju Frances.

Dwóch strażników biegło z przeciwnej strony. Conrad zderzył się z nimi przed drzwiami. Wpadł do pokoju.

Policjantki o pobladłych twarzach stały jak posągi z dala od okna. Madge Fielding z rozpaczycy załamywała ręce. Po Frances nie było śladu.

- Madge! Co się stało? - wydusił Conrad.

- Nie ma jej! Wychyliła się z okna, obserwując samolot. Nagle krzyknęła. Podbiegłam do niej, ale było już za późno. Miałam wrażenie, że coś wyciągnęło ją przez okno. Szamotała się, w pewnej chwili dywan uciekł jej spod nóg i wypadła.

Forest minął Conrada i zbliżył się do okna.

Dwieście stóp poniżej, na piasku, w świetle księżyca leżała Frances. Przypominała małą, zniszczoną laleczkę.

Patrzył w dół przez chwilę, potem cofnął się. Conrad na glinianych nogach podszedł do krzesła i usiadł.

- No tak, a więc stało się - rzekł Forest niskim, rozdartym głosem. - Do diabła! Razem z nią przestała istnieć sprawa Maurera...

Samolot przeleciał jeszcze raz nad hotelem, a potem światła pogasły i niczym duch odleciał w stronę morza.

Rozdział XI

Następnego dnia o dziesiątej rano Jack Maurer w towarzystwie Abe Gollowitza, swego adwokata i czterech czujnych gangsterów z obstawy podjechał srebrnoniebieskim cadillakiem pod budynek City Hall.

Pół godziny wcześniej wszystkie gazety otrzymały poufną wiadomość, że Maurer jest właśnie w drodze do Prokuratury Okręgowej. Dlatego przed gmachem City Hall zebrał się tłum dziennikarzy i fotoreporterów, ustawiono kamery telewizyjne i trzy kamery filmowe.

Maurer wysiadł z samochodu z szerokim uśmiechem na ogorzałej twarzy i pokiwał ręką wprost do kamery telewizyjnej. Był entuzjastą telewizji i ogromną przyjemność sprawiała mu myśl, że w tej chwili jego twarz ogląda trzy czwarte miliona ludzi.

Reporterzy natychmiast zbiegli się wokół niego, ale czterech goryli utworzyło silny mur, odsuwając ich na bok.

- Trochę cierpliwości, chłopcy - rzekł Maurer zza swojej obstawy. - Złożę oświadczenie jak stąd wyjdę. Zaczekajcie, aż porozmawiam z prokuratorem.

- Na jakiej podstawie pan sądzi, że stąd wyjdzie? - krzyknął jeden z reporterów, a jego twarz poczerwieniała z gniewu.

Maurer przesłał mu szeroki, serdeczny uśmiech i, ciągle otoczony swymi gorylami, wszedł po schodach do wejścia City Hall, po czym zniknął za bramą.

- Tłusty skurwysyn... - powiedział reporter. - Nie uda mu się z tego wyłgać. Uderzą go tam, gdzie najbardziej zabolili...

- Czyżby? - drwiąco zapytał dziennikarz z „Pacific Herald”.

- Sądzi pan, że taki drań jak Maurer przyszedłby tutaj, gdyby nie był pewien, że się wyłga? Stawiam dziesięć zielonych przeciw dziesięciu centom, że wyjdzie stamtąd za dziesięć minut wolny jak ptak...

- Sam z sobą się załóż, synu - powiedział inny z politowaniem.

- Przypadkowo wiem, co Forest ma przeciw niemu...

- Czy wie pan również, że ich jedyny świadek, który mógłby potwierdzić zeznanie, wypadł przez okno wczoraj wieczorem? - zapytał reporter z „Pacific Herald”. - Nie ma innego wyjścia, jak uznać wyższość tego śliskiego gada... Nigdy nie dopuścił, żeby ktoś zeznawał przeciwko niemu, i nigdy do tego nie dopuści...

- To był wypadek - rzekł gwałtownie ten drugi. - Rozmawiałem z Conradem. Ten facet wie, co mówi. Wypadła przez okno przypadkiem...

- Tak jak Weiner przypadkiem utopił się w wannie? Jeśli pan wierzy w tę bzdurę, to jest pan jedyny, oczywiście, poza Conradem...

Spierali się jeszcze przez dalsze dziesięć minut, aż nagle tłum zaległa cisza. Ujrzeni Maurera, wychodzącego głównymi drzwiami w otoczeniu czterech facetów o ponurych twarzach.

Maurer był rozpromieniony. Zatrzymał się u szczytu schodów i popatrzył w dół na ustawione kamery i wrogie twarze dziennikarzy.

Abe Gollowitz, trochę błądy i potwornie zmęczony, stał po jego prawej stronie. Jego tłusta twarz nie wyrażała niczego, ale oczy były oczami człowieka pozbawionego nadziei albo przyszłości.

- No, chłopcy - stwierdził Maurer jednym tchem - wygląda na to, że mieliśmy do czynienia z pomyłką...

- Chwileczkę, panie Maurer - zawołał zdenerwowany dziennikarz z telewizji. - Czy mógłby pan zejść tutaj i powiedzieć parę słów do mikrofonu? Złoży pan jakieś oświadczenie?

- Oczywiście - odparł Maurer. - Obiecałem oświadczenie, a nigdy nie wycofuję się z obietnic.

Podszedł do mikrofonów.

- To szczególnie odpowiedni moment - rzekł - aby podziękować wszystkim, którzy mi dobrze życzą - za poparcie i dodawanie otuchy podczas tej nedorzecznej oraz przykrej sytuacji, jaka wytworzyła się w wyniku nieporozumienia między policją a biurem prokuratora okręgowego...

- Jak dobrze wiecie, wydano nakaz aresztowania mnie, oskarżając o zamordowanie panny June Arnot, która była moją drogą przyjaciółką... - Maurerowi trudno było zachować szeroki, szczery uśmiech pod badawczym i cynicznym spojrzeniem reportera „Pacific Herald”, który przecisnął się przez tłum i stał teraz naprzeciw Maurera, wpatrując się w niego z nieukrywaną pogardą. Maurer zanotował w pamięci, że ten młody szczeniak powinien dostać nauczkę, w jak najszybszym i jak najdogodniejszym czasie - ...moją drogą przyjaciółką... - powtórzył, spuszczać wzrok z reportera „Pacific Herald”. - Prokurator okręgowy jest uczciwym człowiekiem; człowiekiem, którego podziwiam i który stoi ponad wszelką korupcją obecnej administracji. Szczerze wierzył w moją winę, i powiem tu wszem i wobec, że wydając nakaz mojego aresztowania wykonywał tylko swój obowiązek - Maurer zniżył głos, uśmiechnął się szerzej i odwrócił wzrok od wpatrzonych oczu. Skupił swoją uwagę na kamerach telewizyjnych. W końcu te kamery przekazywały jego mowę i oblicze do domów tysięcy frajerów, którzy grali przy jego stolikach, korzystali z usług jego dziewczynek, płacili mu haracz, wypijali jego kiepskiego szampana i wybierali jego ludzi do publicznych urzędów. Należał im się przynajmniej jego najlepszy uśmiech.

- W obliczu dowodów, jakie mu przedstawiono, nie miał innego wyjścia, jak wydać ten nakaz. Ale po dokładniejszym przebadaniu sprawy, okazało się, że dowody, jakie miał przeciw mnie, nie były wystarczające - pomachał białymi, tłustymi rękami. - Nie sądźcie oczywiście, że prokurator okręgowy działał nieodpowiedzialnie. Wcale nie. Miał dowody.

Gdybym był w tym pięknym mieście a nie na morzu, nigdy nie doszłoby do wydania nakazu, bo mógłbym je obalić, tak jak w tej chwili to uczyniłem. - uśmiechnął się do kamery.

- Powiedziałem, że June Arnot była moją drogą przyjaciółką - kontynuował. - To prawda. Nigdy bym jej nie wyrządził żadnej krzywdy. I nigdy jej nie skrzywdziłem. Jej śmierć była dla mnie ogromnym wstrząsem. Kiedy tylko dowiedziałem się o nakazie aresztowania, natychmiast wróciłem, żeby odeprzeć zarzuty. Panowie, prokurator okręgowy wycofał oskarżenie. Był nawet tak miły, że przeprosił mnie za wszystkie kłopoty...

Reporter z „Herald” wtrącił się gwałtownie.

- Czy nie jest faktem, że dowody prokuratora okręgowego przeciw panu upadły, ponieważ dwoje jedynek świadków spotkała wygodna dla pana i na pozór przypadkowa śmierć?

Maurer popatrzył na niego ze smutkiem. Ten sukinsyn znajdzie się na dnie morza w beczce pełnej cementu, zanim jeszcze zdąży dorosnąć, pomyślał kręcąc głową.

- Pan Forest w zasadzie nie wtajemniczał mnie w sprawy swoich świadków. Nie wiem o nich nic więcej poza tym, co przeczytałem dziś rano w gazetach. Powiedziano mi, że złoty ołówek, należący do mnie, został znaleziony w pobliżu basenu na terenie posiadłości mojej drogiej przyjaciółki, June Arnot. Na ołówku były moje odciski palców i ślady krwi. Ponieważ grupa krwi zgadzała się z grupą June Arnot, policja wyciągnęła pochopne wnioski, że to z pewnością ja ją zamordowałem, gdyż w miejscu, gdzie ołówek znaleziono, nie było śladu krwi. Na tym kruchym dowodzie policja oparła swoje oskarżenie... Tymczasem tak się złożyło, że poprzedniego dnia byłem u June Arnot, skaleczyłem się w palec i pobrudziłem ołówek. Potem go upuściłem, a on wpadł do kanału. Tak się składa, że nie jestem biedny i mam inne złote ołówki, dlatego zupełnie nie przejmowałem się tamtym - zrobił pauzę, a potem dodał z bezczelnym uśmiechem: - Cóż mogę poradzić, że przypadkiem mam taką samą grupę krwi jak June Arnot? - Dał znak i natychmiast podeszła obstawa, odsuwając reporterów na boki. Maurer zszedł ze schodów i wśliznął się do samochodu.

Gollowitz przedarł się za nim, podczas gdy goryle odpychali dziennikarzy, usiłując nie dopuścić do tłoku wokół auta. Samochód szybko odjechał.

Jak tylko wydostali się z tłumu gapiów, Maurer podniósł głowę i zaśmiał się chrapliwie:

- Ale heca, Abe! Za żadną cenę nie oddałbym widoku gęby tego durnia Foresta, kiedy go załatwiałeś. Do diabła! Ale go nabraliśmy co? - klepnął Gollowitza po tłustym udzie. - Nareszcie mogę wrócić do interesów... Słuchaj, Abe, czego chcę od ciebie. Proszę, żebyś sporządził listę wszystkich moich pieniędzy i papierów wartościowych, co do dolara, mówię

o gotówce. Chcę także mieć listę wszystkich akcji i obligacji, jak również ich aktualnych cen rynkowych. Gollowitz rzucił mu podejrzliwe spojrzenie.

- O co chodzi, Jack?

- Nieważne. Może wyjadę... Mam tyle forsy, ile chciałem. Mam też dość syndykatu. Mogą sobie rządzić Kalifornią, jeśli chcą...

- Myślałem, że masz zamiar zająć się Ferrarim - powiedział Gollowitz ze złością.

Maurer uśmiechnął się, ale mroził wzrokiem.

- Masz rację, to był dobry pomysł. Seigel go spartaczył. Obawiałem się tego. Partaczył wszystko czego się dotknął. Był do niczego, tylko z kobietami dobrze sobie radził. Do niczego innego się nie nadawał...

Gollowitz spojrzał na Maurera, twarz mu pobladła.

- Co mu się stało?

- Ferrari był szybszy, oto co się stało. To było wielkie ryzyko, które się nie powiodło... Rozmawiałem z Wielkim Joe. Wyjaśniłem; że nie miałem z tym nic wspólnego. Rozśmieszyło go, że ktoś próbował wykończyć Ferrari ego. Bardzo go to rozśmieszyło...

Olbrzymi cadillac minął otwartą bramę prowadzącą do posiadłości Maurera i wartko wtoczył się w alejkę. W jasnym blasku porannego słońca Gollowitz zauważył mnóstwo ludzi, którzy kręcili się po terenie.

- Co to za ludzie? - zapytał. - Co oni tu robią?

- To środki ostrożności - odparł Maurer. - Nie lubię ryzyka. Jeśli Ferrari będzie chciał zrobić mi jakiś kawał, źle się to dla niego skończy.

Gollowitz nic nie odpowiedział, ale poczuł zimny dreszcz przebiegający po plecach. Czy Maurer naprawdę wierzy, że ci rewolwerowcy uratują go, jeśli Ferrari postanowi go zabić? - pomyślał. Czyżby był aż takim ślepcem? I bezczelnym głupcem?

Samochód zatrzymał się przed ogromnym wejściem.

- Okay, Abe, przygotuj mi tę listę i przyjdź na lunch. Jacht jest w pobliżu. Niewykluczone, że wyjadę wieczorem - rzekł Maurer, opuszczając wóz.

- Jack, a co będzie ze mną, gdy wyjedziesz? - zapytał Gollowitz ochrypłym głosem.

Maurer popatrzył na niego, jak gdyby nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

- Z tobą? - zmarszczył brwi. - No cóż, sądzę, że dasz sobie radę. Może Wielki Joe znajdzie jakieś zajęcie dla ciebie. Może da ci moją posadę. Jesteś już wystarczająco duży, żeby zająć się sobą, nie? - uśmiechnął się zjadliwie. - Może coś wymyślę, gdy wrócisz na lunch.

Poszedł do domu, zostawiając Gollowitza z uczuciem bezsilności. Trzech rewolwerowców o zaciętych twarzach przemierzało hall. Gdy zobaczyli Maurera, stanęli na baczność.

- Bądźcie w pogotowiu, chłopcy - powiedział Maurer - i miejcie oczy otwarte...

- Tak jest, szefie - odparł jeden z nich. - Nie będzie żadnych problemów.

- Lepiej, żeby nie było - warknął Maurer i wszedł do przestronnego, słonecznego pokoju wypoczynkowego.

Dolores stała w pobliżu otwartego okna. W prostej, czarnej sukni wyglądała szczupło i ślicznie. Była blada, oczy miała podkrążone.

- Cześć, Jack.

- Witaj, Dolly - odparł Maurer. - Daj mi drinka, dobrze? Podeszedł do niej, spojrzał w dół na tarasy ogrodu. Kręcili się tam ludzie z ochrony, widać było, że niektórzy mają broń.

- Seigel usiłował sprzątnąć Ferrariego - rzekł, gdy Dolores naląła mu szklaneczkę mocnej whisky z wodą sodową. Opadł na fotel, tyłem do okna... - Ferrari przebił go nożem... Podejmuję pewne środki ostrożności, dopóki Ferrari nie wyjedzie z miasta.

Dolores nic nie powiedziała. Przyniosła kieliszek whisky Maurerowi i postawiła na stoliku obok.

- No cóż, Dolly, to ostatnia whisky jaką z tobą piję. Wyjeżdżam z miasta na zawsze...

- Naprawdę? - zapytała bezbarwnym głosem.

- Tak. Wyjeżdżam na Florydę - rzekł. - Buźka dla syndykatu... Na Florydzie jest wiele możliwości dla człowieka z moimi zdolnościami, pieniędzmi i talentem organizacyjnym. Powinienem podjąć decyzję, co zrobić z tobą...

- Nie musisz się o mnie martwić - stwierdziła Dolores, nie patrząc na niego. Podeszła do okna.

- Och, nie zamierzam się o ciebie martwić, Dolly - odparł Maurer i roześmiał się. - Nie sądzę jednak, żeby Abe był dla ciebie dobrym mężem. Abe się kończy. Myślę, że dzisiaj może mu się przytrafić jakiś drobny wypadek... Będzie ci przykro? - Nie.

- Jak mi się, wydawało, miałaś nadzieję, Dolly, że cię po mnie przejmie...

- Ciekawi mnie, skąd ci to przyszło do głowy...

Spojrzała w dół na długi rząd schodów, łączących dwa tarasy. Po stopniach wspinała się mała postać w czarnym garniturze i czarnym kapeluszu. To był Ferrari. Szedł cicho, powoli. Z rękami w kieszeniach, podniesioną twarzą i oczyma utkwionymi w oknie, wydawał się kompletnie nieświadomy obecności wartowników, którzy stali bez ruchu patrząc jak nadchodzi.

Minął jednego strażnika, potem następnego. Żaden z nich nawet nie drgnął. Nikt nie odrywał od niego wzroku. Przeszedł nie śpiesząc się - drobniutka, zatrwazająca postać o ruchach widma.

- Czyżbym się mylił? - zapytał Maurer. - A więc to Seigela sobie upatrzyłaś?

- Nie. - Odeszła od okna i wolnym krokiem zbliżyła się do drzwi. - Nie chcesz, żebym pojechała z tobą, Jack?

Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Ty nigdzie nie pojedziesz, Dolly - absolutnie nigdzie. Przyjrzała mu się uważnie. Zdziwiło go, że w jej spojrzeniu nie dostrzegła nic, co by znaczyło, że się boi.

- Rozumiem - powiedziała. Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

Po strażnikach nie było ani śladu. Idąc na górę do swego pokoju, zastanawiała się, kiedy Wielki Joe przejął organizację. Musiał działać bardzo szybko. Zastanawiała się też, jakie życie czeka ją z Ferrarim.

Weszła do pokoju i usiadła. Żyła z Maurerem cztery długie lata dzieląc z nim łóżko, przyjmując podarunki i obelgi, i teraz poczuła chłód i mdłości.

Zamknęła oczy i czekała na dźwięk, który powie jej, że jest już własnością Ferrariego i wdową po Maurerze.

Nagły trzask pistoletu dobiegający z parteru, uderzył ją niemal fizycznie. Pochyliła się, rękami zakryła twarz i po raz pierwszy od wielu lat zapłakała.

Nie płakała z powodu Maurera. Płakała nad sobą.